



HARRY
HARRISON

Wydawnictwo Poznańskie

STALOWY SZCZUR





Uuk Quality Books

Harry Harrison

Stalowy szczur

Przekład: Jarosław Kotarski

Tytuł oryginału: The Stainless Steel Rat

Copyright 1961 by Harry Harrison

Wydawnictwo Amber, 1994

Spis treści:

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

Rozdział 1

Gdy drzwi do biura otworzyły się gwałtownie, zrozumiałem nagle, że skończyły się dobre czasy. Pomysł był niezły, a dochody piękne, lecz należało zaliczyć to do wspomnień. Do środka wszedł gliniarz, a ja, wsparty wygodnie w fotelu, posłałem mu na powitanie promienny uśmiech. Gość był taki sam jak wszyscy gliniarze — ciężki chód, równie ciężki pomyślunek i ten wyraz twarzy, jakiego nie powstydziliby się kuchenny piec, i jeszcze całkowity brak poczucia humoru. Nim zdążył się odezwać, prawie wiedziałem, co powie.

— Jamesie Bolivar di Griz, aresztuję cię pod zarzutem...

Poczekalem, aż dojdzie do właściwego miejsca i wdusiłem guzik, który zdetonował umieszczony w suficie ładunek czarnego prochu. Pod wpływem eksplozji dźwigar wygiął się i trzytonowy sejf zleciał robotowi wprost na łeb, demontując go nader malowniczo. Gdy chmura tynku opadła, dostrzegłem, że spod sejfu wystaje pogruchotana ręka, a jej palec oskarżycielsko wskazuje na mnie, głos zaś, choć nieco przygłuszony, ciągnął:

— ...pod zarzutem nielegalnego przybycia, rabunku i fałszerstwa.

Wymieniał tak przez chwilę i lista, choć znałem ją na pamięć, zrobiła na mnie wrażenie. Nie przeszkadzało mi to, rzecz jasna, zapakować do walizki zawartość biurka. Było w nim sporo gotówki. Lista moich przestępstw kończyła się nowym i mógłbym założyć się o tysiąc kredytów, że gdy je wymieniał, w jego głosie brzmiała najprawdziwsza uraza.

— ...i pod zarzutem zamachu na robota policyjnego, który to zarzut zostaje niniejszym dołączony do twojego rejestru. Samo w sobie było to głupie, ponieważ mój mózg jest opancerzony i umieszczony w tułowiu...

— Doskonale wiem o tym, George, ale twoje radio jest na szczycie głowy i mam pewność, że anteny nadają się do wymiany. Nie miałem ochoty, żebyś sobie w mojej obecności gadał z przyjaciółmi.

Otworzyłem drzwi porządnym kopniakiem. Ruszyłem pędem po schodach do piwnicy. Jasne, łapał mnie za nogę próbując zatrzymać, ale że tego oczekiwałem, jego palce zamknęły się w powietrzu na cal przed moją łydką. Zbyt wiele razy miałem do czynienia z policyjnymi robotami, żeby nie wiedzieć, do czego są zdolne i nie zdawać sobie sprawy, że są niezniszczalne. Można do nich strzelać, zrzucać je ze schodów, a i tak będą lazły za człowiekiem i ciągnęły umoralniające pogawędki. Choćby na jednej nodze. Ten właśnie to robił. Zbiegając po schodach, słyszałem jeszcze jego słabnący głos, nadal prawiący morały. Teraz liczyła się każda sekunda. Miałem około trzech minut, zanim wsiądą mi na ogon, a opuszczenie budynku powinno mi zająć dokładnie minutę i osiem sekund. Nie było to dużo i musiałem dobrze ten czas wykorzystać. Następne kopnięcie i znalazłem się w pomieszczeniu, gdzie moje roboty zdejmowały towary z taśmociągu. Gdy przebiegałem obok, żaden nawet się nie obejrzał, ale byłbym szczerze zdziwiony, gdyby który to zrobił. Były to maszyny typu M, słabo oprogramowane i zdolne do wykonywania powtarzalnych czynności manualnych. Dlatego zresztą je kupiłem — nie interesują się tym, co robią ani dlaczego. Odblokowałem Drzwi Które Nigdy Nie Były Otwierane i wbiegłem do następnego pokoju, nie tracąc czasu na ich zniknięcie. I tak nie miałem już żadnych tajemnic na tej planecie.

Idąc wzdłuż taśmociągu, przelazłem przez solidną dziurę w ścianie i znalazłem się w magazynie rządowym. Dziura, taśmociąg i automat zdejmujący z niego puste, a ładujący pełne opakowania z sięgającej sufitu sterty — wszystko to było moim pomysłem i dziełem. Automatyczny podnośnik pracowicie ładował puszki z piętujących się stert na taśmociąg. Nie można było go nazwać robotem — jego umysł pozwalał jedynie na wykonywanie nagranych na taśmę instrukcji. Minałem go,

oddalając się ustaloną drogą z sercem przepelnionym dumą z całej operacji.

To był jeden z najpiękniejszych pomysłów, na jakie kiedykolwiek wpadłem. Za małą opłatą wynająłem magazyn sąsiadujący przez ścianę z rządowym. Zwykła dziura w ścianie — a w zasadzie dwie — i miałem do dyspozycji nieprzebrane zapasy najróżniejszych środków spożywczych, które nie tknięte ludzką ręką całe lata przeleżały w tym magazynie. Oczywiście teraz zostały nie tylko tknięte, ale wręcz puszczone w obieg. Wynająłem i uruchomiłem taśmociąg, kupiłem roboty i zacząłem działać. Roboty zmieniały opakowania z rządowych na moje i towary szły najzupełniej legalnie na rynek. *Moje* towary były w najlepszym gatunku, a biorąc pod uwagę nakład pracy zużyty na ich zdobycie, były też najtańsze. Nie dość, że zlikwidowałem konkurencję, to jeszcze miałem zyski. Miejscowi kupcy błyskawicznie zwąchali pismo nosem i zamówień miałem na parę miesięcy naprzód. To była piękna akcja i trwała już trochę czasu. Mogłaby zresztą jeszcze potrwać, ale nauczyłem się w tym fachu przede wszystkim tego, że kiedy coś się kończy, to definitywnie, a pokusa, by zostać jeszcze dzień i skasować choćby jeszcze jeden czek, może doprowadzić do bliższej znajomości z policją. Tak więc była to już przeszłość. Teraz trzeba postąpić w myśl mej dewizy:

„Odskokzyć na czas,
aby móc jeszcze raz”.

A przypominanie tego, co było, nie jest najlepszą metodą ucieczki przed policją.

* * *

Osiągnąwszy drzwi przestałem o tym myśleć. Dookoła roilo się od policji, toteż musiałem działać błyskawicznie i nie popełnić żadnego błędu. Uchyliłem drzwi i zerknąłem w obie strony — pusto. Skok do przodu i guzik windy. Swego czasu umieściłem w tej windzie licznik: okazało się, że jest ciężko przepracowana — jeden kurs na miesiąc. Zjechała po trzech sekundach; wskoczyłem do wnętrza, równocześnie naciskając przycisk. Jazda trwała wieczność, to znaczy czternaście sekund według zegarka. Nastąpił teraz najniebezpieczniejszy moment całej podróży. Gdy winda zwolniła, miałem już w dłoni swoją automatyczną siedemdziesiątkę piątkę ale ona mogła zaopiekować się tylko jednym gliniarzem. Drzwi otworzyły się i mogłem się odprężyć. Ani żywej duszy. Doszli pewnie do wniosku, że skoro otoczyli budynek, to nie muszą przejmować się tym, co na górze. Wyłączając spokojnie na dach po raz pierwszy usłyszałem syreny — miały naprawdę piękny dźwięk. Sądząc po hałasie musieli tu ściągnąć połowę sił policyjnych z całego miasta. Ucieszyło mnie to tak, jak zasłużone owacje cieszą artystę. Deska nadzarta trochę przez wilgoć była tam, gdzie ją zostawiłem, za tylną ścianą windy. Parę sekund zabrało mi przeniesienie jej na skraj wieżowca i przerwienie na sąsiedni dach. Teraz pora na jedyny fragment ucieczki, w którym szybkość była nieistotna, u nawet — można powiedzieć — niemiłe widziana. Ostrożnie wlałem na deskę i czule przycisnąłem torbę do piersi, bo mój środek ciężkości musiał być nad deską, a nie obok niej. Od tego zależało, czy znajdę się na sąsiednim dachu, czy tysiąc stóp niżej, na ulicy. Jeśli nie patrzysz w dół, nie możesz spać... Udało się. Teraz czas na szybkość. Deska na mój dach — jeśli nie zobaczyli mnie nad sobą, a nic nie wskazywało na to, to trochę pomyślą, gdzie się mogłem podziać. Dziesięć szybkich kroków i drzwi na schody. Otworzyły się bezgłośnie. Nic dziwnego, po takiej porcji oliwy, jaką w nie władowałem... I do środka. Wewnątrz natychmiastowa blokada drzwi i parę głębokich oddechów. Teraz można sobie na to pozwolić. Co prawda, to jeszcze nie koniec, ale najgorsze ryzyko już poza mną. Jeszcze dwie minuty bez żadnego natręta i nigdy nie znajdą Jamesa Bolivara alias Chytrego Jima di Griz.

* * *

Schody były brudne i straszliwie zapuszczone (gdybym tu mieszkał, dostałoby się dozorczy), ale jak sprawdziłem przed tygodniem, nie było tu żadnych „pluskiew”, ani optycznych, ani akustycznych. Kurz, poza moimi własnymi śladami sprzed tygodnia, był nie naruszony. Wobec tego założyłem, że przez ostatni tydzień nikt tu „pluskwy” nie podrzucił — cóż, czasami trzeba ryzykować. Do zobaczenia, Jamesie di Griz, waga 98 kilo, wiek około 45 lat, szpakowaty i pyzaty — ot, typowy obraz biznesmena, który zresztą figuruje na poczesnym miejscu policyjnych kartotek jakiegoś tysiąca planet. Wraz z odciskami palców, rzecz jasna, więc na początek poszły właśnie one. Gdy nosi się fałszywe, ale dobrze zrobione, to są jak druga skóra — wystarczy dotknąć utwardzaczem i schodzą jak pończochy. Moje były dobre, ale cóż, nie ma czego żałować. W ślad za nimi poszły wszystkie osobiste drobiazgi i pas, który opinał moją talię, a zarazem obciążał mnie dodatkowymi dwudziestoma kilogramami, gdyż był wypełniony ołowiem i termitem. Teraz flaszka z rozpuszczalnikiem i moje włosy wróciły do normalnego brązowego koloru. Precz nos i podbródek, a za nimi błękitne szkła kontaktowe. Poczuję się jak nowo narodzony, co było zresztą zgodne z prawdą: nie dość, że nagi, to w dodatku zupełnie odmieniony. O dwadzieścia kilo chudszy, o dziesięć lat młodszy i z całkowicie zmienionym rysopisem. Moja torba zawierała kompletne ubranie, parę przeciwsłonecznych okularów i oczywiście wszystkie pieniądze. Ubrałem się i poczułem, jakby mi ktoś przypiął skrzydła. Ten pas był tak nieodłącznie ze mną związany, że nie odczuwałem jego ciężaru do chwili, gdy go zdjąłem. Jego zawartość zatroszczyła się o wszystkie dowody. Zgarnąłem je na kupę i odbezpieczyłem zapalnik. Spłonęły z radosnym sykiem — ubranie, szkła, buty i chemikalia rozsiały wokół miły blask. Policja znajdzie osmalony krąg na betonie, a mikroanaliza da im parę pomieszanych ze sobą molekuł — i to wszystko, co będą mieli do dyspozycji jako dowód mojej tożsamości. Światło ogniska rozsiewało skaczące po ścianach cienie, a ja schodziłem trzy piętra w dół do windy na sto dwunastym. Szczęście nadal mnie nie opuszczało — gdy wyjrzałem zza drzwi, na korytarzu nikogo nie było, a szybkie winda w minutę zwiózła mnie i kilkunastu innych biznesmenów do wyjścia. Tylko jedne drzwi były otwarte na ulicę, a na nie była skierowana kamera telewizyjna. Żadne przeszkody nie stały na drodze wchodzących i wychodzących, w ogóle mało kto dostrzegał obecność kamery. W jej pobliżu skupiła się mała grupa policjantów. Poszedłem w ślad za innymi, trzymając nerwy na wodzy. W takim interesie jak mój silne nerwy to podstawa, ale przyznaję, że gdy przez nie kończąca się sekundę byłem głównym obiektem zainteresowania szklanego oka, coś nieprzyjemnego zaczęło mi leżeć po krzyżu. Teraz wiedziałem, że jestem czysty, gdyby bowiem coś nie grało w moim rysopisie, gdybym był podobny do poszukiwanego, to komputer, do którego niewątpliwie była podłączona kamera, wszcząłby natychmiastową akcję i zanim bym się obejrzał, para robotów zdążyłaby mnie zaobrączkować. Jest niemożliwe, żeby człowiek był szybszy od nich — działają w przeciągu mikrosekund. Można je natomiast przechytryć, co znów mi się udało. Taksówka zwiózła mnie dziesięć przecznic dalej. Poczekalem, aż zniknęła z pola widzenia i złapałem następną. Dopiero trzecia miała zaszczyt dowieźć mnie na kosmodrom. Wycie syren stawało się coraz cichsze, aż zupełnie zanikło. Pomyślałem, że jak zwykle robią dużo hałasu zupełnie bez przyczyny, no, może nie tak do końca, ale z całą pewnością był on przesadzony. Ale to nieuniknione w tym precywilizowanym świecie. Przepięknie jest tu taką rzadkością, że gdy policja jakies wykryje, jest naprawdę uradowana. Nie ganię ich, rozdawanie mandatów to — jak podejrzewam — cholernie nudne zajęcie. Tak w ogóle to powinni mi podziękować: nie dość, że urozmaicam ich szarą egzystencję, to jeszcze udowadniam społeczeństwu, że na coś się jednak przydadają.

Rozdział 2

Przejażdżka do kosmoportu była miła i odprężająca, chociaż dość długa, gdyż leżał on poza miastem. Aby pomnożyć przyjemne doznania, zapaliłem pierwsze od sześciu miesięcy cygaro. Moje poprzednie wcielenie paliło wyłącznie papierosy i przestrzegałem tego wiernie nawet w całkowitej samotności. Miałem nie zaplanowany urlop, co było zresztą równie dobre jak praca; nigdy nie mogłem zdecydować się, co mi bardziej odpowiada. Wydmuchnąłem kłęb wonnego dymu i odprężając się zacząłem myśleć o sobie.

Moje życie było tak różne od życia przeciętnego mieszkańca Ligi, że wątpię, czy byłbym w stanie komukolwiek z nich wyjaśnić jego sens. Oni funkcjonowali w bogatej, ustabilizowanej unii światów, gdzie prawie zapomniano, co oznacza słowo „przestępstwo”. Co prawda tu i ówdzie zdarzali się malkontenci z urodzenia (pomimo stosowanej przez cały wiek kontroli genetycznej), bądź z wyboru. Tych pierwszych wyłapywano od ręki; drudzy próbowali swoich sił w przestępstwie — jakieś malwersacje, oszustwa, drobne kradzieże — utrzymywali się przez parę tygodni albo miesięcy, w zależności od stopnia wrodzonej inteligencji. Było jednak rzeczą pewną, że dostaną się w łapy policji. W naszym zorganizowanym i praworządnym społeczeństwie przestępstwa zostały niemal zupełnie wyeliminowane. Można bez przesady powiedzieć, że nie istnieją w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Ten jeden procent jest przyczyną uzasadniającą utrzymywanie policji. A składa się ten procent ze mnie i garści podobnych do mnie, rozsianych po galaktyce. Teoretycznie rzecz biorąc, w ogóle nie powinniśmy istnieć, a w każdym razie nie powinniśmy mieć żadnej możliwości działania. Ale teoria jak zwykle nie zgadza się z praktyką. Działamy całkiem skutecznie, a żyje nam się wcale nieźle. Jesteśmy jak szczury w budynku: funkcjonujemy wewnątrz społeczeństwa, ale nie odnoszą nie do nas reguły, zgodnie z którymi jest ono zorganizowane. Ponieważ mamy żelazne zasady, nazywają nas Stalowymi Szczurami. Być Stalowym Szczurem to dumne i samotne zajęcie, ale zarazem największe przeżycie, rzecz jasna, jeśli ktoś nie da się zamknąć.

Socjologowie długo nie mogli zgodzić się, dlaczego istniejemy, a niektórzy nawet wątpili w prawdziwość opowieści o nas. Najpopularniejsza była teoria tłumacząca naszą przestępczą działalność psychicznymi zaburzeniami, które w dzieciństwie nie mają żadnych objawów, a ujawniają się dopiero później. Parokrotnie zastanawiałem się nad tym i zupełnie się z nią nie zgadzam. Przed laty napisałem nawet książkę na ten temat (oczywiście pod fałszywym nazwiskiem), która została dobrze przyjęta. Moja teoria głosiła, że przyczyny nie są natury psychologicznej, lecz filozoficznej: w pewnym określonym momencie człowiek musi się zdecydować, czy żyć poza nawiasem społeczeństwa i być wolnym, czy dostosować się do powszechnie panujących reguł i umrzeć jako niewolnik systemu. Oczywiście nie odnosi się to do wszystkich ludzi, wręcz przeciwnie — tylko do nader nielicznej grupy tych, których można nazwać indywidualistami. W takim świecie jak ten nie ma miejsca na półśrodki: na najemników, włamywaczy-dżentelmenów i inne podwójne osobowości. Tutaj istnieje tylko taka alternatywa: albo pełnoprawny członek społeczeństwa, albo nikt. Ja wybrałem to drugie.

* * *

Taksówka zatrzymała się przed dworcem akurat w momencie, gdy zaczynałem rozczulać się nad sobą. W tym interesie jest tylko jedna niedogodność: brak przyjaciół. Można sfiksować z powodu samotności. Przed ostateczną depresją ratowała mnie szybka akcja. Miałem szczery zamiar zastosować tę kurację i tym razem. Zapłaciłem dryndziarzowi za mało, podmieniając banknoty pod jego nosem, i od razu poczułem się lepiej. Prawda, że dostał napiwek z nawiązką wyrównujący stratę, ale i tak był to miły epizod.

W kasie pracował oczywiście robot z ekstra trzecim okiem pośrodku czoła, które nie było niczym innym jak obiektywem kamery. Ukłonił się, gdy kupowałem bilet, a równocześnie zapamiętał moją twarz i docelowy punkt podróży. Normalna procedura policyjna. Ponieważ tym razem nie robiłem odskoku międzygwiazdowego, lecz jedynie podróż wewnątrzsystemową, było mało prawdopodobne, aby te dane powędrowały gdzie indziej niż do akt. Zazwyczaj tego nie robię, tylko odskakuję dość daleko, ale ten system — Beta Cygnus — składał się bez mała z dwudziestu planet, o których było wiadomo, że współpraca ich policji jest czystą fikcją. Mieli za to zapłacić. Z trzeciej — aktualnie zbyt gorącej dla mnie — przenieśliem się na osiemnastą, Morse, dużą i w większości rolniczą planetę. Przynajmniej tak informował mój bilet.

W porcie była masa małych sklepików. Dokonałem w nich potrzebnych zakupów, zaopatrując się w ubranie, walizkę i przybory toaletowe. Po kilku poprawkach u krawca zabrałem to wszystko do kabiny, aby się przebrać, zupełnie przypadkowo powiesiłem ubranie na obiektywie i robiąc typowe dla czynności przebierania się hałasy, wyciągnąłem bilet, aby nanieść poprawki. Końcówka mojego obcinacza do cygar była szpikulcem o takiej średnicy jak ten w drukarce komputerowej. W kilka sekund mój cel podróży zmienił się z osiemnastej na dziesiątą planetę. Straciłem przez to dwieście kredytów, ale zyskałem pewność, że nikt się tym nie zainteresuje. Cała tajemnica udanych operacji biletowych polega na tym, żeby tracić. Odwrotne numery są dość łatwo wyłapywane. Gdyby mnie przypadkiem schwytano, zostałoby to uznane za błąd maszyny. No bo po co miałyby kto oszukiwać, tracąc na tym pieniądze? [Zanim dyżurny glina stał się podejrzliwy, zdjąłem ubranie z obiektywu i podążyłem do pralni. Do odjazdu miałem ponad godzinę i wykorzystałem ją na czyszczenie i składanie swoich rzeczy. Nic tak nie usypia czujności celników jak nowa walizka z nowymi rzeczami. Odprawa była czystą formalnością i znalazłem się na pokładzie, gdy statek dopiero się wypełniał. Siadłem obok hostessy, poflirtowałem trochę i zostałem skatalogowany jako Samiec, Nudny, Uparty. Stara baba, która siedziała obok mnie, tak samo zaszufładowała moją skromną osobę i z lodowatym wyrazem twarzy wpatrzyła się w okno. Zadowolony z siebie zasnąłem. Jedna rzecz jest lepsza niż zostać niezauważonym: zostać zaszufładowanym. Rysopis miesza się z innymi rysopisami z tej szufładki i to kończy sprawę.]

Obudziłem się, gdy byliśmy prawie na miejscu. Wylazłem, przeciągnąłem się i zapaliłem cygaro, a celnicy tymczasem sprawdzali mój bagaż. Nic nie zwróciło ich uwagi, nawet stalowa kasetka z gotówką. Miałem bowiem papiery kuriera bankowego, a kredyt międzyplanetarny był czymś, o czym w tym systemie słyszeli, ale jakoś nigdy nie próbowali zastosować w praktyce. Tak więc celnicy byli przyzwyczajeni do przewijających się przez ich ręce dużych sum w gotówce.

Przesiadłem się na samolot i dotarłem do dużego ośrodka przemysłowego o nazwie Brough, ponad półtora tysiąca mil od miejsca mojego lądowania. Używając nowego zestawu dokumentów, zameldowałem się w spokojnym hotelu na przedmieściu i wbrew utartym zwyczajom, zamiast miesiąc lub dwa odpoczywać, zabrałem się do odbudowy osobowości Jamesa di Griz. Przy okazji poszukałem możliwości wzbogacenia się.

Już pierwszego dnia miałem na oku korzystny interes — tak zachęcający, że aż nierealny. Lecz po paru dniach obserwacji okazało się, że to, co nierealne, jest w istocie najbardziej obiektywną i naturalną rzeczywistością. Jednym z głównych powodów, dzięki którym udało mi się na razie przebywać poza zasięgiem troskliwie wyciągniętych ramion sprawiedliwości było to, że nigdy dotąd nie powtórzyłem dwa razy tego samego numeru. Wpadałem na jakiś pomysł, wprowadzałem go w życie i na zawsze trzymałem się od niego z dala. Moje akcje miały tylko dwie wspólne cechy: przynosiły dochód finansowy i były przeprowadzane bez użycia broni. Postanowiłem, że z tym ostatnim przyzwyczajeniem najwyższy czas skończyć.

Budując osobowość Chytręgo Jima przygotowywałem równocześnie plan akcji. Był gotów w tej samej chwili, co nowe papilarki. Był też prosty jak wszystkie dobre operacje — im mniej jest detali, tym mniej rzeczy, które mogą się nie udać. Zamierzałem przejąć zysk „Maraio”, największego w okolicy supermarketu. Każdego wieczoru, dokładnie o tej samej porze, przyjeżdżał w to samo miejsce opancerzony samochód i zabierał dzienny utarg do banku. Było to niewiarygodne: karygodna lekkomyślność skrzyżowana z totalną beztróską. W związku z tym sprawa wydawała się tak prosta, jak tylko można sobie wymarzyć. Jedyne problemy stanowiło przeniesienie ciężkich paczek i ukrycie gdzieś tak olbrzymiej sumy pieniędzy w małych banknotach. W momencie gdy znalazłem odpowiedź, cała operacja była gotowa. Oczywiście na razie tylko w moim umyśle.

W dniu, w którym ponownie założyłem pas z termitem, poczułem się jak w mundurze i przystąpiłem do pracy, zapaliłem pierwszego papierosa z prawie autentyczną przyjemnością i po dwu dniach zakupów i paru prostych kradzieżach miałem wszystko co trzeba. Następnego popołudnie wyznaczyłem sobie na występ. Podstawą sukcesu była potężna ciężarówka, którą kupiłem dwa dni temu. Ona i parę nader istotnych innowacji, które wprowadziłem w jej wnętrzu. Zaparkowałem pojazd w alei o kształcie litery L, jakieś pół mili od „Maraio”. Maszyna prawie całkowicie zablokowała przejazd, ale była to nieistotna okoliczność, gdyż aleja praktycznie była używana tylko rano, gdy do magazynu dowożono towar. Do zaplecza sklepu dotarłem pieszo, prawie równocześnie z bankową pancerką. Przykleiłem się do ściany, a w tym czasie strażnicy ładowali do furgonetki worki z pieniędzmi. Z moimi pieniędzmi. Gdyby ktoś obdarzony odrobiną wyobraźni zechciał spróbować tego co ja, sytuacja przed drzwiami wydałaby mu się raczej zniechęcająca. Pięciu uzbrojonych strażników przy wejściu, dwóch wewnątrz pojazdu, do tego kierowca z pomocnikiem i trzy motocykle obstawy. Faktycznie, bardzo zniechęcające. Było mi prawie przykro, że za chwilę rozwieję to wrażenie. Przez cały czas liczyłem wózki dowożące pieniądze ze sklepu — codziennie było ich piętnaście. Ta praktyka bardzo mi ułatwiła określenie czasu. Słyszając odgłos przesuwających się po raz piętnasty kółek, zdecydowałem, że nie ma co dłużej czekać. Kierowca był dokładnie tam, gdzie powinien: w drodze do tylnych drzwi, które miał zamknąć, gdy ładowanie zostanie skończone.

* * *

Nasze ruchy były tak idealnie zsynchronizowane, jakbyśmy byli współnikami. W chwili gdy on dotarł do tylnych drzwi, ja doszedłem do szoferki. Cicho i sprawnie wspiąłem się do wnętrza i zatrzasnąłem drzwi za sobą. Pomocnik kierowcy miał tylko tyle czasu, by otworzyć usta i wytrzeszczyć oczy, gdy rozgniatąłem pod jego nosem kapsułkę z gazem usypiającym. Sam, rzecz jasna, miałem w nosie odpowiednie filtry. Odgłos padającego na podłogę ciała złął się z warkotem silnika, który zaskoczył od pierwszego dotknięcia mojej lewej dłoni. W tej samej chwili prawa dłoń wykonała gwałtowny ruch do tyłu i przez otwarte okno poleciała bombka usypiająca. To była większa bombka, ale efekt taki sam — przez cichy szum silnika usłyszałem łoskot walących się na ziemię ciał.

Cała ta operacja zajęła mi sześć sekund — akurat tyle, ile było trzeba, aby strażnicy przy wejściu zorientowali się, że coś jest nie w porządku. Pomachałem im radośnie przez okno, aby się w tym upewnili i wdusiłem gaz. Jeden z nich próbował wskoczyć do otwartego wnętrza, ale trochę się spóźnił. Sądząc z donośnych wrzasków, niewiele ucierpiał. Wszystko stało się tak szybko, że nie padł ani jeden strzał. Byłem zawiedziony — powinno być ich choć kilka, ale najwidoczniej sielska atmosfera tej planety spowolniła refleks jej mieszkańców bardziej, niż przypuszczałem. Na szczęście nie wszystkich; motocykliści byli za mną, zdążyłem ujechać sto stóp. Zwolniłem, żeby mieć pewność, że mnie dogonią, po czym przyspieszyłem na tyle, żeby nie mogli mnie wyprzedzić. Oczywiście syreny mieli włączone na pełną moc, a bronie nie dali próżnować — dokładnie tak, jak sobie

zaplanowałem. Rwaliśmy ulicą zupełnie jak na porządnym wyścigu, a wszystko, co żyło, pryskało przed nimi pod ściany. Motocykliści nie mieli nawet tyle czasu, żeby pomyśleć i zrozumieć, że sami starają się o to, abym miał wolną drogę ucieczki. Sytuacja była naprawdę wesoła i obawiam się, że skręcając za róg śmiałem się dość głośno, oczywiście do tego czasu na pewno ogłoszono alarm i przed nami blokowano właśnie ulice, ale przy szybkości, z jaką jechaliśmy, pół mili przemknęło w mgnieniu oka.

Wjechałem w aleję i równocześnie skorzystałem z jedynej przycisku znajdującego się na wieczku małego plastikowego pudełka spoczywającego w mojej kieszeni. Wzdłuż całej alei eksplodowały granaty dymne. Były naturalnie domowej produkcji, jak zresztą całość mojego wyposażenia, ale narobiły wystarczająco dużo czarnego dymu. Skręciłem w prawo, dopóki boki wozu nie otarły się lekko o ścianę budynku, i trochę zwolniłem. Motocykliści z oczywistych przyczyn nie mogli tego zrobić i pozostały im dwa wyjścia: albo stanąć, albo jechać po omacku i na coś wlecieć. Miałem nadzieję, że posiadali wystarczająco rozwinięty instynkt samozachowawczy.

Ten sam impuls radiowy, który detonował bomby, powinien otworzyć drzwi mojej ciężarówki i opuścić rampę wjazdową. Robił to, gdy testowałem sprzęt i miałem nadzieję, że robi to także w warunkach bojowych. Staralem się obliczyć dystans, jaki mi pozostał, ale musiałem trochę się pomylić, gdyż przednie koła z głośnym trzaskiem osiągnęły jeszcze nie do końca opuszczoną rampę i pojazd bardziej wskoczył, niż wjechał do środka. Miałem jeszcze na tyle przytomności umysłu, żeby natychmiast zahamować. Omal nie wjechałem do szoferki. Dym, który zrobił w okolicy regularne zaćmienie słońca, oraz moje nieco wstrząśnięte szare komórki omal położyły operację. Mijały drogocenne sekundy, a ja posuwając się wzdłuż ściany ciężarówki, usiłowałem odzyskać orientację w terenie. Nie wiem, ile czasu minęło, zanim udało mi się osiągnąć tylne drzwi i usłyszeć zdeorientowane głosy motocyklistów. Słyszeli rumor, jakiego narobiłem i zastanawiali się, co mogło go spowodować. Rzuciłem w dym jeszcze dwie bomby gazowe, żeby im zaoszczędzić przesilenia mózgow i zamknąłem drzwi. Opary zaczęły nieco rzednąć, gdy dostałem się w końcu do szoferki i zapaliłem silnik. Parę stóp do przodu i wjechałem znów w słoneczne popołudnie.

Kilkanaście stóp przede mną aleja wychodziła na jedną z głównych arterii. I właśnie tam pojawiły się dwa wozy policyjne. Gdy dojechałem do nich, okazało się, że zgodnie z przewidywaniami nikt nie zwrócił uwagi ani na mnie, ani na tę część alei, za to wszyscy bacznie obserwowali jej drugi koniec. Zadowolony z tego dodałem gazu i wyjechałem na arterię przelotową. Naturalnie dojechałem do najbliższej przecznicy, w którą skręciłem, po czym zrobiłem to ponownie na najbliższym skrzyżowaniu i ruszyłem prosto ku miejscu moich gościnnych występów sprzed paru minut. Byłoby nieźle podjechać tam i zobaczyć, jak się sprawa rozwija, lecz stanowiłoby to niepotrzebne ryzyko — czas nadal miał decydujące znaczenie.

Wyjątkowo starannie przestrzegając przepisów, dotarłem do parkingu położonego na zapleczu supermarketu, mojego celu w tym etapie podróży. Było, rzecz jasna, nieźle zamieszanie z powodu napadu rabunkowego, ale dzięki temu nikt nie zwrócił na mnie uwagi, gdy parkowałem w długiej linii wozów. Poza tym wrzała tu nadal normalna codzienna praca. Zgasilem silnik i uśmiechnąłem się z satysfakcją — pierwsza część operacji była zakończona. Wobec tego najwyższy czas wziąć się za drugą. Pogrzebałem w kieszeni w poszukiwaniu zestawu awaryjnego, przewidzianego na takie sytuacje jak ta. Normalnie nie używam stymulatorów, ale w czasie gwałtownej akcji lepiej jest nie być podatnym na zmęczenie. Zażyłem dwie tabletki limotenu i czując nagły przypływ energii, wysiadłem z wozu.

* * *

Asystent kierowcy był nadal nieprzytomny, tak samo zresztą obaj strażnicy. Z moich

doświadczeń wynikało, że pozostaną w tym stanie przez najbliższe dziesięć godzin. Przetransportowałem ich więc ku przodowi, żeby mi się żaden nie pałętał pod nogami i zabrałem się do roboty.

Z kątów wozu powyciągałem umieszczone tam uprzednio skrzynki. Były to porządne skrzynki, w których „Maraio” wysyłało swoje produkty. Ma się rozumieć, miały na bokach reklamę sklepu i były jak najbardziej autentyczne — sam je ukradłem z magazynu. Byłbym najbardziej na świecie zdziwioną osobą, gdybym dowiedział się, że ktoś zaważył ich brak. Rozstawiłem je na podłodze i zabrałem się do pakowania w nie zawartości worków. Wkrótce kapałem się we własnym pocie — minęły prawie dwie godziny, nim ostatnia skrzynka została oklejona taśmą i zaopatrzona w nalepki wysyłkowe, które nawiasem mówiąc, dostarczył mi ten sam magazyn. Co dziesięć minut rzucałem okiem przez judasz zamontowany w burcie wozu.

Na zewnątrz nic się nie działo, to znaczy działo się to samo, co każdego dnia na zapleczu supermarketu. Z pewnością policja zdążyła już obstawić całe miasto i traciła czas, przeszukując je w nadziei znalezienia pojazdu bankowego. Było prawie pewne, że ostatnim miejscem, u którym pomyślą w trakcie tego poszukiwania będzie zaplecze okradzionego sklepu. Wypisałem więc spokojnie adresy na nalepkach, nie zapominając zaznaczyć, że opłata za wysyłkę jest już pobrana, i byłem gotowy do finału. Przez ten czas zrobiło się już ciemno, ale wiedziałem, że nie jest to kłopot dla działu spedycyjnego. Dla mnie też nie.

Zapaliłem silnik i podjechałem pod pustą akurat rampę przeładunkową. Stałem tak blisko, jak tylko się dało, i poczekałem, póki wszyscy robotnicy nie zajęli się czymś innym. Wtedy otworzyłem tylne drzwi. Nawet najgłupszy z nich zacząłby się zastanawiać, widząc, że wyładowuje się skrzynie pochodzące z tego właśnie sklepu. Zdrowo się zziajałem, ale rozładunek zajął mi zaledwie półtorej minuty. Zamknąłem drzwi, usiadłem na górze, którą przed chwilą zrobiłem i zapaliłem papierosa. Nie czekałem długo. Zanim dopaliłem, pojawił się w pobliżu robot z wydziału dystrybucji.

— Chodź no! Ten M-19, który nadzorował ładowanie, miał spięcie, więc lepiej dopilnuj tej sterty.

Coś na kształt poczucia obowiązku pojawiło się w jego oczach. Po chwili pod rampę podjechała ciężarówka dostawcza i zaczęła ładować zgromadzone skrzynki. Zapaliłem następnego papierosa, obserwując z satysfakcją, jak moje skrzynki zostają przenoszone, ostemplowane i znikają we wnętrzu wozu. Wszystko, co mi teraz zostało do zrobienia, gdy zamknęła się kłapa ciężarówki, a ona sama odjechała w stronę bramy, to zaparkować swój pojazd po drugiej stronie ulicy, zmienić osobowość i zainkasować gotówkę, którą dostarczą mi do domu.

Gdy pełen ufności w przyszłość wsiałem do szoferki, aby wprowadzić w życie ten plan, po raz pierwszy dotarło do mnie, że coś jest nie tak. Przez cały czas naturalnie spoglądałem na bramę, ale nie obserwowałem jej bez przerwy. Widziałem tylko, że ciężarówki bez przeszkód kursują tam i z powrotem i że na widnokręgu nie pojawia się policja. Dostrzeżenie tego, co powinienem był widzieć już sporą chwilę temu, podziałało na mnie jak cios młotem w splot słoneczny: przez cały czas w obie strony jeździły te same ciężarówki! Wyjeżdżały jedną bramą, a wjeżdżały drugą! To mogło mieć tylko jedną przyczynę — wykluczywszy nagle zidiocenie wszystkich kierowców i całej obsługi sklepu — na zewnątrz czekała policja. I to czekała na mnie!

Rozdział 3

Pierwszy raz w życiu poczułem przeraźliwy strach zaszczutego człowieka. Był to pierwszy przypadek w mojej karierze, kiedy policja zjawiała się w chwili, gdy jej nie oczekiwałem. Forsa przepadła, to było pewne jak istnienie rozpadu atomowego, ale nic mnie to nie obchodziło. Teraz miałem inny, o wiele ważniejszy cel: ratowanie własnej i bardzo dla mnie cennej skóry.

Najpierw myśleć, potem działać — kierowałem się tą dewizą całe życie i jakoś mi się udawało. Postanowiłem spróbować i teraz, tym bardziej że bezpośrednio niebezpieczeństwo mi nie zagrażało. Naturalnie, zbliżali się, zaciskali wokół mnie pierścień, ale jak dotąd nie mieli pojęcia, gdzie na tym ogromnym terenie jestem. Skąd ta pewność? Ano, gdyby wiedzieli, nie robiliby sobie kłopotu z lewymi kursami, tylko najprościej w świecie przyjechaliby po mnie.

Pozostawało natomiast inne pytanie: w jaki sposób wpadli na mój trop? To było najistotniejsze. Nie sądzę, żeby w tutejszej policji siedziały mniejsze osły niż ci, z którymi dotąd się zetknąłem. A o lotności ich umysłów miałem swoje zdanie, które jak dotąd nigdy nie zostało podważone. Oni po prostu nie mogli być tak szybko na moim tropie, tym bardziej że, praktycznie rzecz biorąc, nie pozostawiłem go. Ktokolwiek zastawił tu pułapkę, działał wsparty logiką i zdrowym rozsądkiem. Mój mózg wypełniły niewypowiedziane słowa: KORPUS SPECJALNY.

Nic się nigdy o nim nie pisało, nikt oficjalnie o nim nie mówił. Były tylko plotki wypełniające tysiące światów w całej galaktyce. Korpus Specjalny, organ powołany przez Ligę do zajmowania się problemami, których rozwiązanie przekraczało siły poszczególnych planet. I z tego, co wiem, zajmowali się tymi problemami nader skutecznie: wykończyli po zjednoczeniu Haskell's Raiders, wykołegowali z nielegalnych interesów T. i Z. Traders, złapali Inskippa — to te najszlachetniejsze ze słynnych osiągnięć. A teraz najwyraźniej zainteresowali się moją skromną osobą.

Czekali na zewnątrz, czekali, aż spróbuję wyjść. Ich myśli, jak dotąd, biegły tym samym torem co moje, dlatego zamknęli wszystkie możliwe drogi ucieczki. Żeby się prześliznąć, musiałem szybko coś wymyślić i nie popełnić błędu. Na zewnątrz prowadziły tylko dwie drogi: przez bramę i przez sklep. Brama z pewnością była tak obstawiona, że nie przecisnąłby się tam nawet atom, a co dopiero mówić o szalonym Jimie di Griz. Ze sklepu jest parę wyjść. A więc sklep!

Już w chwili gdy o tym myślałem, wiedziałem, że patent na to wyjście nie jest mój. Oni musieli wpaść na to samo i w dodatku trochę wcześniej. Gdy sobie to uświadomiłem, znowu ogarnął mnie strach, a równocześnie wściekłość. Sam pomyśl, że ktoś może okazać się sprytniejszy ode mnie, był szokujący. Mogą próbować — zgoda, ich prawo — ale co z tego wyjdzie, to już inna sprawa. Nadal miałem w zapasie parę niezłych sztuczek. Na początek mała dywersja.

Zapaliłem silnik, skierowałem maszynę na bramę i zablokowałem pedał gazu i kierownicę, wyskoczyłem z wozu. Będąc już wewnątrz magazynu, usłyszałem miłą dla ucha kanonadę zakończoną równie miłym łomotem i całą masą wrzasków i nawoływań. Na wiodące do sklepu drzwi nałożone były wszystkie możliwe nocne zabezpieczenia i tak przedpotopowy alarm, że aż mi się go żal zrobiło. Mimo to otwarcie ich, łącznie ze zdjęciem tego zabytku, zajęło mi dokładnie siedem sekund. Kopnąłem drzwi i odskoczyłem. Nic nie zawyło, nic nie eksplodowało, lecz miałem dziwne przeczucie, że gdzieś w budynku jakiś czujnik wskazał otwarcie czegoś, co powinno być zamknięte.

Tak szybko, jak tylko mogłem, pognałem do ostatniego wyjścia po przeciwnej stronie budynku. Najcięższą robotą na świecie jest bieg spełniający dwa warunki: bezszelestność i szybkość. Moje płuca zdecydowanie protestowały, gdy wreszcie znalazłem się w pobliżu wyjścia. Nade mną i obok, w różnych częściach sklepu raz po raz błyskały latarki, więc fakt, że dotarłem nie zauważony przez nikogo do drzwi był szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Przed moim upragnionym celem stały dwa umundurowane typy. Trzymając się ściany, dotarłem

na jakieś dwadzieścia stóp od nich i posłałem granat gazowy. Przez sekundę, póki nie osunęli się bezwładnie na podłogę, byłem pewien, że mają maski. Jeden z nich zablokował sobą wyjście, więc odsunąłem go i po kolei: zdjąłem alarm, otwarłem trzy zamki i wreszcie uchyliłem drzwi na kilka cali. Razem dziesięć sekund. Reflektor nie mógł być dalej niż o trzydzieści stóp ode mnie. Światło było bardziej bolesne niż oślepiające. Instynktownie padłem na ziemię i seria z pistoletu maszynowego rozwalila drzwi na wysokości mojego pasa. Mimo prawie całkowitego ogłuszenia pękającymi nad głową pociskami słyszałem tumult biegnących ku drzwiom ludzi. Moja siedemdziesiątka piątka był już na właściwym miejscu, to jest w garści, i wywaliłem w ich stronę cały magazynek. Strzelając na oślep, miałem minimalną szansę, żeby kogoś trafić. Nie mogło więc ich to zatrzymać, lecz powinno znacznie opóźnić pościg.

* * *

Odpowiedzieli na mój ogień prawie natychmiast, a sądząc z tego, co zostało z drzwi, ich okolicy i ściany za mną, to musiał tam być cały pluton z ciężką bronią. Kawałki plastiku latały wszędzie naokoło, a gwizdzące kule szybowaly korytarzem. Była to bardzo dobra ochrona — nikt nie był w stanie usłyszeć mojego odwrotu, a przy okazji miałem pewność, że żaden podejrzliwy typ nie stoi za moimi plecami.

Rozpłaszczając się jak umiałem, przeczołgałem się w przeciwną stronę i przeraczkowałem za najbliższy narożnik. Zaryzykowałem i za drugim zakrętem wstałem, lecz ze wrokiem nie poszło tak łatwo. Ten reflektor zrobił kawał ucziwej roboty, przed oczami nadal latały mi kolorowe kręgi. Poruszałem się wolno i ostrożnie, starając się znaleźć jak najdalej od tej kanonady. Ledwo uchyliłem drzwi, zaczęli strzelać. Było to mało pocieszające: musieli mieć rozkaz zastrzelenia od ręki każdego, kto próbowałby opuścić budynek. Przyjemniaczki! A tymczasem gliny wewnątrz miały go dokładnie przetrząsnąć. Coraz bardziej zaczynałem czuć się jak schwytyany w pułapkę szczur.

Nagle wewnątrz sklepu zapłonęły wszystkie światła. Zamarłem, okazało się bowiem, że przebywam w tym pomieszczeniu razem z trzema żołnierzami. Dostrzegliśmy się w tym samym momencie. Ja prysnąłem ku drzwiom, oni pociągnęli za spusty. Kule i ja osiągnęliśmy drzwi równocześnie. Wciągnięcie w to wojska wskazywało wyraźnie, że solidnie im na mnie zależy. Po drugiej stronie były drzwi do windy i na schody. Dopadłem windy, jednym szarpnięciem otworzyłem drzwi, wdusiłem przycisk podziemnego magazynu. Szybko znalazłem się na dole. Schodów dopadłem tuż przed żołnierzami, którzy wybiegli zza roztrzaskanych drzwi. Mimo wszystko udało się, nie spostrzegli mnie. Na pierwszym piętrze byłem chyba w tym samym czasie, co oni na dole. Tak jak przewidziałem, doszli do wniosku, że jestem w windzie i z krzykiem pognali na dół. Ale jeden okazał się chytrzejszy — słyszałem ciężkie wojskowe buty wolno wspinające się w ślad za mną. Granaty już zużyłem, a iść z gołymi rękami na pistolet maszynowy nie miałem najmniejszej ochoty. Mogłem więc jedynie ruszyć w górę. I tak posuwaliśmy się: ja z przodu, z butami dyndającymi wokół szyi, najciszej jak mogłem, a z tyłu on, głośno waląc podszwami o metal schodów. Tak przewędrowaliśmy cztery piętra.

W pewnej chwili noga zamarała mi nad stopniem — z góry schodził ktoś, kto nosił takie same buciki, jakie słyszałem za sobą. Znalazłem drzwi do hallu i zanurkowałem w nie. Na szczęście nie skrzypnęły. Przede mną ciągnął się długi korytarz z licznymi drzwiami. Pognałem nim starając się osiągnąć zakręt, zanim drzwi za mną otworzą się, a ja zostanę rozcięty na dwoje eksplodującymi kulami. Korytarz zdawał się nie mieć końca i nagle zrozumiałem, że nigdy nie uda mi się uciec. Drzwi do biur były zamknięte — sprawdzałem każde w biegu. Tymczasem te za moimi plecami zaczęły się otwierać. Nie widziałem tego wprawdzie, gdyż nie traciłem czasu na oglądanie się, ale moje stojące dęba włosy były tego najlepszym dowodem. Gdy w końcu jedne z mijanych drzwi

otworzyły się pod moim naciskiem, znalazłem się w środku, zanim zrozumiałem, co się dzieje. Błyskawicznie zamknąłem je na wszystkie możliwe zamki i powoli ruszyłem przed siebie w mrok pomieszczenia. W tej chwili zapaliło się światło i zobaczyłem siedzącego za biurkiem mężczyznę. Uśmiechał się do mnie.

* * *

Jest pewna granica szoku, jaki może znieść ludzki umysł. Ja swoją już osiągnąłem. Nie obchodziło mnie w tej chwili, czy siedzący zastrzelił mnie od razu, czy poczęstuje papierosem. Osiągnąłem kres mojej drogi. On chyba też — podsunął mi cygaro.

— Poczęstuj się, di Griz. Mam nadzieję, że to twój ulubiony gatunek.

To był mój ulubiony gatunek, a ciało, nawet mając śmierć parę cali przed sobą, jest niewolnikiem przyzwyczajęń. Moje palce poruszyły się swoim własnym życiem i wzięły cygaro, usta zamknęły się na nim, a płuca nabrały powietrza. I przez cały czas moje oczy obserwowały faceta w oczekiwaniu końca. To musiało być widoczne, gdyż podawszy mi ogień, opadł na krzesło i ostrożnie położył obie ręce na blacie biurka. Nadal miałem swój pistolet skierowany w jego głowę.

— Siadaj, di Griz, i odłóż tę armatę. Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to o wiele prościej, niż ściągając cię do tego pokoju. — Uniósł brwi ze zdziwieniem, gdy zobaczył wyraz mojej twarzy. — Nie powiesz mi chyba, że sadziłeś, iż znalazłeś się tu przypadkiem?

Powiedziałbym, że ten wykazywany do tej chwili brak wyobraźni i logicznego myślenia spowodował nagły przyływ wstydu i wytrącił mnie z równowagi. Zostałem przechytrzony i ogłupiony i jedno, co mi zostało, to poddać się w spokoju ducha. Rzuciłem broń na biurko i opadłem na stojące obok krzesło. Zgarnął pistolet do szuflady i najwyraźniej się odprężył.

— Zaniepokoiłeś mnie przez chwilę. Ten sposób, w jaki przed chwilą stałeś, przewracając oczami i machając tym kawałkiem artylerii polowej...

— Kim jesteś?

Uśmiechnął się słysząc to natarczywe pytanie.

— Czy to nie wszystko jedno? Ważna jest organizacja, którą reprezentuję.

— Korpus?

— Ano właśnie. Korpus Specjalny. Chyba nie sądzisz, że to tutejsze gliny. Oni mają rozkaz zabić cię na miejscu. Dopiero jak powiedziałem im, gdzie cię można znaleźć, pozwolili Korpusowi wejść do gry. Mam w budynku kilku ludzi, to właśnie ci, co cię tu przyprowadzili. Cała reszta to element lokalny. Wszyscy ogromnie chętni do strzelaniny.

Nie było to przyjemne, lecz prawdziwe. Zostałem tu doprowadzony jak jakiś robot klasy M — z każdym posunięciem programowanym. Ten oldboy za biurkiem — dopiero teraz zauważyłem, że ma ponad sześćdziesiątkę — dokładnie mnie rozpracował. No cóż, skończyły się żarty.

— Dobra, Mr Detektyw, masz mnie pan tutaj, więc nie ma sensu tracić śliny na gadanie. Co mamy dalej w programie? Reorientację psychologiczną, lobotomię czy zwyczajny pluton egzekucyjny?

— Obawiam się, że nic z tych rzeczy. Jestem tu po to, żeby zaproponować ci pracę w Korpusie.

Rzecz była tak niesamowita, że omal nie zleciałem z krzesła wstrząsany paroksyzmami śmiechu. Ja, James di Griz, złodziej międzygwiazdny, pracujący jako glina. Było to po prostu zbyt zabawne. Zarykiwałem się do łez, a mój rozmówca przyglądał się temu z kamiennym spokojem.

— Zgadzasz się, że na pierwszy rzut oka wygląda to, łagodnie mówiąc, nienormalnie, ale jak zaczniesz myśleć, to przyznasz rację temu rozumowaniu. Kto ma lepsze kwalifikacje do łapania złodziei, jak nie inny złodziej?

W tym, co mówił było nawet trochę więcej niż ziarno prawdy, ale nie miałem zamiaru kupować

sobie wolności za taką cenę.

— Interesująca propozycja, ale nie idę na to. Nawet między złodziejami obowiązują, jak zapewne wiesz, pewne zasady.

Po raz pierwszy udało mi się go zdenerwować. Okazało się, że jest wyższy niż się zdawało, gdy siedział; jego pięść przesuwająca się przed moim nosem miała rozmiar standardowej wielkości buta.

— Co za głupoty mi tu wciskasz? Zabrzmiało, jakbyś grał w serialu kryminalnym. W całym swoim życiu nie spotkałeś drugiego podobnego do siebie i doskonale o tym wiesz. Sensem twojego życia i celem, do którego dążysz, jest indywidualizm i zadowolenie, że robisz to, czego inni robić nie mogą. To się właśnie skończyło i lepiej zastanów się, co zrobić ze sobą. Nie ma i nie będzie już międzyplanetarnego playboya, ale możesz mieć robotę, w której wykorzystane będą wszystkie twoje zdolności. Czy kiedyś kogoś zabiłeś?

Nagła zmiana tematu wytrąciła mnie ponownie z równowagi, tak że przypadkiem powiedziałem mu prawdę.

— Nie... a przynajmniej nic o tym nie wiem.

— Nie zabiłeś, jeśli ci to pomoże lepiej sypiać. Nie jesteś mordercą, co sprawdziłem dokładnie, zanim zacząłem się o ciebie troszczyć. Dlatego wiem, że wstąpisz do Korpusu i będziesz miał dużą przyjemność z łapania innego rodzaju kryminalistów. Tych, którzy są chorzy, a nie tylko ekscentryczni jak ty. Ludzi, którzy zabijają i którzy lubią to robić.

Był dla mnie za dobry. Miał odpowiedź na każde pytanie, zanim je w ogóle zadałem. Pozostał mi tylko jeden argument i użyłem go mając pewność, że niepotrzebnie tracę czas.

— A co będzie z Korpusem? Jeśli kiedykolwiek odkryją, że zatrudniłeś do brudnej roboty kryminalistę, to obaj zostaniemy z punktu zastrzeleni.

Teraz on ryknął śmiechem. Ponieważ sam nie widziałem w tym nic zabawnego, ignorowałem go, dopóki się nie uspokoił.

— Po pierwsze, mój chłopcze, ja jestem Korpusem. Mówiąc inaczej, siedzę na samej górze. A po drugie, to jak myślisz, kim jestem, świętym Piotrem? Pozwól, że się przedstawię — Harold Peters Inskipp, do twoich usług.

— Nie ten Inskipp, który...

— Ten. Inskipp Nieuchwytny. Człowiek, który o małego słonia wywołałby wojnę domową na Pharysydionie II i zrobił całą resztę, o której z zapartym tchem czytałeś w czasach swojej świetlanej młodości. Zostałem zwerbowany w taki sam sposób, w jaki teraz werbuję ciebie.

Miał na mnie haka i wiedział o tym. Dodał jeszcze parę ciekawostek, żeby mi to szybciej uświadomić.

— A jak sądzisz, kim są pozostali? Nie chodzi mi o tych radosnych młodzieńców z naszej szkółki, którzy pomogli ci trafić tutaj. Mam na myśli pełnoprawnych agentów, tych, którzy planują i koordynują operacje polowe. Kryminaliści co do jednego. To jest wielki i odważny wszechświat, ale będziesz zaskoczony problemami, jakie się w nim zdarzają. Zasadą Korpusu jest werbowanie ludzi, którzy znają się na robocie i mają spore sukcesy. Przyłączysz się?

Wszystko działo się w takim tempie, że byłem ogłupiony bardziej niż kiedykolwiek. Gdyby nie to, straciłbym pewnie jeszcze jaką godzinę na zbędną dyskusję. Zbędną, gdyż gdzieś w zakamarkach mojego umysłu decyzja już została podjęta. Podłączałem się do tego interesu. Co prawda coś na tym traciłem, ale działając w organizacji, będę pracował z innymi ludźmi. Skończę wreszcie z samotnością. Przyjaźń zrekompensuje mi to, co traciłem będąc Stalowym Szczurem.

Rozdział 4

Nigdy bardziej się nie pomyliłem. Ludzie, których spotkałem, byli zapracowani do granic możliwości. Traktowali mnie jak kolejne kółko w potężnej maszynie. Byłem skołowany i przez cały czas zastanawiałem się, jakim cudem wdepnąłem w to gówno. To znaczy nie tyle zastanawiałem się — ile rozpamiętywałem, jakim cudem dałem się tak ogłupić. Byliśmy na pewno na planetoidzie, lecz nie miałem najmniejszego pojęcia, w pobliżu jakiej planety jesteśmy ani jaki jest najbliższy układ słoneczny. Wszystko było ściśle tajne (spalić przed przeczytaniem), a to miejsce stanowiło z całą pewnością supertajną broń i zarazem główną kwaterę Korpusu. Szkołę zresztą też. Ta ostatnia bardzo mi się podobała. Była to jedyna ciekawa rzecz, trzymała mnie na miejscu i pomagała zachować zdrowe zmysły. Pomimo że uczący był tępy jak pień, materiał okazał się wprost pasjonujący. Teraz dopiero dostrzegłem, jak proste, wręcz prymitywne, były moje dotychczasowe operacje. Mając wyposażenie i technikę, jakimi dysponował Korpus, byłbym dziesięciokrotnie lepszy. Byłbym asem i mimo że doskonale wiedziałem, iż to nie nastąpi, ta myśl przez cały czas tłukła się po moim mózgu i dodawała mi energii.

Czas miałem podzielony między nudę i lipę. Jedną jego połowę spędzałem na użeraniu się z tępym wykładowcą, u drugą na kopaniu w zakurzonych aktach i przyswajaniu wiedzy o rozlicznych sukcesach i nielicznych porażkach Korpusu. W końcu miałem tego wszystkiego serdecznie dosyć i zacząłem ostrożnie rozglądać się wokół siebie. Rozważałem, czyby nie prysnąć, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ten element jest wliczony w program szkolenia. Nie miałem żadnej ochoty służyć za królika doświadczalnego. Jeśli więc nie mogłem się wyłamać, to należało spróbować się włamać. Istniało coś, co mogło skrócić mój wyrok w archiwum. Nie było to łatwe, ale znalazłem co trzeba. Zanim wszystko sprawdziłem i uporządkowałem, zapadła już głęboka noc. Ale było mi to najbardziej na rękę i w pewien sposób stwarzało o wiele ciekawszą sytuację. Jeśli chodziło o otwieranie zamków czy przełamywanie blokad w sejfach, to nie potrzebowałem żadnego nauczyciela. Drzwi do prywatnej kwatery Inskippa były zaopatrzone w tak archaiczny zamek, że omal nie poddałem się z samego wrażenia. Gdy jednak mi przeszło, dobrałem się do drzwi i stwierdziłem, że otwierają się prościej niż kibel w moim pokoju. Choć cały manewr przeprowadziłem sprawnie i cicho, Inskipp jednak mnie usłyszał. Ledwo znalazłem się w pokoju, zapłonęło światło i spojrzałem w wylot siedemdziesiątki piątki wystającej z pościeli.

— Myślałem, że jesteś mniej ograniczony — warknął jej właściciel. — Włamywać się do mojego pokoju i to jeszcze w nocy. Należałoby cię zastrzelić choćby za głupotę!

— Nie należałoby — sprzeciwiłem się stanowczo. — Człowiek obdarzony taką ciekawością jak ty zawsze będzie najpierw pytał, a potem strzelał. — Inskipp chował artylerię. — A tak w ogóle to cały ten cyrk byłby zbędny, gdybyś reagował na próby kontaktu przez wideofon.

Ziewnął rozdzierająco i zafundował sobie solidną porcję wody ze stojącej przy łóżku butelki.

— To, że kieruję Korpusem nie znaczy, że jestem Korpusem. Od czasu do czasu muszę spać. A moje połączenie jest zawsze otwarte na sygnały niebezpieczeństwa, ale nie na fanaberie potrzebujących opieki żółtodziobów.

— Znaczący, zaliczasz mnie do niedorajdów potrzebujących opieki? — zapytałem uprzejmie.

— Umieść się w jakiej chcesz kategorii — poinformował mnie, opadając z powrotem na łóżko. — A najlepiej znajdź się na zewnątrz tego pomieszczenia. Zobaczymy się jutro w godzinach urzędowania.

Doprawdy, zrobiło mi się go żal — był zdany na moją łaskę. Tak bardzo chciał spać! I tak niedługo miał być brutalnie rozbudzony!

— Wiesz może przypadkiem, co to takiego? — spytałem go łagodnie, podsuwając pod złamany

nos hologram.

Jedno oko raczyło się uchylić.

— Duży okręt wojenny. Wygląda jak liniowiec Imperium. A teraz ostatni raz mówię ci po dobroci: spieprzaj!

— Bardzo dobrze, zważywszy na późną porę — pochwaliłem go. — To jeden z ostatnich okrętów Imperium, pancernik klasy Warlord. Bez wątplenia jedno z najlepszych narzędzi zniszczenia, jakie udało się komukolwiek wymyślić: ponad pół mili ekranów ochronnych i uzbrojenie zdolne obrócić w atomy dowolnie wybrany system słoneczny...

— Wszystko się zgadza, tylko że ostatni z nich został pocięty na żyłki tysiąc lat temu — wymamrotał.

Pochyliłem się nad nim i prawie przytknąłem wargi do jego ucha, żeby nie było żadnej możliwości niezrozumienia.

— Święta prawda — odezwałem się radośnie — ale czy nie zainteresowałoby cię troszeczkę, gdybym ci powiedział, za jeden taki jest dziś budowany?

Och, to było naprawdę piękne! Prześcieradła poleciały w jeden koniec łóżka, Inskipp w drugi. Jednym ciągłym ruchem zmienił położenie z horyzontalnego na pionowe i zamarł, oparty o ścianę z hologramem w garści. Wpatrywał się weń, stojąc plecami do światła. Najwyraźniej nie wierzył w przydatność dołu od piżamy i z przykrością zauważyłem, że nogi zaczynają mu się lekko trząść. Gdy się odezwał, głos błyskawicznie zrównoważył to wrażenie: był spokojny i zimny jak zwykle — no, poza paroma wypadkami, gdy miał ze mną do czynienia, ale nie o to chodzi.

— Gadaj, di Griz — ryknął — gadaj całą prawdę! Co to za nonsens z tym pancernikiem? I kto go buduje?

Zamiast gadać, podsunąłem mu trzymaną w pogotowiu teczkę z dokumentacją i obserwowałem go spod oka. Z prawdziwą przyjemnością zauważyłem, że jego fizjonomia przybiera kolor dojrzałego pomidora. Moje chwile przewagi były tak rzadkie, że w najmniejszym stopniu nie czułem z tego powodu wyrzutów sumienia.

— Wsadzenie Jima di Griz do archiwum i zlecenie mu przekopania się przez prawie stuletnie akta jest bez wątplenia idealnym zajęciem dla kogoś takiego. Uczy go dyscypliny. Pokazuje, po co został powołany Korpus i uświadamia jego osiągnięcia. A przy okazji zaprowadza porządek w aktach. Na marginesie, muszę cię z przykrością zawiadomić, że te zbiory ciągle wymagają uporządkowania. Oczywiście, jeśli w ogóle są komuś potrzebne.

Inskipp otworzył usta, lecz wydał z siebie tylko jakiś nieartykułowany charkot i zamknął je. Bez wątplenia zrozumiał, że jakiegokolwiek próby przerywania mi przedłużą tylko moje wyjaśnienia. Uśmiechnąłem się uprzejmie, doceniając jego przenikliwość, po czym kontynuowałem:

— Tak więc pomyślałaś sobie, że nic prostszego, jak usadzić mnie tam w celu utemperowania mojej osoby, a to pod pretekstem „zapoznania się z działalnością Korpusu”. Z przykrością zawiadamiam cię, że ten plan wziął w łeb! Natomiast stało się coś innego: wsadziłem nos w akta i znalazłem pewną ciekawostkę. Specjalnie interesujące są tam dwie rzeczy: zestaw C i M, Katalog i Pamięć. Ten budynek jest pełen maszyneryj rejestrującej i katalogującej wszystkie nowości i meldunki ze wszystkich planet Ligi. Szczególnie zainteresowały mnie statki kosmiczne. Zawsze zresztą miałem słabość na ich punkcie...

— Zgadza się — przerwał mi. — Ukradłeś ich tyle, że zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Posłałem mu spojrzenie zranionej niewinności i powoli ciągnąłem:

— Nie będę cię zamęczał zbędnymi szczegółami, skoro wyglądasz na zupełnie niezainteresowanego, ale ewentualnie mogę pokazać ci ten plan.

Wydarł mi papier, zanim zdążyłem do końca wyjąć go z portfela.

— Co to ma być? — warknął wpatrując się weń. — Przecież to ordynarny ciężki transportowiec z pokładem pasażerskim. Taki z niego pancernik klasy Warlord jak ze mnie panienka!

* * *

Dużym osiągnięciem jest złożyć wargi w ciup i jednocześnie zachować dobrą dykcję, ale jakoś mi się to udało.

— Nie oczekiwałeś chyba, że ktoś w kartotece Ligi zarejestruje plan budowy pancernika? Ale jak ci już powiedziałem, znam się trochę na statkach. Już te stare kolosy, które mamy, ze względu na swoje rozmiary pożerają tyle paliwa, że nikt nawet nie ośmiela się zaproponować budowy nowych. To zmusiło mnie do myślenia i kazałem podać komputerowi dokładną listę statków tej wielkości, które zostały kiedykolwiek wybudowane. Możesz sobie wyobrazić moje zaskoczenie, gdy po trzech minutach warczenia ta siara blaszanka wyrzuciła z siebie wykaz sześciu sztuk. Pierwszy był budowany z myślą o misji w drugiej galaktyce i z tego, co mi wiadomo, nadal jest w drodze. Pozostała piątka to różne wersje transportowców kolonizacyjnych klasy D — w czasie Ekspansji były dość popularne. Są jednak zbyt duże, aby były teraz przydatne. To mi nadal nic nie mówiło, a szczególnie nie wyjaśniało, po co komu taki statek. Zdjąłem więc z pamięci blokadę czasową i kazałem przepatrzyć całą historię w poszukiwaniu czegoś podobnego. Chyba mu się bezpieczniki przegrzały, ale znalazł. Było tylko jedno takie coś, dokładnie w środku Złotego Wieku Imperium: pancernik Warlord. Maszynka była na tyle uprzejma, że podała mi jego plany.

Inskipp ponownie wyrwał mi kartkę i zaczął porównywać oba plany. Stałem za nim i przez ramię pokazywałem co ciekawsze fragmenty.

— Jeśli wstawić przegrody w tym miejscu, to siłownia sięga tylko dotąd, co daje właścicielowi kolosalną ilość wolnego miejsca. To i to wyrzucamy i są gotowe podstawy pod wieże artylerii głównej i pod wyrzutnie torped. Zmiana tego, dodanie tamtego i porządny transportowiec staje się wzorowym pancernikiem. Te zmiany mogą być wprowadzane stopniowo w trakcie budowy, niby jako rozmaite innowacje. Zanim ktokolwiek w Lidze połapie się, co jest grane, ta zabawka zostanie ukończona i wystrzelona. Oczywiście, być może to wymysł mojej chorobliwej wyobraźni i dzieło przypadku, że te plany tak pięknie do siebie pasują. Ale jeśli tak jest, to nadaję się tylko do porządkowania archiwum.

Inskipp zbyt długo był kimś takim jak ja, żeby nie wyczuć smrodu na odległość. Zanim skończyłem, zaczął się ubierać, a ledwo zamilkłem, rzucił pytanie:

— Jak się nazywa ta miłująca pokój planeta, która buduje tę zmorę z przeszłości?

— Cittanuvo. Druga planeta gwiazdy B w Corona Borealis. Jedyna skolonizowana w całym systemie.

— Nigdy o niej nie słyszałem — padło od drzwi wejściowych. Inskipp był już w drodze do biura. — Co może być równie dobre jak złe. Nie pierwszy raz kłopoty zaczynają się na jakimś zadupiu, o którego istnieniu dotąd w ogóle nie miałem pojęcia.

Z podziwu godną troską o innych, śpiących snem sprawiedliwych, Inskipp uruchomił alarm i nader szybko zaspani urzędnicy zarzucili nas dokumentacją z niezbędnymi danymi. Zagłębiliśmy się w tej stercie razem. Odebrane w młodości dobre wychowanie powstrzymywało mnie od wyrażenia swojej opinii, ale niedługo poczekałem, a z ust Inskippa usłyszałem dokładnie to samo.

— Im dłużej na to patrzę, tym bardziej mi śmierdzi. Ta planeta nie ma żadnych powodów ani żadnych możliwości użycia pancernika, przynajmniej według tych danych, które są w aktach. Ale nie da się ukryć, że go budują. Powstaje pytanie, co zamierzają z nim zrobić, gdy już będą go mieć. Nie są kulturą ekspansywną, bogatą w ciężkie metale, i mają rynki zbytu na całą swoją produkcję. Nie

mają wrogów ani historycznych, ani współczesnych. Gdyby nie ten pancernik, nazwałbym ich idealną planetą Ligi. Muszę mieć więcej danych o tej sprawie. I to jak najszybciej.

— Już zawiadomiłem kosmodrom, w twoim imieniu oczywiście — poinformowałem go grzecznie. — Kazałem przygotować najszybszą jednostkę, jaką mają. Za godzinę wyruszam.

— Nie rozpędziłeś się za bardzo, di Griz? — Jego głos nie był przyjemny. — Wydaje mi się, że jak na razie to ja rządę tym śmietnikiem. I pozwól sobie przypomnieć, że ja ci powiem, kiedy nadejdzie czas, gdy będziesz gotowy do samodzielnej akcji.

Wysiliłem całą swoją dyplomację i dołożyłem sporo wazeliny, gdyż od decyzji Inskippa naprawdę wiele zależało.

— Starłem się tylko pomóc, szefie, i mieć w pogotowiu parę rzeczy na wypadek, gdybyś potrzebował więcej informacji — powiedziałem słodko. — A poza tym to nie jest żadna operacja, tylko mały rekonesans. Żeby to wykonać, nie trzeba jakiegoś superagenta. Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, może to zrobić. Ja też. A to mi da doświadczenie potrzebne do tego, żebym pewnego dnia miał wystarczające kwalifikacje do osiągnięcia...

— Zaniknij się i przestań zalewać mnie potokami swojej elokwencji, dopóki jeszcze mogę złapać oddech. Zjeżdżaj stąd! Dowiedz się, co tam jest grane i wracaj. Nic więcej nie masz do roboty. I to jest rozkaz!

Ze sposobu, w jaki to powiedział, poznałem, że sam nie wierzy, aby sprawy tak się potoczyły. I miał rację.

Rozdział 5

Krótki przystanek w magazynie i w sekcji pamięci otrzymałem wszystko, czego potrzebowałem. Słońce było akurat ładnie widoczne nad horyzontem, gdy moją łupinę wystrzelono w przestrzeń. Podróż zajęła mi zaledwie parę dni, akurat trochę więcej niż potrzebowałem na zapamiętanie o Cittanuvo wszystkiego, co było konieczne. Im więcej wiedziałem, tym mniej mi to grało. Przed powstaniem Ligi Cittanuvo była sprzymierzona z kilkoma planetami w systemie Celliniego; nadal zresztą podtrzymywano ten sojusz. Dość często sprzymierzeńcy na siebie pyskowali, ale nigdy nie próbowali dać sobie po pysku. A poza tym sojusz jako taki zawsze dostawał gęziej skórki na samą myśl o wojnie. No, ale mimo to budowali sobie pancernik. Doszedłszy do tego miejsca, przestałem łamać sobie głowę i zabrałem się za dość skomplikowane problemy trójwymiarowych szachów, które wypełniły mi czas do chwili lądowania.

Jedno z moich najlepszych haseł brzmiało: tajemniczość musi być manifestacyjna. Inaczej mówiąc, stosowałem zasadę, którą magicy określają jako odwrócenie uwagi. Z tej to prostej przyczyny lądowałem w południe na największym kosmodromie planety po nader widowiskowym przyziemieniu. Zanim wsporniki przestały wibrować wskutek zetknięcia się z gruntem, schodziłem już na płytę, ubrany odpowiednio do roli. Mały robot klasy M-3 toczył się za mną obładowany bagażem. Wziąłem namiar na główną bramę, ignorując nagłą aktywność celników przy budynku. Dopiero gdy jakiś umundurowany urzędnik przygalopował do mnie, raczyłem na niego zwrócić uwagę, zanim zdążył się odezwać, nabrałem powietrza w płuca i stojąc jedną nogą poza bramą, wyrzuciłem z siebie jednym tchem:

— Macie tu piękną planetę. Cudowny klimat! Idealne miejsce, żeby się osiedlić. Przyjaźni ludzie, zawsze gotowi pomóc obcemu. To właśnie lubię, to mnie podnosi na duchu. Bardzo mi miło pana poznać. Jestem Wielki Książę San Angelo — to mówiąc złapałem jego prawicę i potrząsałem nią energicznie, pozwalając przy okazji wsunąć się w nią banknotowi stukredytowemu, po czym dodałem: — Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby pan mógł poprosić tu celników, aby rzucili okiem na mój bagaż. Nie ma sensu marnować czasu, nieprawdaż? Statek jest otwarty i mogą go obejrzeć w każdej chwili, gdy będą mieć na to ochotę.

Moje zachowanie, ubranie, biżuteria i sposób, w jaki rozpylałem wokół siebie gotówkę, mogły oznaczać tylko jedno. Było w ogóle niewiele rzeczy wartych szmuglowania na lub z Cittanuvo, a z całą pewnością nie było nic takiego, co byłoby warte zachodu dla bogatego arystokraty. Urzędnik wymamrotał coś pod nosem, skłonił się, uśmiechnął przyjaźnie, chwycił za telefon i sprawa była załatwiona. Kilku celników spojrzało na zawartość jednej z moich walizek, aby formalności stało się zadość, i to było wszystko. Potem nastąpiło gremialne klepanie się po plecach, potrząsanie rąk (z załącznikami, rzecz jasna) i całe mnóstwo przyjacielskich okrzyków. Jednym słowem, bardzo udana impreza towarzyska. Wnet byłem już w drodze do hotelu podstawionym natychmiast samochodem kontroli lotów; oczywiście z robotem i stertą bagaży na tylnym siedzeniu.

* * *

Statek był całkowicie czysty. Wszystko, czego mogłem potrzebować, znajdowało się w moim bagażu. Prawdę mówiąc, w dziewięćdziesięciu procentach składał się on z rzeczy śmiercionośnych, wybuchających i w ogóle niezbyt mile widzianych przez jakichkolwiek celników. W bezpiecznym zaciszu hotelowego apartamentu dokonałem zmiany osobowości i kostiumu. Wcześniej pokój został gruntownie sprawdzony przez robota.

Bardzo fajne te roboty Korpusu. Wygląda to i działa jak zwykły głupol M-3, praktycznie zaś jest wszystkim, tylko nie tym, na co wygląda. Jego mózg ma klasę najlepszych znanych mi mózgow mechanicznych, a cały niepozorny kadłub jest wypełniony najróżniejszymi mechanizmami i

narzędziami wysoce użytecznymi dla agenta. Miły ten drobiazg oblaźł całe pomieszczenie z przyległościami i pod pozorem rozpakowania bagażu przepatrzył każdy cal wnętrza, po czym stanął przede mną i zameldował:

— Wszystkie pokoje sprawdzone. Rezultat negatywny, poza jedną optyczną „pluskwą” w tej ścianie. — Tu wskazał manipulatorem znajdującą się nad nim płaszczyznę.

— Nie powinieneś tego robić — upomniałem go delikatnie. — Może się to wydać dziwne temu, kto nas obserwuje. Wiesz, ta niezaspokojona ludzka ciekawość...

— Niemożliwe — odparło indywiduum z mechaniczną pewnością siebie. — Zbiłem ją przy przeszukiwaniu.

Nie pozostało mi nic innego, jak mu uwierzyć. Pobylem się więc kąpiących przepychem rzeczy i wdziałem czarny galowy uniform admirała Floty Kosmicznej Ligi. Był kompletny, licząc w to złoty sznur, askelbanty, odznaczenia i wszystkie niezbędne papiery. Poczulem się trochę nieswojo w tym widocznym z daleka przyodziewku, ale powinien on zrobić na tubylcach jak najlepsze wrażenie. Podobnie jak na wielu innych planetach. Wszyscy — poczynając od chłopców hotelowych, przez śmieciarzy, a kończąc na urzędnikach — lubowali się tu we wszelkiego rodzaju uniformach. Widocznie wierzyli, że mundur dodaje powagi stanowisku i wykonywanej pracy. Nie miałem nic przeciw temu. Mój na pewno doda mi obu w nadmiarze. Długi płaszcz skutecznie osłaniał mundur. Nie miałem ochoty wzbudzać sensacji w hotelu. Nie wiedziałem tylko, gdzie podziąć lamowaną złotem czapkę i nieodłączną oficerską aktówkę. Nigdy nie udało mi się dokładnie sprawdzić możliwości mojego pseudo M-3, toteż wcale nie byłem zaskoczony, gdy rozwiązał on moje zmartwienie.

— Hej, ty, mały pękaty — zawołałem. — Masz jakieś schowki czy szuflady wbudowane w swoją skromną osobę? Jeśli tak, to pokaż no je!

Przez moment myślałem, że robot eksplodował. Miało to więcej szuflad niż bateria kas sklepowych — duże, małe, głębokie, płytkie, do wyboru i koloru, i to z każdej strony kadłuba. W jednej był pistolet z zapasowymi magazynkami, w drugiej pistolet maszynowy, dwie następne były wypełnione granatami, a reszta świeciła pustką. Włożyłem do jednej czapkę, a do drugiej aktówkę i strzeliłem palcami. Szuflady schowały się błyskawicznie i metalowy kadłub znowu lśnił jednolitą powierzchnią.

Włożyłem na głowę fantazyjną sportową czapkę, podniosłem kołnierz płaszcza i byłem gotów. Bagaż był bezpieczny bez mojej opieki: miał wystarczającą liczbę pułapek w rodzaju granatów, gazu, trujących igieł i podobnych rzeczy, więc nie musiałem się o niego bać. W sytuacji krytycznej mógł się nawet samoczynnie wysadzić w powietrze, toteż należało się raczej martwić o tego, kto by przy nim grzebał.

M-3 pojechał windą towarową, ja powędrowałem tylnymi schodami. Spotkaliśmy się na ulicy i wzięliśmy samochód. Musieliśmy tak manewrować, aby dom prezydenta Ferraro osiągnąć po zapadnięciu zmroku. Jak przystało naczelnikowi bogatej planety, miał całkiem luksusową rezydencję, ale środki ochrony były, delikatnie mówiąc, niecodzienne. Przeprowadziłem siebie i trzystupięćdziesięciokilowego robota przez strażę i systemy alarmowe bez wzbudzenia jakiegokolwiek zainteresowania. Prezydent właśnie spożywał kolację. Dało mi to wystarczająco dużo nie zakłócanego przez żadnych natrętów czasu na przeszukanie jego gabinetu. Nie znalazłem dosłownie nic. To znaczy nic o wojnie i pancernikach, bo gdybym był zainteresowany szantażem, to miałbym dostateczną ilość dowodów korupcji politycznej, żeby wcale poważnie zabezpieczyć się na stare lata. Jednak drobiazgi mnie nie interesowały, więc byłem zmuszony pogawędzić sobie z panem prezydentem.

Gdy wrócił z kolacji, pokój był cichy i ciemny. Słyszałem, jak pod nosem przeklinał służbę w trakcie wymacywania kontaktu. Zanim go znalazł, robot zamknął drzwi i zapalił światło. Siedziałem sobie za biurkiem prezydenta, mając przed sobą wszystkie jego osobiste papiery. Poparte były wagą spoczywającej na nich siedemdziesiątki piątki i tak oficjalnym wyrazem twarzy, do jakiego zdołałem zmusić mięśnie. Zanim zdążył otrząsnąć się z szoku wywołanego tym widokiem, szczerknąłem rozkazująco:

— Chodź tu i siadaj! Ale szybko!

Ponieważ w tym czasie robot najeżdżał mu na pięty, nie miał innej możliwości, jak posłuchać. Zobaczywszy na biurku papiery, wytrzeszczył oczy i wydał jakiś nieartykułowany dźwięk z głębi gardła. Zanim zdążył zrobić coś więcej, rzuciłem mu cienką książeczkę.

— Jestem admirał Thar, Flota Kosmiczna Ligi. Tu są moje upoważnienia i lepiej je sprawdź, zanim przejdziemy do dalszego ciągu.

Dokumenty były równie dobre jak prawdziwe admirałskie, więc nie miałem nic przeciw temu, żeby je sobie obejrzał. Zrobił to na tyle szczegółowo, na ile pozwalał mu aktualny stan psychiczny, ba, sprawdził nawet pieczętkę w ultrafiolecie. Dało mu to trochę czasu na przyjście do siebie i stawał się nawet bezczelny.

— Co ma znaczyć to najście mego domu i bezprawne...

— Jesteś w poważnych tarapatach — przerwałem mu grobowym głosem.

Twarz pana prezydenta stała się niezdrowo szara. Poszedłem za ciosem.

— Aresztuję cię za spiskowanie, korupcję, kradzież i wszystkie inne przestępstwa, które wyłonią się po dokładnym zapoznaniu się z tymi dokumentami. Obezwładnij go!

Ostatnie zdanie skierowane było do robota, który — dokładnie przedtem poinstruowany — świetnie zagrał swoją rolę i unieruchomił ręce prezydenta w swoich stalowych dłoniach. Prezydent ledwie to zauważył.

— Ja wszystko wyjaśnię — pisnął rozpaczliwie. — Wszystko da się wytłumaczyć bez zwracania głowy oficjalnym czynnikom. Nie wiem, o jakie papiery chodzi, więc nie jestem w stanie powiedzieć, czy przypadkiem nie są podrobione. Mam wielu wrogów. Gdyby Liga wiedziała, na jakie przeszkody natrafia się, chcąc rządzić taką planetą...

— Wystarczy! — przerwałem mu. — Te wątpliwości zostaną rozstrzygnięte przez sąd. Sąd też znajdzie odpowiedź na wszystkie pytania. Jest tylko jedno, na które chciałbym otrzymać odpowiedź natychmiast. Po co budujecie ten pancernik?

* * *

Ten człowiek był wielkim aktorem. Oczy omal nie wylazły mu z orbit, szczęka opadła, osunął się w głąb krzesła jak po trafieniu młotem w żołądek, a gdy odezwał się, głos pozbawiony był jakiegokolwiek pewności siebie. Jednym słowem przedstawiał swoim zachowaniem wszystkie objawy zranionej niewinności.

— Jaki pancernik? — wyjąkał.

— Pancernik klasy Warlord, budowany w Ceneventola Spaceyards, zgodnie z tym, co tu napisane. — Rzuciłem mu plany na stół i wskazałem prawy górny narożnik. — Tu jest twój podpis autoryzujący konstrukcję.

Ferraro z obłędem w oczach zabrał się do sprawdzania planów, w czym robot, trzymając go chwilowo za jedną rękę, mu nie przeszkadzał. Ja też nie przeszkadzałem. W końcu i tak wyjdzie na moje. Wreszcie odłożył dokumentację i potrząsnął głową.

— Nic nie wiem o żadnym pancerniku. To są plany nowego liniowca towarowego. Zgadza się, podpisywałem je.

Zadałem mu pytanie, starannie modulując głos, tak jakbym właśnie doszedł do sedna tego, co chciałem od niego usłyszeć:

— Zaprzeczasz, jakobyś cokolwiek wiedział o tym, że pancernik klasy Warlord jest budowany według przedstawionych ci planów?

— To są plany zwykłego liniowca towarowego z pokładem pasażerskim, i to wszystko, co wiem na ten temat.

Głos miał jak niewinnie posądzone dziecko. Usiadłem wygodnie, zapaliłem papierosa i odezwałem się uprzejmie:

— Może zainteresowałoby cię kilka informacji o tym robocie, który tak troskliwie cię trzyma? — Spojrzał w dół, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego faktu. — To nie jest taki sobie zwykły robot, ma mnóstwo wbudowanych ciekawostek i mogę cię zapewnić, że kryje dużo niespodzianek. Na przykład w opuszkach palców ma czujniki termiczne, galwanometry i jeszcze trochę zbliżonych urządzeń. Gdy mówisz, rejestruje twoją temperaturę, ciśnienie, stopień potliwości i analizuje te dane. Mówiąc prościej, jest to doskonały wykrywacz kłamstw. Teraz posłuchamy sobie o twoich małych kłamstewkach.

Ferraro wyrwał dłoń z uścisku robota z taką odrazą, jakby miał do czynienia z wyjątkowo jadowitym wężem. Całkiem zadowolony z przebiegu wizyty wypuściłem kółko dymu i zażądałem:

— Raport! Czy ten człowiek powiedział jakieś kłamstwo?

— Wiele — odezwał się mechaniczny głos. — Dokładnie siedemdziesiąt cztery procent wszystkiego, co powiedział, to kłamstwa.

— Bardzo ładnie — pochwaliłem go. — To znaczy, że wie wszystko o tym pancerniku.

— Obiekt nie ma żadnych informacji o pancerniku — sprostował zimno robot. — Jedyna prawdziwa część jego wypowiedzi dotyczy pancernika.

Teraz z kolei mi opadła szczęka i ja wytrzeszczyłem oczy, Ferraro zaś pozbierał się do kupy. Co prawda, nie miał pojęcia, że jego pozostałe sprawy mnie nie obchodzą, ale mimo wszystko wzmocnił swoją pozycję w rozmowie. W końcu udało mi się opanować. Odważnie spojrzałem prawdzie w oczy. Jeśli prezydent nie miał pojęcia o pancerniku, to musiał zostać zmylony jakimś sprytnym kamuflażem. Ale jeżeli to nie on był odpowiedzialny za całe przedsięwzięcie, to kto? Jakaś militarystyczna klika, której zachciało się panowania nad galaktyką? Nie miałem tylu danych o planecie, więc postanowiłem przeciągnąć prezydenta na swoją stronę. Wydawało się to całkiem proste, nawet gdyby nie istniała ta zajmująca kolekcja dokumentów leżąca przede mną. Wystarczyło tylko powiedzieć, że nic mnie nie obchodzą, a natychmiast miałbym sprzymierzeńca. Ale nie było potrzeby. Ledwo pokazałem mu drugi zestaw planów i wytłumaczyłem konsekwencje, zrozumiał i — co więcej — rozwścieczył się na pomysłodawców bardziej niż ja. Niespecjalnie mu się dziwię, ostatecznie to jego administracja i nazwisko służyły za zasłonę dymną, nie moje. Zgodnie z cichą umową reszta papierów uległa zapomnieniu.

Zgodziliśmy się, że następnym krokiem będzie Ceneventola Spaceyards. Co prawda, Ferraro wpadł na pomysł cichego powęszczenia wokół tej sprawy — ot tak, na wypadek opozycji politycznej — ale ustąpił, gdy mu wytłumaczyłem, że Liga, a w szczególności Flota Ligi są najbardziej zainteresowane natychmiastowym wstrzymaniem budowy, a dopiero potem znalezieniem spryciarzy. Będzie wtedy miał dość czasu na politykę. Osiągnęliśmy porozumienie i pan prezydent czym prędzej zadzwonił po wóz i obstawę. Ruszyliśmy w odwiedziny do stoczni. Podróż trwała cztery godziny, aż za długo, żeby ułożyć sobie plany na przyszłość.

* * *

Właściciel stoczni nazywał się Rocca i był pogrążony w słodczy marzeń sennych, gdy

przyjechaliśmy. Ale ten błogi stan nie trwał już długo. Parada mundurów i broni w środku nocy przeraziła Roccę tak, że ledwo mógł chodzić. Sądzę, że gdyby poszukać w jego gabinecie, to znalazłyby się przyczyny tego strachu podobne jak u pana prezydenta. Żaden niewinny człowiek, o ile nie żyje w państwie totalitarnym, nie osiąga bez powodu takiego stopnia przerażenia. A to nie było państwo totalitarne.

Posłałem do Rokki mój wykrywacz kłamstw i wziąłem się do przesłuchania. Jeszcze zanim robot złożył raport, wiedziałem, co się święci. Było to trochę przerażające — otóż pan Rocca nie miał bladego pojęcia o prawdziwym przeznaczeniu statku, który budowano w jego stoczni. Człowiek mniej pewny siebie albo taki, który w młodości prowadził przykładniejsze życie, przy takim rozwoju wypadków zwątpiłby w swoje rozumowanie. Ja nie. Ten statek nadal za mocno przypominał okręt wojenny. Znajac naturę ludzką od tej gorszej strony wolałem przyjąć bardziej przekonujące założenie, że to zła wola i świetny kamuflaż, a nie nieszczęśliwy zbieg przypadków. Jakkolwiek by było, najprościej poddać teorię próbie praktycznej.

— Rocca! — warknąłem tak, jak wyobrażałem sobie, że robią to prawdziwi oficerowie. — Spójrz no na te plany. Czy to coś na dziobie jest w tym, co budujesz? Ta osłona kadłuba?

Natychmiast potrząsnął głową i odparł:

— Nie, plany zostały zmienione. Zamontowaliśmy tam jakiś nowy reflektor osłony przeciwmeteorytowej.

Poczułem, że jestem w domu. Była to pierwsza i najbardziej oczywista zmiana konstrukcyjna, o ile to miał być pancernik. Pewno, że osłona. Nawet nie łgali zanadto. To był reflektor półmilowych ekranów siłowych. Podsunąłem mu pod nos drugi zestaw planów.

— Czy ten twój nowy reflektor nie wygląda przypadkiem w ten sposób?

Przez chwilę przyglądał się temu, co mu pokazałem.

— Cóż — odrzekł w końcu. — Nie powiem na pewno, te wszystkie detale nie są moją specjalnością. Ja jestem tylko odpowiedzialny za całość wykonania. Ale to wygląda zupełnie jak ta rzecz, którą zamontowaliśmy. Duże to, mnóstwo generatorów mocy...

A więc nie było wątpliwości — miałem słuszość. Nagle, w trakcie składania samemu sobie gratulacji, dotarło do mnie znaczenie tego, co usłyszałem.

— Zainstalowaliśmy! — ryknąłem. — Powiedziałeś, że to już tam jest?!

Rocca podskoczył od tego wrzasku, ale potwierdził:

— Tak... nie tak dawno temu. Pamiętam, bo były z tym kłopoty...

— I co jeszcze? — przerwałem. Po plecach zaczynała mi maszerować stonoga w lodowatych kapciach. — Napęd, sterowanie też są już zamontowane?

— Co? Owszem. Skąd pan wie? Normalna procedura została zmieniona, przysparzając nam zresztą całą masę kłopotów.

Stonoga zmieniła się w rzekę płynnego przerażenia. Zaczynałem mieć wrażenie, że dałem się zrobić w jajo w każdym calu. Wprawdzie według dokumentacji datą gotowości miał być przyszły rok, ale skoro zmienia się zasadniczą treść tej dokumentacji, to cóż stoi na przeszkodzie, by zmienić i taki szczegół?

— Wozy! Broń! — wrzasnąłem. — Do doku! Jeśli ten okręt jest tak bliski ukończenia, to jesteśmy w poważnych opałach!

* * *

Z ogłuszającym wyciem syren, oślepiającymi światłami i wciśniętym do dechy gazem przewaliliśmy się przez spokojne miasto jak hordy piekielne. Prosto do doku. Mogliśmy zaoszczędzić sobie wysiłku — i tak się spóźniliśmy. Umundurowany strażnik przy bramie machnął do nas

rozpaczliwie — to też był zbędny wysiłek. Statku nie było! Rocca nie mógł w to uwierzyć, podobnie zresztą prezydent. Obaj łazili tam i z powrotem wzdłuż miejsca, w którym powinien się znajdować, i kręcili głowami. Ja zostałem w wozie. Gryzłem cygaro i przeklinałem się za głupotę. Zaabsorbowany wizją rządu budującego sobie pancernik, pomiąłem rzecz oczywistą. Rząd był w to zamieszany — pewno, że był — ale jako osłona. Żaden polityk z tego zadupia nie był w stanie wpaść na taki pomysł. To śmierdziało Szczurami, i to z gatunku Stalowych. Kimś, kto działał tak, jak to ja miałem w zwyczaju. Teraz, kiedy nie było czego pilnować, wiedziałem, gdzie szukać i domyślałem się, co znajdzie.

W tym czasie Rocca, wrywając sobie włosy, kłął i płakał równocześnie. Ferraro zaś trzymał w garści pistolet i wpatrywał się w Roccę tępo. Trudno było powiedzieć, czy planuje morderstwo, czy samobójstwo. Nie wzruszało mnie to specjalnie; wszystko, czym on mógł się martwić, to następne wybory, kiedy to opozycja i wyborcy nie darują mu straty statku. Moje kłopoty były trochę większe. Miałem znaleźć ten pancernik, nim wyrąbie sobie drogę przez galaktykę.

— Rocca! Włóż do wozu! Chcę zobaczyć twoje akta. Wszystkie akta, i to zaraz.

Włóż. Powoli rozjaśniające się mroki nocy — już świtało — przywróciły go do przytomności.

— Ale admirale... godzina! Wszyscy śpią...

Parsknąłem i to wystarczyło. Rocca zrozumiał, że sprawa jest poważna i chwycił za samochodowy telefon. Gdy przyjechaliśmy, drzwi biura były już szeroko otwarte. Normalnie kłąłem biurokrację, aż się kurzyło, ale tym razem błogosławiłem ich. Mieli wszystko: od projektu po rachunki za nity, i to w pięciu egzemplarzach. Fakty, których tu szukałem, były w komplecie. Wszystko, co musiałem zrobić, to uporządkować je chronologicznie.

Zamiast zaczynać od początku, zacząłem od zmian konstrukcyjnych, najpierw od wież artyleryjskich. Kiedy urzędnicy pojęli, czego szukam, rzucili się do pracy zagrzewani zarówno patriotycznym oburzeniem, jak i grzmiącym rykiem zdesperowanego szefa. Wystarczyło, że wskazałem linię poszukiwań, i na biurko zaczęła spływać lawina dokumentów, z których fragment po fragmencie wyłaniał się plan całego przedsięwzięcia, łącznie z oszustwami, mistyfikacjami i innymi nieodzownymi atrybutami. Żeby coś takiego wymyślić i wprowadzić w życie, potrzeba było tak zdeprawowanego umysłu jak mój własny. Gwizdnąłem z podziwu, gdy obraz się wypełnił. Jak każdy wielki pomysł tak i ten był standardowo prosty.

Ci, którzy chcieli mieć pancernik, rozpoczęli od końca: od utworzenia firmy spedycyjnej i wszczęcia kampanii propagującej ideę transportu kosmicznego na wielką skalę. Kiedy pomysł chwycił, zaczęli przekonywać, jak potrzebne jest szybkie zrealizowanie go, a już samo to wymagało geniusza: te wszystkie poparcia, reklamy i ponaglenia, oficjalne i prywatne, prawdziwe i fałszywe, kursujące we wszystkie strony. Potem zarządzono budowę i ta sama kołomyja powtórzyła się, tyle że ze zdwojoną siłą. Osobnymi majstersztykami były zmiany konstrukcyjne wprowadzane w czasie budowy. Ich źródła tak przemysłnie ukryto, że docierałem do nich z prawdziwym trudem. Część innowacji wyglądała na tak nieuzasadnione, że nie miałem pojęcia, jakim cudem je zatwierdzono, dopóki nie zauważyłem, że odpowiedzialne za zmiany sekretarki akurat wtedy chorowały. Padła na nie prawdziwa epidemia zatruc. Każda z nich ulegała jej dość regularnie wtedy, gdy do szefa przychodziły do zatwierdzenia dokumenty statku. I każda była zastępowana przez jedną i tę samą dziewczynę, która pozostawała tak długo, jak długo w biurze znajdowały się plany. I plany te były akceptowane w taki sposób, na jakim zależało pomysłodawcom. Dziewczyna była z pewnością asystentką Mistrza, który to wszystko wymyślił. On nadzorował całość, siedząc jak pajak w środku sieci, a ona zajmowała się szczegółami. Z początku sądziłem, że szanowny pan X nie raczył się zabrać do praktycznego działania, lecz potem zauważyłem, że w paru wypadkach, gdy nie było pod

ręką sekretarki, do pracy najmował się pewien dżentelmen, trafiający zawsze tam, gdzie było trzeba.

Kiedy nareszcie wstałem zza biurka, mój kręgosłup był w ogniu. Wziąłem stymulator i rozejrzałem się po pokoju przekrwionymi oczami. Moi pomocnicy spoczywali zmęczeni w różnych pozycjach: siedemdziesiąt dwie godziny na nogach może dobić każdego. Prezydent, zauważywszy, że wstałem, podniósł opartą na rękach głowę z nieco przerzedzoną wskutek wyrywania włosów czupryną.

— Znalazł pan tę bandę kryminalistów? — spytał wpijając na nowo palce w resztki owłosienia.

— Znalazłem — zgodziłem się skwapliwie. — Ale nie handę. Pojedynczego kryminalistę, który razem ze swoją asystentką ma więcej oleju w głowie niż wszyscy twoi urzędnicy razem wzięci. Całą robotę przeprowadzili w duecie. Jego nazwisko, a raczej pseudonim, brzmi Pepe Nero. Dziewczyna jest nazywana Angeliną.

— Aresztować! Natychmiast! Straż! Straż... — głos prezydenta stopniowo milkł, gdy jego właściciel znikł z pola widzenia, pędząc korytarzem ku wyjściu.

— To właśnie zamierzam zrobić — stwierdziłem uprzejmie — ale chwilowo jest to trochę trudne, dlatego że oni nie tylko wybudowali ten pancernik, ale go również ukradli. A ponieważ jest on w pełni zautomatyzowany, nie potrzebują więcej osób do obsługi.

— I co wobec tego zamierza pan zrobić? — spytał jeden z urzędników.

— Ja osobiście nic — poinformowałem go z pewnością starego weterana. — Zajmie się nimi Flota Ligi. Zostaniecie oczywiście poinformowani o ich ujęciu. A teraz dziękuję za pomoc. Jesteście wolni.

Rozdział 6

Zasalutowałem im najlepiej, jak umiałem i patrzyłem na znikające plecy, podziwiając budującą ufność urzędników we Flotę Ligi. Praktycznie potęga ta była tak samo realna jak moja ranga. To nadal była robota dla Korpusu i tylko dla Korpusu. Inskipp powinien dostać najnowsze informacje. Posłałem mu już, co prawda, wiadomość o kradzieży, na którą nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi, lecz może dane o złodziejach pobudzą go do pracy. Moja wiadomość była oczywiście zakodowana, ale ten kod jak każdy inny mógł być szybko złamany, jeśli komuś by na tym naprawdę zależało. Osobiście zaniósłem kartkę z informacją do centrum łączności i zamknąłem się z psimaniem w izolowanym pokoju. Na zewnątrz wrzała praca z przepisywaniem, kodowaniem i dekodowaniem sygnałów, ale do wnętrza nie przenikał żaden świadczący o niej dźwięk. Oczy psimana miały nieobecny wyraz, a wargi poruszały się powoli: widać było, że jest zajęty. Poczekałem, aż wrócił do przytomności i podałem mu kartkę.

— Kanał 14, najwyższa szybkość — poinformowałem go.

Uniósł brwi w nagłym zdumieniu, ale nie odezwał się. Nawiązanie łączności zajęło parę sekund; nic dziwnego skoro Korpus bez przerwy trzymał w bazie całą kompanię psimanów na służbie. Odczytał wiadomość, bezgłośnie poruszając wargami: siła jego myśli, a nie głosu była nośnikiem informacji przez lata świetlne.

Ledwie skończył, zabrałem mu kartkę, podarłem na drobne kawałki i wrzuciłem do spopielacza. Odpowiedź dostałem tak błyskawicznie, że byłem pewien, iż Inskipp kręcił się w pobliżu centrum łączności Korpusu w oczekiwaniu na znak życia ode mnie. Mikrofon był przełączony na odbiór i spięty z głośnikiem, toteż sam zająłem się natychmiastowym odszyfrowaniem przekazywanego przez psimana tekstu.

— ...rybb dfil falno, jeśli ci się nie uda, nie masz po co wracać.

Końcówka była podana otwartym tekstem i psiman przy tych słowach się uśmiechnął. Z wrażenia złamałem czubek długopisu i poinformowałem go, że jeśli powtórzy cokolwiek z tej informacji, to sam dopilnuję, żeby został na miejscu zastrzelony. To starło uśmiech z jego oblicza, ale bynajmniej nie poprawiło mojego samopoczucia. Zdekodowana wiadomość nie była nawet taka zła, jak się z początku spodziewałem: byłem zobowiązany wysledzić i przechwycić ukradziony pancernik. Mogłem zażądać od Ligi takiej pomocy, jaką uznam za właściwą, mogłem zachować rangę i nazwisko na całą resztę operacji. Miałem informować szefa o postępach. Gdyby nie to ostatnie, niczego nie brakowałoby mi do szczęścia. Miałem swoje wymarzone zadanie. Tylko mówiąc krótko i po ludzku — miałem odzyskać ten pancernik albo koniec będzie dla mnie przykry. I ani słowa na temat moich zasług w odkryciu najpierw całej afery, a potem sprawców. Żyjemy w najdziwniejszym ze światów! To samopocieszenie dobiło mnie, toteż natychmiast powędrowałem do łóżka. Ponieważ moje nowe zadanie i tak polegało głównie na czekaniu, najlepiej mogło poczekać w łóżku.

* * *

A czekanie to było wszystko, co mogłem zrobić. Oczywiście, były sprawy drugoplanowe, takie jak oddelegowanie krążownika do mojej dyspozycji i dokopanie się do większej porcji informacji o złodziejach, ale najważniejsze i jedyne co mi pozostało, to czekanie na złe wieści. Służby dyżurne — a szczególnie psimani i bardziej tradycyjni łącznościowcy — były w stałym pogotowiu, dopiero jednak wieści o jakichś nieszczęściach czy wypadkach mogły ruszyć całą sprawę z miejsca. Powód był prosty: pancernik mógł polecieć w dowolnie wybranym kierunku, a strefa, w której mógł się znaleźć, rozszerzała się z każdą minutą, jak długo więc nie ujawnił swojej obecności, nie było żadnej możliwości podjęcia pościgu względnie obmyślenia czegoś chytrego.

O Pepe i Angelinie było niewiele danych, a ślady ukryli śpiewająco. Ich pochodzenie było

nieznane, życiorys czysty i jedynie lekki akcent wskazywał na pochodzenie pozaplanetarne. Istniało jedno, niewyraźne jak cholera, zdjęcie Pepe i ani jedno dziewczyny.

Powściągnąłem nerwy, kazałem czuwać psimanom i wraz z nawigatorem zabrałem się za wyznaczenie teoretycznego kursu pancernika, co było czystą stratą czasu. W interesującym mnie obszarze wydarzyło się kilka katastrof, ale sprawdzenie ich dowiodło, że miały niejako naturalne przyczyny. Kazałem się natychmiast informować o jakichkolwiek dziwactwach w przestrzeni, niezależnie od pory, w związku z czym ta pierwsza oczekiwana wiadomość przyszła w środku nocy. Przyniósł ją wachtowy, a ja spojrzałem na kartkę zaspanym wzrokiem. Chęć snu przeszła mi jak ręką odjął, ledwie odczytałem dwa zdania, a ich treść dotarła do mojej świadomości. Wdusiłem alarm i przy dźwiękach syreny ruszyłem na mostek. Tam przeczytałem wiadomość o wiele spokojniej i dokładniej.

To było to, na co czekałem. Co prawda, świadków tragedii nie było, ale wiele stacji obserwacyjnych zanotowało gwałtowne wyzwolenie dużej ilości energii. Zrobiono namiary. Wysłana zgodnie z nimi ekspedycja odnalazła bezwładnie dryfujący wrak transportowca „Oggefs Dream” z dziurą w kadłubie wielkości porządnego tunelu kolejowego. Ładunek plutonu zniknął. To, że była to zasługa Pepe, wyłaziło z każdej linijki depeszy; użył swojego okrętu najefektywniej jak się dało. Gdyby zatrzymał transportowca dla negocjacji, to istniało ryzyko, że nada on depeszę alarmową albo że w okolicy zdąży pojawić się inna jednostka. Więc po prostu odpalił artylerię. Cała załoga, w liczbie osiemnastu ludzi, zginęła natychmiast. Złodzieje stali się mordercami. Teraz trzeba było działać bez pomyłek. Zboczony Pepe udowodnił, że zna się na mokrej robocie. Wiedział, czego chce i brał to, niszcząc każdego, kto stał mu na drodze. Zanim się to skończy, więcej ludzi zostanie zabitych, a moim osobistym hobby stało się utrzymanie strat na jak najniższym poziomie.

* * *

Ideałem byłoby, gdyby mógł mu sprowadzić na łeb Flotę i pod groźbą otwarcia ognia doprowadzić przed wymiar sprawiedliwości. Bardzo miłe, tylko najpierw, jak go znaleźć? Pancernik — potężna jednostka w realiach ludzkich — w realiach kosmosu była pyłkiem. Jak długo pozostawał poza regularnymi liniami towarowymi, stacjami wykrywającymi czy skupiskami planetarnymi, był nieuchwytny. A była jeszcze inna rzecz: gdybym go już namierzył, nie mógłbym mu nic zrobić, bo dowolne skupisko nielicznych okrętów wojennych Ligi było słabsze od niego. Zarówno pod względem efektywności ekranów, jak i potencjału oraz zasięgu dział. Musiałem wymyślić coś, co umożliwiłoby skuteczną akcję, a nie skuteczne samobójstwo na dużą skalę.

Trzymało mnie to na nogach całymi nocami, a w dzień sprawiało, że gadałem sam do siebie. Chociaż nie było to łatwe, powoli i ostrożnie zacząłem dochodzić do odpowiednich wniosków: jeżeli nie wiedziałem, gdzie Pepe zamierza się zjawić, to należało tak pokierować wypadkami, żeby zjawił się tam, gdzie ja chcę. Miałem parę atutów. Najistotniejszy był ten, że raz już udało się zmusić go do zmiany planów. Wydawało się bowiem nieprawdopodobne, żeby data odlotu pancernika i moje przybycie zbiegły się przypadkiem. Co prawda, urządzenia niezbędne dla funkcjonowania okrętu były już wcześniej zainstalowane, ale nie przeprowadzono jeszcze prac wykończeniowych, liny mocujące zaś były przecięte, a nie odwiązane: żaden dobry przestępca nie pozostawia za sobą tak wyraźnych śladów, jeśli nie jest do tego zmuszony. Poza tym stróż — jedyny świadek odlotu — stwierdził, że z luków wystawało sporo kabli energetycznych, a dokładne sprawdzenie dokumentów wykazało, że znacznej części prac nie zdołano wykonać.

Powiniennem utrzymać nadal to tempo, wytrącić Pepe z równowagi i zmusić do zmiany planów albo — tak jak poprzednio — do wcześniejszego wcielenia ich w życie, w chwili gdy jeszcze nie będzie całkiem gotów. Tylko że była to piękna teoria, a ja nadal nie wiedziałem, jak zabrać się do

praktyki. Co innego wysadzać sejfy, a co innego łapać pancerniki. Należało postawić się na miejscu Pepe i schwytać go tam, gdzie planował się pojawić — ślicznie pomyślane, zwłaszcza że jest ograniczona liczba rzeczy, które można robić za pomocą pancernika. Właściwie nic oprócz piractwa międzygwiazdowego.

Wypiłem drinka, wypaliłem cygaro i wpatrując się tępo w ścianę, zadałem sobie jeszcze raz pytanie, które mnie od pewnego czasu gnębiło: Dlaczego pancernik? Intrygujące. Mniejszym nakładem sił i środków można mieć krążownik, który w dodatku jest o wiele łatwiejszy do ukrycia, a na potrzeby piractwa kosmicznego zupełnie wystarczający. Miałem jednak niemiłe wrażenie, że nie piractwo było ich celem. Wydawało się oczywiste, że Pepe to egocentryczny maniak i psychopata. Ciekawe, jakim cudem prześliznął się przez kontrolę. Ale to nie było moje zmartwienie. Ja miałem go tylko złapać. Tylko!

* * *

Wreszcie w mojej głowie zarysował się plan, ale zanim go sfinalizowałem, niezbędne było dosyć delikatne przygotowanie. Trzeba było zacząć od tego, że jak każdy statek kosmiczny pancernik musiał mieć paliwo, bazę i załogę. O paliwo Pepe już się zatroszczył, „Ogget’s Dream” był tego dowodem. Co do załogi, to wystarczyłby najazd na najbliższy ośrodek psychiatryczny i miałby taką ekipę, że normalne pirackie towarzystwo to przy niej przedszkole. Sam się dziwiłem, że jeszcze tego nie zrobił. Bazę natomiast mogła stanowić każda nie zamieszкана planeta, a tych było niemało. Nie miałem tylko całkowitej pewności, czy piractwo jest jego celem. A może chciał rządzić planetą? Albo całym systemem? Albo jeszcze więcej... Co mogłoby powstrzymać taki plan, gdyby ktoś zaczął go poważnie uskuteczniać? Podczas Wojen Kingly kilkanaście przypadków świadczyło o tym, że garść zdecydowanych na wszystko, z paroma okrętami i znacznie mniejszą pojemnością mózgu, niż miał ten cwaniak, zdolna była tworzyć imperia. Prawda, że w końcu wszystkie zostały zniszczone, ale cena za to była wysoka. Za wysoka, aby to powtarzać. A czułem w kościach, że o to chodzi. Mogłem pomylić się w detalach, ale w przestępstwie, tak jak i we wszystkim, obowiązują pewne generalne zasady. Te zaś znałem zbyt dobrze i mogłem z symptomów postawić słuszną diagnozę.

— Oficer łączności, natychmiast! — wykrzyknąłem w interkom. — I kilku szyfrantów!

Zapiąłem mundur, wygładziłem ordery i gdy się zameldowali, znów byłem pełnoprawnym admirałem.

Zgodnie z moimi rozkazami wyszliśmy w nadprzestrzeń, aby nasz psiman mógł nawiązać łączność, a to nie bardzo podobało się kapitanowi. Dryfowaliśmy z wyłączonymi silnikami, tracąc czas, a załoga wykonywała moje, według niego zwariowane rozkazy. Mój plan zdecydowanie przekraczał jego zdolności pojmowania, dlatego też on był kapitanem, a ja admirałem (nie szkodzi, że tymczasowym).

Nawigator ponownie wyliczył strefę zawierającą wszystkie układy, do których pancernik mógł dotrzeć w ciągu jednego dnia lotu z pełną szybkością. Na szczęście nie było ich wiele i psiman mógł połączyć się z szefami służb propagandowych każdego z nich. Przestał nadążać w miarę powiększania się strefy, ale miałem już gotowy tekst i wysłałem go do bazy. W Korpusie było wystarczająco wielu łącznościowców, aby zdążyć na czas. Wszystkie informacje dotyczyły tego samego, choć miały różne formy, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Chciałem, żeby pojawiły się w każdej gazecie i prognozie wewnątrz rozszerzającej się strefy.

— Co to, do cholery, znaczy?! — denerwował się kapitan. Stał potrząsając plikiem depesz, co było miłą odmianą, gdyż ostatnio większość czasu spędzał w swojej kabinie, rozmyślając, jak cała ta sprawa odbije się na jego karierze. — Miliarder chce znaleźć własny świat... Jacht wypełniony takimi luksusami, o jakich nikt od setek lat nie słyszał. Jaki związek mają te głupoty ze ściganiem

Gdy zostaliśmy sami, stał się nader podejrzliwy i sędzę, że doszedł do budującego wniosku, iż na szczęście we Flocie nie ma autentycznych admirałów. Nasze wzajemne stosunki pozostawały oficjalnie uprzejme. Zdaje się, że wyznawał zasadę, iż z furiatami należy postępować łagodnie.

— Ta podróż i reszta nonsensów — tłumaczyłem mu — jest przynętą, na którą złapie się nasza rybka razem ze swoją kotką.

— A kto ma być tym tajemniczym miliarderem?

— Ja. Zawsze chciałem być bogaty.

— Ale ten jacht, gdzie on jest?

— Buduje się w stoczni w Udrydde. A raczej jest już zbudowany i czeka na dalsze polecenia.

Kapitan Steng odłożył papiery na stół i uważnie wytarł ręce, najwyraźniej starając się usunąć wszelkie ślady tego, zaraźliwego być może, obłędu. Starał się być w porządku i podzielać mój punkt widzenia, ale najwyraźniej mu się nie udawało.

— To nie ma sensu — jęknął. — Jak może być pan pewien, że on przeczyta cokolwiek o tej akcji? A jeśli tak, dlaczego miałoby go to interesować? Wygląda mi na to, że traci pan czas, a on prześlizguje się nam między palcami. Powinniśmy podnieść alarm i jednostki Floty powinny patrolować wszystkie linie...

— Co może z łatwością ominąć albo w ogóle się tym nie przejąć, zważywszy, że trzy nasze statki, o jednym nie mówiąc, są niczym wobec jego pancernika. Po prostu więcej postrzela i będzie więcej trupów! — przerwałem mu brutalnie. — Ten cały Pepe jest cwany i dobry jak porządny automat do gry. To jest równocześnie jego siłą i słabością. Tacy jak on nie pomyślą nigdy, że kto inny może być bardziej od nich cwany, dopóki sytuacja nie dowiedzie im, że tak jest, a to właśnie zamierzam zrobić.

— Nie jest pan nadmiernie skromny! — zauważył.

— Nie staram się. Fałszywa skromność jest oznaką niekompetencji. Zamierzam złapać tego furiata i powiem panu, jak mi się to uda. On uderzy ponownie, i to szybko; i będzie to robił periodycznie. A przy każdym uderzeniu będzie oczyszczał ofiarę z tego, co mu jest potrzebne, między innymi z gazet i dokumentów. Częściowo, żeby zaspokoić swoją próżność, częściowo, żeby dowiedzieć się przydatnych ciekawostek. Choćby takich, jak samotne wyprawy ważnych osobistości.

— Ależ pan tego nie wie, to są tylko przypuszczenia! Jego miła uwaga o mojej niekompetencji i ton sugerujący indolencję umysłową omal nie wyprowadziły mnie poza granice dobrego wychowania. Opanowałem się w ostatniej chwili i ponownie tłumaczyłem, łagodnie jak komu mądrymu.

— Tak, tylko przypuszczam, ale opierając się na faktach. „Oggef's Dream” został oczyszczony ze wszystkiego, co nadawało się do czytania — to jedna z pierwszych rzeczy, jakie sprawdziłem. Nie możemy zatrzymać pancernika przed nowym atakiem, ale możemy spowodować, żeby uderzył w zastawioną przez nas pułapkę.

— Nie wiem — stwierdził — ale to wszystko brzmi... Chyba na jego szczęście nie dowiedziałem się nigdy, jak brzmi. Ogłuszający alarm klaksonów przerwał mu w połowie i obaj pognaliśmy do sterówki. Kapitan wygrał ten wyścig o łeb. To był jego okręt, więc znał wszystkie skróty.

W sterówce czekał na nas psiman z rozszyfrowaną wiadomością. To było jedno zdanie. Przekazując je spoglądał na mnie z dziwnie zaciętym wyrazem twarzy.

— Uderzyli ponownie i zniszczyli bazę zaopatrzeniową Floty, zabijając przy tym trzydziestu

czterech ludzi!

— Jeśli pański plan, admirale, nie skutkuje — wyszeptał mi chrapliwie do ucha kapitan — to osobiście przypilnuję, aby poszatковано pana żywcem.

— Jeśli mój plan się nie powiedzie, kapitanie, nie będzie miał pan czego przepuszczać przez szatkownicę. A teraz, jeśli pan pozwoli, proszę wziąć kurs na Udrydde. Chcę być na jachcie najszybciej jak się da.

Wszystko razem: głupia rozmowa najpierw, a potem ta wiadomość, wybiło mnie skutecznie z równowagi. Zamiast logiką, kierowałem się wściekłością. Odzyskawszy w końcu kontrolę nad sobą, uporządkowałem myśli i odezwałem się:

— Anulować ostatni rozkaz! Najpierw nawiązać łączność i sprawdzić, czy któraś z naszych gazet została zabrana z pokładu satelity!

Podczas gdy psiman — mamrocząc przekleństwa — poszedł wykonać polecenie, zająłem się przeglądaniem papierów. Jest to skuteczna metoda, aby uniknąć wściekłych spojrzeń, jakie posyłali w moją stronę zgromadzeni w pomieszczeniu. Odpowiedź przyszła po około dziesięciu minutach.

— Potwierdzone — oświadczył psiman. — Statek dostawczy dokował dwanaście godzin przed atakiem. Między innymi przywiózł prasę. Po ataku nie znaleziono ani jednej gazety.

— Bardzo dobrze! Teraz proszę wykonać poprzedni rozkaz.

Odwróciłem się powoli i wyszedłem z nadzieją, że nikt nie zauważył zimnego potu, który nagle pojawił się na moim czole.

Podróż do Udrydde przypominałaby najbardziej wariackie regaty o Błękitną Wstęgę Galaktyki, gdyby takie miały kiedykolwiek miejsce. Ledwie wyładowaliśmy, pognałem do stoczni, gdzie czekał na mnie mój bilionerski jacht „Eldorado”. Komendant użył chyba całej swojej dobrej woli, aby pokazując mi go, być w miarę powściągliwym. Obserwowałem te wysiłki z sadystyczną przyjemnością, biorąc w końcu odwet na Flocie. Nie powiedziałem mu ani słowa na temat wyprawy. Po sprawdzeniu z pomocą techników konsoli i paru urządzeń specjalnych oczyściłem jacht ze wszystkich ludzi, którzy byli na nim zbędni. W automatycznym nawigatorze znajdowała się taśma mająca wyprowadzić maszynę na kurs zbliżeniowy z pancernikiem. Wystarczyło tylko — taką przynajmniej miałem nadzieję — nacisnąć guzik. Zrobiłem to.

Bez dwóch zdań, to był piękny statek, a stocznia postarała się aż do ostatnich detali wykonać go tak, jak został zaprojektowany. Cały, od dziobu aż do dysz, był obłożony złotem. Są metale o większym blasku, ale nie ma żadnego, który by efektowniej wyglądał. Wewnątrz znajdowały się luksusy i wymysły, jakie tylko w moim zboczonym umyśle mogły się wylęgnać. Stocznia nie była w stanie przeprowadzić całej tej roboty od podstaw, toteż aby zdążyć, musieli adaptować do moich potrzeb jakąś już istniejącą jednostkę. Muszę jednak przyznać, że nie dało się tego specjalnie zauważyć.

Wszystko było więc gotowe i albo Pepe zrobi to, czego po nim oczekuję, albo będę sobie żeglował ku mojemu bilionerskiemu Edenowi. Jeśli jednak nastąpi to drugie, najlepiej dla mnie będzie tam pozostać. Cóż, nie miałem innej możliwości, jak tylko czekać. Ułożyłem karty tak, aby mieć przed sobą wszystko, czego chciałem — wystarczyło tylko sięgnąć. Pozostała kwestia, na ile Pepe zainteresuje się fruującą po kosmosie fortuną; a jeśli nie tym, to kompletnym zestawem maszyn i rzeczy, które byłyby mu potrzebne przy zakładaniu bazy, a które znajdowały się w moich ładowniach. Tak przynajmniej głosiła teoria i prasa. Mogłem jedynie rozważać, czy to nastąpi i doprowadzić się do nerwicy. Starłem więc zająć się czym bądź, ale i tak następne cztery dni okropnie się wlokły.

Rozdział 7

Kiedy rozdzwonił się alarm, poczułem się tak odprężony, jakby wszystko, co miałem do zrobienia, było już za mną. W ciągu najbliższych kilkunastu minut mogłem być martwy, rozmienny na atomy, ale nie robiło to na mnie wrażenia. Nie musiałem czekać w niepewności, mogłem i powinienem działać! I o to tylko chodziło. Pepe zrobił to, co chciałem. Był tylko jeden statek w galaktyce, który z tak dużej odległości mógł powodować takie odczyty urządzeń jachtu. Zbliżał się szybko, ani chybi na rezerwie ciągu, i mój odczyt stawał się coraz bardziej przeraźliwy. Wyłączyłem go i skupiłem się na radiu, które pojękiwało już dłuższą chwilę, oznajmiając połączenie. Ledwo je włączyłem, głośnik zadudnił.

— ...że jesteś pod lufami okrętu wojennego! Nie próbuj uciekać, przesyłać jakichkolwiek sygnałów ani zaczynać jakiegokolwiek innej akcji...

— Kto mówi? I czego, u diabła, chcecie? — rzuciłem w mikrofon. Swój ekran miałem włączony, toteż mogli mnie podziwiać w pełnej krasie, wraz z przepychem wnętrza, w którym przebywałem. Nie mogli tylko podziwiać moich dłoni. Z drugiej strony nie było żadnego obrazu, co tylko ułatwiało mi rolę: grałem przed niewidoczną publicznością.

— To, kim jesteśmy, nie ma żadnego znaczenia — ryknęło z głośnika. — Masz po prostu robić, co ci każemy, jeśli chcesz żyć. Odsuń się od pulpitu, zdekujemy cię sami. A potem rób dokładnie to, co usłyszysz.

Prawie równocześnie usłyszałem charakterystyczne szczęknięcie magnetycznych cum i mój jacht bokiem zaczął zbliżać się do skały pancernika. Pozwoliłem moim oczom wywrócić się ze strachu i panicznie rozejrzeć za nie istniejącą drogą ucieczki. Zlustrowałem przy okazji zewnętrzne ekrany. Jacht wnikał do komory dekującej. Nacisnąłem pewien guzik i mały czarny robot pomknął wykonać swoje zadanie.

* * *

— Teraz pozwólcie, że ja wam coś powiem — warknąłem do mikrofonu, przestając udawać rozhisteryzowanego bogacza. — Po pierwsze, powtórzę wasze własne słowa. Słuchajcie rozkazów, jeśli chcecie pozostać przy życiu. Zaraz wam pokażę, dlaczego.

Przerzuciłem wizję na maszynownię, wygaszając całą resztę. Ruszyłem w stronę kombinezonu. W garści trzymałem kontrolny zestaw łączności i mówiłem spokojnie do mikrofonu. To musiało iść piorunem, zanim otrząsną się z szoku, muszą myśleć, że jestem przed konsolą. To było podstawą sukcesu.

— To, co widzicie, to maszynownia — poinformowałem ich. — Dziewięćdziesiąt osiem procent wytwarzanej przez nią mocy jest podłączone do elektromagnesów śluzy cumowniczej, tak że próba rozdzielenia naszych statków jest dość trudnym zadaniem. Z dobrego serca proponowałbym wam tego nie robić.

Byłem już w skafandrze, a głos szedł z mojego mikrofonu przez transponder do ich radia. Pognałem do śluzy, obserwując równocześnie ekranik kontrolki. Obraz się zmienił.

— Teraz podziwiacie bombę wodorową, która jest odbezpieczona i utrzymywana z dala od celu przez połączone pola magnetyczne naszych statków. Nie muszę, spodziewam się, mówić, co się stanie, jeśli to pole zniknie. — Stałem w śluzy, jednym okiem patrząc na ekran, a drugim na otwierające się drzwi. — A to jest druga bombka, umieszczona na śluzy. Jakiegokolwiek próby wejścia siłą na pokład mojej jednostki spowodują detonację.

— Czego chcesz? — najwyraźniej Pepe dopiero teraz odzyskał głos, znać to było po jego charkotliwym brzmieniu.

— Chcę pogadać i dobić pewnego targu, korzystnego dla obu stron. Ale pozwolicie, że

najpierw pokażę wam resztę bomb, żebyście nie wpadli na jakiś zabawny sposób podejścia do naszej współpracy.

Pewno, że im pokazałem. Program był tak ułożony, że obejrzeliby je sobie w każdym przypadku. Kontynuowałem gadanie o tym, co i kiedy która może, dodając do tego kilka ciekawostek o uzbrojeniu pokładowym i wędrując przez próżnię w stronę ich awaryjnej klapy ładunkowej. Jak się spodziewałem i jak wskazywały plany, nie było w niej żadnych wesolutkich alarmów ani pułapek. A miałem pewność, że przynajmniej te pierwsze były w służbie głównej.

— Dobra, dobra... Wierzę ci na słowo, że jesteś latającą bombą, więc przestań się bawić w reportera i gadaj, o co ci chodzi.

Tym razem nie dostał odpowiedzi, gdyż gnałem korytarzem z płucami na wierzchu i wyłączonym mikrofonem. Jeśli plany były prawdziwe, to przed moim nosem znajdowały się drzwi do ich sterówki. Wskoczyłem tam z bronią w garści i wymierzyłem dokładnie w jego potylice. Oboje z Angeliną wpatrywali się w ekran.

— Zabawa skończona — oświadczyłem. — Wstać powolutku i trzymać rączki na widoku.

— Co masz na myśli? — zdumiał się Pepe, wpatrując się w ekran.

Dziewczyna połapała się pierwsza. Obróciła się z wolna i zauważyła mnie.

— On jest tutaj!

Oboje zwątpili i gapili się na mnie z niedowierzaniem.

— Jesteś aresztowany — powiedziałem. — I twoja przyjaciółka też.

Oczy Angeliny wywróciły się białkami do góry, a ona sama osunęła się na podłogę. Prawdziwe czy udane, nie interesowało mnie to. Wylot lufy mojej siedemdziesiątki piątki nie opuścił czaszki Pepe, gdy ten wolno zbierał dziewczynę z podłogi i przenosił na stojącą pod ścianą kanapę.

— Co... co teraz będzie? — wyjąkał.

Jego szczęki drżały i założyłbym się, że widzę łzy w jego oczach. Niespecjalnie mnie to wzruszyło. Nadal miałem jeszcze przed oczami zamrożone szczątki tego, co przed atakiem było załogą stacji zaopatrzeniowej. Pepe opadł na fotel, nie doczekawszy się odpowiedzi.

— Czy oni mi coś zrobią? — spytała Angeliną. Jej oczy były teraz szeroko otwarte.

— Nie mam bladego pojęcia — powiedziałem, zresztą zgodnie z prawdą. — O tym zadecyduje sąd.

— Ale on mnie zmusił, żebym to robiła — pisnęła.

Była młoda, ciemnowłosa i piękna. Łzy tylko to podkreślały. Pepe ukrył twarz w dłoniach. Jego ramionami wstrząsnął dreszcz.

— Siedź spokojnie — ostrzegłem go. — Z najwyższym trudem uwierzę w twoje łzy. W drodze jest kilka okrętów Floty, alarm włączył się przed minutą i jestem pewien, że nie minie wiele czasu, zanim...

— Nie pozwól im mnie zabrać! — Angelina była na nogach. Plecami opierała się o ścianę. — Oni mnie wsadzą do więzienia, będą mi grzebać w mózgu.

Wparta kurczowo w ścianę odsuwała się w stronę najbliższego kąta. Zwróciłem uwagę na jej partnera. Nie chciałem zostać niemile zaskoczony.

— Nic nie mogę zrobić — powiedziałem łagodnie, spoglądając na nią. Pepe siedział spokojnie, a za Angelina zamykały się właśnie ukryte w ścianie drzwi.

— Nie próbuj! — mój krzyk zlał się z hukiem broni. W drzwiach wykwitła gustowna dziura, mógłbym przez nią przesunąć głowę w hełmie.

Pepe wydał dziwny głos i ponownie zwrócił moją uwagę. Siedział teraz prosto, a jego twarz była mokra od łez. Miałem rację, że te jego łzy nie wydawały mi się prawdziwe. Nie wziąłem tylko

pod uwagę, że są to łzy śmiechu. Pepe zarykiwał się w kolejnym napadzie wesołości.

— Ciebie też złapała — wykrztusił w końcu. — Biedna mała Angelina.

— O czym ty gadasz?

— Jeszcze nie chwyciłeś? To, co ci powiedziała, to była szczerza prawda. Z jedną malutką zmianą. Cały ten pomysł: budowa, kradzież i rajd, był jej. Wkręciła mnie w to, grając jak kot z myszką. Byłem w niej zakochany, nienawidziłem się i byłem zarazem szczęśliwy z tego powodu. Teraz jestem zadowolony, że to już skończone. Myślałem, że nie wytrzymam, jak zaczęła robić tę niewinną idiotkę, ale jakoś mi się udało! — Był już całkiem spokojny.

Coś zimnego wlało na mój kręgosłup.

— Łżesz! — nawet przez chwilę w to nie wierzyłem.

— Przykro mi, ale tak się akurat sprawy mają. Twoi kumple rozbiorą mój mózg na czynniki pierwsze, tak że nie mam po co kłamać.

— Przeszukamy okręt. Długo się nie ukryje.

— Nie będzie musiała. W jednym z luków mamy szybką szalupę. A raczej mieliśmy — dodał.

Obaj poczuliśmy lekką wibrację podłogi.

— Flota ją złapie — stwierdziłem z większą pewnością, niż pozwalały fakty.

— Może, ale zrobiłem to, co byłem jej winien. I nieważne czy ona to kiedykolwiek doceni!

Przez cały czas trzymałem go na muszce. Aż do przybycia chłopców z Floty żaden z nas nie drgnął ani nie odezwał się. Potem rzecz była już skończona. Oni mieli swój pancernik, ale ani ja, ani Pepe, ani nikt inny nie dostał Angeliny. Nie miałem o to do siebie pretensji. Jeśli przeszła przez pierścień Floty, to oni powinni pluć sobie w brodę. Ja zrobiłem co do mnie należało. Tylko jakoś mnie to nie cieszyło. Miałem poczucie, że nie skończyłem jeszcze porachunków z Angeliną.

Rozdział 8

Życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby moje przekonanie okazało się fałszywe. Nie mogłem winić Floty za to, że Angelina zrobiła ich na szaro. Nie byli pierwszymi ani ostatnimi, których to spotkało. Nie mogłem także winić siebie. To, co powiedział Pepe, było prawdopodobne, ale równie dobrze mogło być zmyłką obliczoną na osłabienie mojej uwagi. Pozostałem więc na miejscu ze swoją armatą wymierzoną między jego oczy i palcem na spuście. Pozostałem tak, póki pluton Space Marines nie zjawił się na pokładzie i nie przejął nad nim opieki.

Ledwo nastąpił ten radosny fakt, ogłosiłem alarm z zastosowaniem specjalnych środków bezpieczeństwa. Zanim potwierdziły go wszystkie jednostki, szalupa pojawiła się na ekranach. Odetchnąłem z ulgą — jeśli Angelina była mózgiem tej operacji, to chciałbym ją mieć. Ona, Pepe i pancernik byli w sam raz odpowiednim prezentem dla Inskippa. Teraz dziewczyna nie mogła uciec, okrążyły ją wszystkie jednostki Floty. Mieli w tym wystarczającą praktykę, toteż poczułem się zbędnym dodatkiem do Sił Zbrojnych i wróciłem na pokład swojego jachtu.

Nalałem sobie odpowiednią porcję szkockiej. Wprawdzie została zrobiona nie bliżej niż dwadzieścia lat świetlnych od Szkocji, ale receptura była ponoć oryginalna. Zapaliłem cygaro i zająłem się oglądaniem pasjonującego widowiska, jakim był pościg za rozpaczliwie wymykającą się szalupą. Angelina musiała być sinozielona od tych piętnastokrotnych przeciążeń, ale i tak nie puścili jej ani na krok. Złapanie dziewczyny było kwestią czasu, tyle że nikt nie zdawał sobie wtedy sprawy, jak dalece właśnie czas jest istotny. Zrozumieliśmy to dopiero wtedy, gdy grupa szturmowa znalazła się na pokładzie szalupy. Rzecz jasna, Angeliny już tam nie było. Pełne dziesięć dni minęło, nim odkryliśmy, co się naprawdę stało.

Było to genialne i zarazem obrzydliwe. Nawet bez opinii psychiatrów, którzy potwierdzili każde słowo Pepe, poznałbym te metody wszędzie. Angelina przez cały czas znajdowała się o krok przed nami. Kiedy jej szalupa odłączyła się od pancernika, dziewczyna ani przez moment nie miała samobójczego planu ucieczki w niej. Zamiast tego pełnym ciągiem pognąła w stronę najbliższego niszczyciela. Jej załoga — tuzin chłopca — nie miała naturalnie pojęcia, co się wydarzyło na pokładzie pancernika. Jeszcze nie zdążyłem ogłosić generalnego alarmu. Gdybym wtedy wiedział to, co wiem teraz, zrobiłbym to natychmiast, jak tylko za dziewczyną zamknęły się drzwi. Może nie spowodowałyby to jej ujęcia, ale uratowałyby życie dwunastu ludziom. Nigdy nie dowiem się, jaką legendę im opowiedziała — najpewniej o zaciętej bitwie na pancerniku i swojej ucieczce, gdyż jako niewinna zakładniczka piratów chciała się ratować. Dość, że wpuścili ją jako gościa. I to byłoby wszystko. Pięciu zginęło od razu, reszta została zastrzelona. Dowiedzieliśmy się o tym po znalezieniu dryfującego niszczyciela jakieś dwanaście parseków od głównego miejsca akcji. Po tym, co już zrobiła, reszta okazała się dziecinnie prosta: zaprogramować szalupę, wystrzelić ją, zgubić się w ogólnym zamieszaniu i porwać potem jakiś inny statek. Było zupełną niewiadomą, jaki to statek i co się z nim stało. Będąc już w bazie, próbowałem wyjaśnić to wszystko Inskippowi, który słuchał z rybem zaangażowaniem.

— Nie można było tego przewidzieć — stwierdziłem. — Przywiozłem ci twój pancernik i tego drania. Niech przebywa w spokoju, obojętnie jaka jest ta jego nowa osobowość. Przyznaję, że Angelina wystrychnęła mnie na garbatego dudka i uciekła. Ale o wiele bardziej konkursowe balony zrobiła z chłopców z Floty!

— I po co się przemęczasz? — spytał chłodno Inskipp. — O ile mi wiadomo, nikt nigdy nie zarzucał ci niewykonania zadania. Ba, nawet nie spojrział krzywo na ciebie. Jesteś bohaterem, a mówisz, jakbyś miał wyrzuty sumienia. To była piękna robota. Wielka robota... jak na pierwsze zadanie, to...

— Twoja też! — przerwałem mu. — Dajesz mi do zrozumienia, jaka to ona była w sposób tak subtelny, jak na przykład trzymając w pobliżu tego pawiana i... — wskazałem na szanownego Pepe Nero, który siedział przy sąsiednim stoliku i bezmyślnie przeżuwał jakiś ochłap. Miał już nową osobowość, ale jego fizjonomia wiązała się z pewnymi przykrymi chwilami mojego życia.

— Doktorki wykombinowały jakąś nową teorię osobowości — poinformował mnie Inskipp — dlatego trzymamy go tu pod obserwacją. Jeśli jego kryminalne ciągotki wyleżą na wierzch, to nie będziemy musieli znowu latać za nim po całej galaktyce. Poza tym może się nam wtedy przydać. Przejmujesz się nim?

— Nim nie — burknąłem. — Po tej masakrze, jaką urządził wespół z tym swoim zboczonym kociakiem, mógłbyś — jak dla mnie — zrobić z niego hamburgera. Ale ta ciągle włączająca mi w oczy facjata przypomina mi, że Angelina jest na wolności i najpewniej planuje coś w swojej ślicznej główce. Chcę ją mieć!

— Nie będziesz jej miał! — odparł. — Prosiłeś mnie i już ci powiedziałem, dlaczego nie pojedziesz za nią. Zmieńmy temat.

— Ale mógłbym...

— Co? Każdy gliniarz w galaktyce ma jej rysopis i największe jak dotąd polowanie trwa. Uważasz, że sam jeden jesteś lepszy od sił policyjnych galaktyki?

— Sądzę, że nie. Więc do cholery z tym wszystkim — odsunąłem talerz i wstałem z taką naturalnością, na jaką mogłem się zdobyć. — Idę uzupełnić równowagę płynów w organizmie i wypłakać się w poduszkę.

— To będzie najlepsze. I zapomnij o Angelinie. Masz się zjawić w moim biurze jutro o dziewiątej i lepiej, żebyś przyszedł już wypłakany.

— Niewolnictwo i znieczulica — jęknąłem, znikając za drzwiami w wiodącym do kwater korytarzu.

Ledwo znalazłem się poza zasięgiem wzroku siedzącego w jadalni, skierowałem się na kosmodrom. Było to coś, czego nauczyłem się od Angeliny: gdy wpada się na pomysł, trzeba go realizować natychmiast, zanim inni zaczną myśleć i analizować twoje poczynania. Zacząłem grę przeciwko jednemu człowiekowi, jakiego dotąd znałem, który mógłby powiedzieć z czystym sumieniem, że mnie pokonał. Wszystko, czego było trzeba Inskippowi, to parę chwil, aby zacząć się zastanawiać nad moją nieoczekiwaną reakcją i zakończeniem rozmowy. Prawda, że zamierzałem skończyć, co zacząłem. Ale mogliśmy mieć na ten temat odmienne opinie. I sam ten fakt — a właściwie jego konsekwencje — jeżył mi włosy na głowie. Miałem w kwaterze trochę drobiazgów i gotówki, co byłoby mile widziane w podróży, ale wolałem ich nie brać, tylko zwiększyć jak najszybciej odległość między sobą a Inskippem.

* * *

Mechanik z towarzyszącym robotem skończyli właśnie przegląd jednego ze stojących na rampie startowej ślizgaczy. Podeszedłem do nich i użyłem swego oficjalnego tonu.

— To mój statek?

— Nie, sir. To dla agenta Nielsena. Właśnie tu idzie.

— Ciągle kontrole, nawet przy starcie — pokręciłem głową.

— Nowa robota, Jimmy? — spytał mnie, podchodząc, Ove.

Skinąłem głową i poczekałem, aż mechanik zniknie w jakimś zakamarku.

— Ciągle to samo. A jak twoje osiągnięcia w tenisie? — podniosłem rękę, obejmując wyimaginowaną rakietę.

— Coraz lepiej — rzucił spoglądając na statek.

— Nauczę cię nowego uderzenia — powiedziałem opuszczając rękę. Cios trafił go w nasadę szyi i momentalnie pozbawił przytomności. Osunął się bezszelestnie, a ja chwyciłem go, zanim zdążył upaść, i ostrożnie ułożyłem w najbliższym ciemnym kacie, uwalniając przy okazji od kasety z kursem.

Zanim mechanik ponownie pojawił się na widnokręgu, byłem już wewnątrz i miałem dokładnie zaplombowane luki. Wsadziłem kasetę do komputera. Miałem wrażenie, że minął wiek oczekiwania (obiektywnie ledwie zdążyłem się spocić), zanim wreszcie zapłonęło zielone światelko zezwolenia. Pięknie jak na razie.

Ledwo ustąpiło spowodowane startem przeciążenie, wyskoczyłem z fotela i zaatakowałem śrubokrętem tablicę kontrolną. Był pod nią — tak jak zawsze — zestaw umożliwiający zdalne sterowanie statkiem. Odkryłem to podczas jednego z pierwszych lotów, gdy maszyna nie chciała posłuchać moich rozkazów. Przeciąłem kable wejścia i zasilania i pognałem do siłowni. Może jestem zbyt podejrzliwy, a może mam zbyt mizerną opinię o ludzkości bądź o Inskippie, który ma swój punkt widzenia na większość spraw. Ktoś, kto bardziej ufa ludziom, zostawiłby wmontowaną w silnik zdalnie sterowaną bombę samobójczą. Jej przeznaczeniem jest zniszczenie statku, gdyby ten miał wpaść w niepowołane ręce. Nie sądziłem, żeby Inskipp użył jej z innej przyczyny, ale jestem starym asekurantem z wysoko rozwiniętym instynktem samozachowawczym. Ta bryła bermedexu stanowi tak bardzo integralną część silnika, że nie można jej usunąć bez zniszczenia przy tym napędu. Ale można odłączyć zapalnik. Straciłem wszystkie paznokcie, zanim to „można” stało się faktem, a zapalnik zawisł na dwóch kablach. W chwilę później nastąpił wybuch z głośnym „bang” i kupą czarnego dymu. Z dziwnym spokojem spojrzałem poprzez czarną chmurę na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się zapalnik. Mogło rozpieprzyć statek w diabły!

— Inskipp — odezwałem się, ale moje gardło było tak suche, że wydobywał się z niego ledwie skrzek. Musiałem zacząć jeszcze raz: — Inskipp, dostałem twoją wiadomość. Myślałeś, że dajesz mi wymówienie. W zamian za to przyjmij moją rezygnację z Korpusu Specjalnego!

Rozdział 9

Najwyraźniejszym spośród moich odczuć była ulga. Ulga, że wprawdzie znów jestem zdany na siebie, lecz cokolwiek zrobię, zależeć to będzie tylko ode mnie. Uruchomiłem zdalne sterowanie, wrzucając pierwszy z brzegu kurs, co i tak nie miało większego znaczenia, w każdej chwili bowiem mogłem go zmienić — bylebym tylko wiedział, gdzie właściwie mam lecieć. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że lecę szukać Angeliny, czyli wykonuję robotę Korpusu. Tyle tylko, że mało mnie to obchodziło — od chwili ucieczki przestało to być zadaniem, a zaczęło funkcjonować jako moja całkiem prywatna sprawa. Nie robi się takich rzeczy bezkarnie Jimowi di Griz.

Nie miałem pojęcia, co zrobię z Angeliną, gdy już ją złapię. Najpewniej przyjdzie mi oddać ją Korpusowi. Tacy jak ona wyrabiali ludziom z mojej branży złą markę. To był jednak kłopot na później. Najpierw musiałem ją złapać, do tego zaś niezbędny był plan. Zabrałem się więc do dzieła zaczynając od zgromadzenia pomocy naukowych. Przez jedną straszliwą chwilę myślałem już, że na statku nie ma cygar, w końcu jednak automat dostawczy wyrzucił wygrzebane z jakiegoś ciemnego kąta pudełko. Nie były najlepsze, lecz gorszy był ich brak. Co do reszty, to Nielsen zawsze preferował rzadkie gatunki specjalnego akwawitu, przeciwko któremu nic absolutnie nie miałem. Łyknąłem sobie rozjaśniacza, zapaliłem cygaro i pogrążyłem się w rozmyślaniach.

Przede wszystkim musiałem postawić się na jej miejscu, i to w chwili ucieczki. Mógłbym sobie pomóc, zjawiając się tam osobiście, lecz nie byłoby to mądre. Z pełną gwarancją mogłem przypuścić, że kręci się tam co najmniej jeden okręt Floty z radosnymi kowbojami przy spustach. A poza tym do rozwiązywania takich problemów zbudowano komputery.

Wpakowałem więc w jeden wszystkie współrzędne tego miejsca i zażądałem podania najbliższych układów planetarnych. Komputer ten szczyił się spornym blokiem pamięci i nieliczną rozdzielczością, toteż po trzynastu sekundach zaczął z radosnym brzękiem wyświetlać dane. Moje zainteresowanie wzbudził pierwszy tuzin zestawów. Potem pojawiły się odległości, których nie można było brać poważnie. Na tym też skończył się udział komputera w całej tej imprezie.

Teraz musiałem przestawić myśli na Angelinę. Musiałem tak jak ona stać się ściganym i naprawdę spieszącym się mordercą, który zostawił za sobą dwanaście trupów, a w dodatku był zewsząd otoczony przez nieprzyjaciela. Tak, musiała szybko stąd zniknąć. Bez wątpienia miała i w swoim czasie taką samą listę na ekranie komputera przed sobą i podobnie musiała się na coś zdecydować. Odpowiedź była stosunkowo prosta. Dwa najbliższe układy znajdowały się w tym samym kwadracie, oddalone od siebie o nie więcej niż piętnaście stopni. Trzeci położony był z przeciwnej strony i do tego dwa razy dalej. A zatem coś z tego. Musiała gdzieś zmienić statek i ukryć się. Krążownik pewnie opuściła, jako że po pierwsze, zwracał uwagę jako jednostka Floty, a po drugie, miał na pokładzie niezły komplet nieboszczyków, co nawet w wojsku nie jest rzeczą normalną. W tym momencie moje szare komórki musiały zostać wsparte nową dawką rozjaśniacza i świeżym cygarem. A zatem — kontynuowałem po przyjęciu wzmocnienia — musiała zmienić środek lokomocji i ukryć się na jakiejś planecie. W przestrzeni groziło jej ciągle niebezpieczeństwo, na planecie zaś łatwo jest zginąć w tłumie. Potrzebny był jej czas i możliwość zmiany osobowości.

Gdy sprawdziłem planety w dwóch bliskich układach, to cel stał się jasny. Planeta o barbarzyńsko brzmiącej nazwie Freibur. Wprawdzie istniało jeszcze z pół tuzina planet, wszystkie zamieszkane, lecz wątpiłem, by mogły jej odpowiadać. Były albo tak słabo zaludnione, że każdy obcy stawał się z miejsca sensacją, o której wiedziała cała wieś, albo tak uporządkowane, że zaimprovizowanie sobie kryjówek wydawało się rzeczą niemożliwą. Freibur nie stwarzała tych kłopotów. W Lidze była jak dotąd zaledwie od dwustu lat i przeżywała właśnie kolejny okres szczęśliwego chaosu. Totalna mieszanina starego i nowego, czyli kultury przedkontaktowej i

pokontaktowej cywilizacji, to idealne miejsce na przeczekanie — i to niepostrzeżenie — całego okresu tworzenia nowej osobowości.

Doszedłszy do tego budującego wniosku, zafundowałem sobie w nagrodę kolejną porcję akwawitu, na co butelka odpowiedziała ukazaniem swego dna, a ja uśmiechem. Humor mi się poprawił — cała ta zabawa to było coś więcej niż ćwiczenie umysłowe. Znalazłem się przecież w podobnym jak ona położeniu. Wypadek z zapalnikiem jasno dawał do zrozumienia, jaką wagę przywiązywał Korpus do swoich jednostek, o ich załodze nie wspominając. Tak zatem Freiburg odpowiadała idealnie także i mnie. Po tym stwierdzeniu zapadłem w sen.

Gdy odzyskałem świadomość, nadszedł właśnie czas, by wyjść z nadprzestrzeni i ustalić kurs. Była jednak jeszcze jedna drobnostka.

Otóż — fale wysłane podczas podróży nadświetlnej nigdzie nie dochodzą. Występuje natomiast inne, znacznie ciekawsze zjawisko: sygnał nadany na jednej częstotliwości pojawia się na wszystkich i sprawia wrażenie, jakby odbijał się od jakiejś niewidocznej przeszkody. Normalnie traktuje się to jako jeszcze jedną ciekawostkę, w innych zaś sytuacjach jest to idealny sposób, by sprawdzić, czy statek nie ma przypadkiem jakiegoś markera. Dla kogoś takiego jak ja, czyli gościa znającego sporo sprawek Korpusu, nie było to niczym dziwnym, sam Korpus zaś uznawał to za najnaturalniejszą profilaktykę. Nie miałem jednak ochoty wyjść z nadświetlnej z krążownikiem na karku. Marker zaś, rzecz jasna, był. I tym razem mogłem stwierdzić, że Inskipp nie zawiódł moich nadziei. Po półgodzinnych poszukiwaniach znalazłem markera w gnieździe antenowym. Szczęśliwie tylko jednego. Teraz mogłem zacząć właściwy lot. Wolny czas wykorzystałem na przejrzenie ekwipunku i skompletowanie zastawu najpotrzebniejszych rzeczy, które miały się przydać w przyszłości. Zmieniłem również nieco swój wygląd, co sprawiło mi zresztą dużą przyjemność. Gdy z kolejnym cygarem w ustach usiadłem przed ekranami, mogłem spojrzeć na siebie z zadowoleniem: odbijał się w nich znowu ten sam James di Griz. Poczuję się jak stary weteran wracający na ring. Potem zawyłem, skląłem się od najgłupszych i natychmiast wszystko z siebie zdałem. Inskipp znał to przebranie równie dobrze jak ja. Byłbym zaskoczony, gdyby nie szukano mnie w tej postaci równie intensywnie jak w mojej własnej. Po raz drugi zacząłem myśleć i stworzyłem w końcu osobę może mniej malowniczą, ale za to zupełnie nieznaną. Proste zabiegi kosmetyczno-chemiczne nie zmieniły mnie na tyle, bym musiał spoglądać na obcą gębę wybałuszającą do mnie z lustra ślepie, było tego jednak dość dla ominięcia każdego z rysopisów. Poza tym im bardziej złożona jest charakteryzacja, tym trudniej utrzymać ją w terenie, a Freiburg i bez tego była wielką niewiadomą i nie miałem ochoty martwić się czymkolwiek prócz poszukiwań Angeliny.

Dwa dni pozostałe do końca podróży spędziłem na produkcji małego zapasu granatów gazowych, pistoletów igłowych i uniwersalnego kompletu wytrychów — słowem, normalnych pomocy naukowych. Gdy dzwonek oznajmił koniec drogi, pozostało mi tylko sprzątnąć ze stołu i udać się do sterówki.

Jedynym miastem posiadającym na tej planecie port kosmiczny był Freiburgbad, który rozłożył się nad brzegiem całkiem pokaźnego jeziora, stanowiącego tu zresztą jedyne źródło świeżej wody. Pod jego to wrażeniem nabrałem nagle wielkiej ochoty na kąpiel i był to z pewnością dobry pomysł, doprowadził bowiem do zatopienia mojego statku na dnie jeziora. Wynikały z tego same korzyści — nie dość, że był niewidoczny, to jeszcze pod ręką. Przeprowadziłem to prosto — zbliżyłem się do planety z przeciwnej strony, następnie pilnowałem, by między mną a kosmodromem było zawsze jakieś pasmo górskie i tak doleciałem do jeziora. Nad samą wodę zszedłem już po zmroku, i to najszybciej jak mogłem. Jeśli nawet uchwycił mnie jakiś radar, to całkowity brak reakcji zdawał się wskazywać, że miejscowa kontrola lotów nie interesuje się takimi drobiazgami. Dodatkowo

rozpętała się burza, maskując całą imprezę jak na zamówienie. Niedaleko od brzegu znalazłem całkiem sporą rozpadlinę w dnie. Postanowiłem w niej zaparkować. Wszystkie niezbędne narzędzia wsadziłem do hermetycznego worka, który przytroczyłem do kombinezonu, i puściłem się do brzegu. Bardziej wyobraźnią niż słuchem odbierałem, jak ścigacz pogrążał się w wodzie.

Pływać w skafandrze jest równie łatwo jak uprawiać miłość w stanie nieważkości. Brzeg osiągnąłem, ale byłem bliski krańcowego wyczerpania. Po wyczołganiu się z wody i pozbyciu skafandra dostarczyłem sobie naprawdę wielkiej przyjemności paląc to wdzianko w ogniu trzech termitówek. Ulewny deszcz szybko zatarł ślady, a sądząc po ciszy i spokoju, nikt nie widział blasku. Zamknąłem się w wodoszczelnym śpiworze i z utęsknieniem wyczekiwałem świtu.

* * *

Coś było nie tak, i to bardzo. Zostałem bowiem obudzony przez donośny głos:

— Idziesz do Freiburba? Na pewno, a gdzie indziej mógłbyś stąd iść? Ja też. Mam łódź. Starą, ale dobrą. Pierdol nogi.

Głos ciągnął dalej, ja jednak szybko przestałem słuchać, wyklinając się od najgorszych. Zostałem zaskoczony podczas snu, szczęśliwie tylko przez jednego tubylca podróżującego wypakowaną po brzegi łodzią, lecz przecież mógłby to być równie dobrze kto inny. Na przykład moja Angelina. Jego szczęki nie przestawały się poruszać, ja zaś miałem czas na zebranie otępiełych myśli i przyjrzenie mu się. Miał rozwichrzoną brodę, której kudły sterczały na wszystkie strony świata, i ciemne oczy skrywane pod najdziwniejszym nakryciem głowy, jakie kiedykolwiek widziałem. Gdy nabierał powietrza, skorzystałem z chwili przerwy, szybko zaakceptowałem jego ofertę i złapawszy mój dobytek zainstalowałem się na łodzi.

Przez cały czas ścisnąłem w dłoni rękojeść mojej siedemdziesiątki piątki, ale szybko okazało się to niczym nie uzasadnionym asekurantwem. Zug, o ile dobrze uchwyciłem jego imię rzucone w trakcie powitalnego monologu, bez słowa już uruchomił silnik i ruszyliśmy. Silnikiem był tu mocno sfatygowany atomowy przetwarzacz ciepła. Toporna, lecz solidna rzecz pozbawiona ruchomych części. Zanurzało się to w wodzie, woda się nagrzewała i była wyrzucana przez również zanurzoną tubę. Hałas wynosił około pięciu decybeli, co tłumaczyło w pełni, jakim cudem mogłem go wcześniej nie usłyszeć.

Wszystko, jak dotąd, wyglądało normalnie, lecz mimo to nadal trzymałem gnata pod ręką. Ot, normalny środek ostrożności przy spotkaniu z nieznanym. Potoki słów, które wyrzucał, spływały po mnie i z wolna zaczynałem rozumieć, skąd się to bierze. Był myśliwym. Po miesiącach samotności wracał do miasta ze skórkami. Pierwsza ludzka gęba, jaką napotkał, musiała sprawić mu taką radość, że do tej pory ją okazywał. Przypadek sprawił, że to była moja gęba. Nie przerywałem tych popisów krasomówstwa, jako że nie pytany opowiadał wszystko, co chciałem, wyjaśniając masę związanych z moją misją problemów. Najbardziej obawiałem się o moje ubranie. Wybrałem jednoczęściowy kombinezon o standardowych parametrach. Spotyka się je wszędzie w galaktyce, lecz nie mogłem przecież wiedzieć, czy wszędzie to także tutaj. Okazało się, że tak, Zug bowiem nie zainteresował się nim wcale. Zresztą, przy jego przyodziewku byłem zgoła szczytem normalności i naprawdę nie rzucałem się w oczy. Marynarkę to chyba sam sobie uszył, używając do tego skórek z jakichś tutejszych purpurowoczarnych stworzonek. Musiało to zresztą prezentować się nieźle, zanim nie zapoznało się bliżej z ogniem i tłuszczem, ale nawet teraz jeszcze robiło wstrząsające wrażenie. Spodnie i buty były mniej szokujące — najwyraźniej masowej produkcji — ale całość tworzyła nader malowniczy obrazek. Sądząc zaś po wyposażeniu Zuga, moje wiadomości o Freibur były zgodne z prawdą. Typowa mieszanka różnych epok. Elektrostatyczny karabinek leżał na kuszy z pękiem stalowych beltów. Typowy obrazek. Bez wątplenia posiadacz tych niezwykłych przedmiotów

używał obu z równą skutecznością.

Freiburbad osiągnęliśmy przed południem. Zug wolał mówić niż słuchać, toteż zadowolili się paroma zaledwie zdawkowymi uwagami, które padły z mojej strony. Z przyjemnością za to skorzystał z moich koncentratów. Odwdzieczył się flaszką jakiegoś wina domowej produkcji. Degustacja wywarła na mnie niezatarte wrażenie. Przelyk i żołądek zameldowały, że ktoś przeszlifował je stalowym tarnikiem i zalał kwasem. Nienaturalne to uczucie ustąpiło po paru dalszych łykach i tym sposobem podróż upłynęła nam w nader miłym nastroju. Podczas cumowania nieomal zatopiliśmy łódź, co wydawało się nam tak zabawne, że zaśmiewaliśmy się do łez. Daje to pewne pojęcie o stanie naszego ducha. Po czułym pożegnaniu powędrowałem do najbliższego parku, gdzie spocząłem na ławce i trwałem tak, by przywrócić myślom normalną ich jasność.

Architektura oparta była na radosnej układance z plastiku, kamienia i betonu. Wszystko wyrastało bez ładu i składu, a ludzie, którzy po tym, pod tym i nad tym wędrowali, stanowili jeszcze barwniejszą mozaikę. Zwracałem na nich o wiele większą uwagę niż oni na mnie, a zatem wszystko było w porządku.

Po chwili pojawił się przy mnie zmotoryzowany informer. Dałem mu kredyty i nabyłem gazetę, po czym wymieniłem jeszcze parę kredytów na tutejsze gildeny — bez dwóch zdań po złodziejskim kursie. Przynajmniej tak by się to nazywało, gdybym to ja programował tę maszynę. Wszystkie nowości okazały się trywialne i nieistotne. O wiele bardziej intrygujące wydawały się reklamy. Przejrzałem listę hoteli i porównałem proponowane wygody z cenami. I to właśnie sprawiło, że zacząłem jednocześnie pocić się i trząść. Przeraziłem się, wpadając niemal w panikę. Po miesiącu pobytu po tej stronie barykady, za którą okopało się prawo, zaczynałem najwyraźniej myśleć jak praworządny obywatel! Jakże łatwo człowiek traci nawyki całego życia...

— Jesteś kryminalistą! — warknąłem przez zaciśnięte zęby i splunąłem na tabliczkę głoszącą: NIE PLUĆ, a uczyniłem to już z wyraźnym zadowoleniem. — Nienawidzisz prawa i szczęśliwie ci się żyje bez niego. Sam dla siebie jesteś prawem i jesteś do tego najuczciwszym człowiekiem w galaktyce. Nie łamiesz żadnych praw, ponieważ sam je tworzysz i zmieniasz, ilekroć masz ochotę.

Wszystko to była święta prawda i pomyślałem o sobie z nienawiścią z racji tego zapomnienia. Ten krótki okres uczciwości, która dopadła mnie w Korpusie, omal nie zniszczył moich najlepszych antyspołecznych przyzwyczajęń.

— Jesteś skurwysyn! — ryknąłem, doprowadzając w ten sposób do wyraźnego przerażenia przechodzącą akurat mimo dziewczynę.

Aby utwierdzić ją w przekonaniu o sprawności jej aparatów słuchowych, wykrzywiłem się szkaradnie. Oddaliła się błyskawicznie. Ja też, tyle że w przeciwną stronę. Tak już lepiej — stwierdziłem w duchu i ruszyłem w poszukiwaniu możliwości czynienia zła.

Musiałem odbudować swe wnętrze, nim zajmę się Angeliną! Nie potrzebowałem nawet szukać sposobności: sama szybko wpakowała się w ręce. W dziesięć minut znałem już mój cel. Co potrzebne miałem przy sobie, mogłem zatem przystąpić do dzieła nie zwlekając. Wybrałem odpowiedni zestaw rozmieszczając go po kieszeniach, torbę zaś ukryłem w przegródce na dworcu. To, co stanowiło mój pierwszy cel na Freiburg, było jak sen. Trzy wyjścia, czterech strażników, rozkoszny tłum klientów. Czterech ludzkich strażników! Żadnej elektroniki, żadnych automatów. A przecież żaden normalny przybytek tego rodzaju nie traciłby forsy na strażników mogąc za jedną dziesiątą ich poborów założyć o całe niebo lepsze mechaniczne zabezpieczenia.

Byłem prawie szczęśliwy, gdy stałem tak w kolejce do kasy, w której również siedział człowiek. Zautomatyzowane banki nie są wiele trudniejsze do rozpracowania, wymagają jednak innej techniki. Taka oto mieszanina ludzi i prostych maszyn jak tutaj to najłatwiejsza rzecz z możliwych.

— Proszę mi to zamienić na gildeny — zwróciłem się do kasjera, kładąc przed nim dziesięciokredytową monetę.

— Yes, sir! — usłyszałem.

Nawet na mnie nie spojrział! Złapał monetę i wsunął ją w szczelinę jakiejś starożytnej maszyny. Zanim wyświetlił się napis „właściwa waga”, wręczył mi plik tutejszej waluty. Liczyłem tę kupę najwolniej, jak mogłem, podczas gdy moja dziesiątka przenikała do skarbcza. Gdy byłem już pewien, że zaszła wystarczająco daleko, wdusiłem guzik naręcznego nadajnika. Jedynym słowem, które nadaje się do opisanie późniejszych wydarzeń, jest słowo: piękne. Bo to było piękne, bez dwóch zdań! Było to jedno z tych zdarzeń, które pozostawiają po sobie miłe i pogodne wspomnienia i jawią się naprawdę jako chwile szczęścia, gdy wspominać je po latach. Ten dziesięciokredytowy drobiazg kosztował mnie parę ładnych godzin pracy, ale każda minuta mozołu warta była tego efektu.

Przeciąłem monetę, wydrążyłem, wyładowałem bermedexem i umieściłem wewnątrz elektroniczny zapalnik sterowany sygnałem radiowym. Wszystko oczywiście w granicach narzuconych przez wagę oryginału.

Głuchy huk, jaki doszedł z przepastnych głębin sejfu, był dowodem skuteczności tego majsterkowania. Potem nastąpiła lawina trzasków i brzęknięć i tylna ściana sali, za którą znajdował się sejf, pękła w połowie, wysypując lawinę złota i kłęby dymu. Ostatnim wyczynem mojego podrobionego bilonu było pobudzenie do życia automatów kasowych, tyle tylko, że zaczęły działać w przeciwną stronę. Każdy z nich gwałtownie wysypał monety. Deszcz pieniędzy spadł na ogłupiałych klientów. Byli jednak szybcy. Ocknęli się błyskawicznie i zaczęli zbierać bilon. Radość ich nie trwała jednak długo, ten sam sygnał uruchomił bowiem zapalniki bomb gazowych i bezbarwny, bezwonny dym zaczął rozprzestrzeniać się z bankowych koszy na śmieci, w których uprzednio umieściłem te zabawki.

Był to kolejny mój patent; subtelną mieszaniną kilku gazów obezwładniających, dająca w efekcie gaz oślepiający na okres jakichś trzech godzin. Nie zauważony w tym zamieszaniu naciągnąłem na twarz gogle i rozejrzałem się, wdychając powietrze przez odpowiednie filtry w nozdrzach, co umożliwiło mi spokojne trawienie obiadu. Efekty uboczne działania tej mieszanki sprawiły, że wszyscy: klienci i obsługa, byli zbyt zajęci sobą, by zwracać uwagę na innych.

Bardzo mi to odpowiadało.

Mój urzędnik gdzieś zniknął, toteż wlałem przez okienko do części urzędowej i dobrałem się do głównego źródła majątku. Zignorowałem pętającą mi się pod nogami drobnicę i skoncentrowałem się na nominałach od tysiąca w górę. W dwie minuty moja torba była pełna i rozpocząłem odwrót.

Wnętrze wypełniło się tymczasem dymem z kolejnego kompletu bomb, które zadziałały z opóźnieniem około sześćdziesięciu sekund. Koło drzwi dym był nieco przerzedzony, toteż wzmocniłem go kilkoma granatami. Wszystko działało jak najpiękniej i zgodnie z planem. Wszystko, prócz jednego idioty-strażnika. We własnych oczach musiał mieć zadatki na bohatera. Jego szcążkowe szare komórki wydedukowały widocznie, że coś jest nie tak, więc zrobił, co mógł, żeby temu zaradzić. Łaził w kółko i strzelał na oślep. Było czystym cudem, że nie udało mu się, jak dotąd, nikogo trafić. Zabrałem mu broń i stuknąłem go w szczyt czaszki. Uspokoił się.

Dym uniemożliwiał komukolwiek z zewnątrz zorientowanie się w wypadkach. Paru gliniarzy chciało wprawdzie zaspokoić ciekawość, ale byli tak samo bezradni jak reszta towarzystwa.

Zorganizowałem małą wycieczkę moich oślepieńców, zbierając ich do kupy koło wyjścia, a gdy tłumek był już odpowiedni, wyprowadziłem to zgromadzenie na zewnątrz. Wcześniej, rzecz jasna, zdjąłem gogle, oczy zaś trzymałem mocno zaciśnięte, dopóki świeży powiew wiatru nie upewnił mnie, że jestem już poza zasięgiem chmury gazu.

Jakaś lokalna dobra dusza, która dostrzegła spływające mi po twarzy łzy, pomogła mi oddalić się od tego pandemonium. Podziękowałem gościowi wylewnie i rozstaliśmy się, każdy zadowolony z siebie. Tak się przynajmniej zdawało. Wszystko było proste i jasne. I zawsze tak to wygląda, gdy dobrze planuje się swoje posunięcia i nie daje się ponieść głupiemu ryzyku.

Czułem teraz w sobie takiego ducha bojowego, że znalezienie Angeliny wydawało się dziecinadą. Nie było takiej rzeczy, której nie mógłbym zrobić. Pozostając w tym euforycznym nastroju, wynająłem pokój w hotelu dla kosmonautów i skupiłem się na korzystaniu z przyjemności życia. Ten rejon dostarczał ich wiele, a ja odwiedzałem wszystkie lokale z sumienną starannością. W jednym zjadłem stek, w innych wypłem drinka. Jeśli Angelina też przeszła przez ten rejon, a co do tego nie miałem specjalnych wątpliwości, to musiała pozostawić po sobie jakiś ślad. Czułem to w kościach.

— Postawisz dziewczynie drinka? — usłyszałem głos obok. Odwróciłem głowę.

Dziwek wszelkiego rodzaju i maści kręciło się tu zatrzęsienie, przy czym ich liczba wzrastała w miarę, jak mijało popołudnie.

Od czasu rozpoczęcia mej wędrówki odrzuciłem już całkiem pokaźną liczbę propozycji. Ta była kolejną. I rzucona została przez jedną z lepiej wyglądających, a na pewno już lepiej zbudowanych niż inne. Obserwowałem, jak dziewczyna oddala się w stronę baru. Spódniczkę miała krótką i obcisłą, a do tego wysoko rozciętą po bokach. Pod napiętym materiałem poruszały się prowokująco i opływowe pośladki. Były pięknym uzupełnieniem długich i smukłych nóg. Osiągnęła bar i wdrapała się na jeden ze stołków, co pozwoliło mi kontemplować wyższe partie jej ciała. Miała na sobie bluzkę zrobioną z cienkich pasków jakiejś błyszczącej materii, które razem były zebrane tylko na górze i na samym dole. Każdy ruch powodował powstawanie i znikanie szczelin, przez które przeświecała kremowa skóra. Wywoływało to oszałamiające efekty. Moje oczy odbyły długą podróż, która zaczęła się na wysokości kolan, a skończyła na twarzy, przy czym doszedłem do wniosku, że stanowi ona udane dopełnienie. Wydawała się całkiem atrakcyjna i jakby skądś znajoma...

W tym samym momencie moje serce wykonało gwałtowny skok, a ja przyrosłem do krzesła. To było niemożliwe — ale jednak prawdziwe. Miałem przed sobą Angelinę!

Rozdział 10

Przefarbowała włosy i dokonała paru prostych i oczywistych zmian w swojej powierzchowności. Tyle akurat, by nie dało się jej rozpoznać na podstawie rysopisu. Nigdy by też do tego nie doszło, gdyby nie ja. Jako jedyny widziałem ją i rozmawiałem z nią, wiedząc, z kim mam do czynienia. A najmilszym faktem w tym wszystkim było to, że ja mogłem ją zidentyfikować, ale ona nie miała bladego pojęcia, kim ja jestem. Widziała mnie co prawda równie długo jak ja ją, ale nosiłem wtedy kombinezon z opuszczonym filtrem, a ona miała coś ważniejszego do roboty: musiała ratować własną skórę.

Najszczęśliwszy dzień w moim życiu osiągnął teraz swoje apogeum. Rozkoszowałem się tym na wszelkie możliwe sposoby. Tak w ogóle, to Angelinie należało się duża uznanie. Wybrała idealne miejsce, by się ukryć. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy szukać jej wśród portowych dziwki. Miała dość pieniędzy na każdą niemal zachciankę. Była cudowna. Gdyby nie jej zboczona skłonność do zabijania, byłaby świetna. Jaki piękny zespół moglibyśmy utworzyć! Moje serce ponownie wykonało oszałamiającą ewolucję, gdy skojarzyłem, co mi właściwie łączy po łbie. Angelina była przecież nieszczęściem spadającym na każdego, kto znalazł się w pobliżu. Wewnątrz pięknego opakowania krył się nad wyraz inteligentny mózg o zdecydowanie zboczonych gustach. Nie mogłem zapomnieć o ścieżce, którą wysłała za sobą trupami, a która mnie do niej doprowadziła. Dla mego własnego bezpieczeństwa powinienem pamiętać o ciałach tych, którzy z nią przegrali, a nie o jej ciele.

Pozostało mi zrobić jedno: zabrać stąd Angelinę i doprowadzić do Korpusu. Nieistotne były w tej chwili moje odczucia wobec niej ani to, czy są wzajemne.

Przyłączyłem się do niej przy barze i zamówiłem dwie porcje lokalnej trucizny na robaki. Ze zwykłej ostrożności zmieniłem barwę głosu i akcent. Tego Angelina nasłuchiwała się dosyć, by rozpoznać mnie od razu i był to jedyny mój słaby punkt.

— Wypij, laluniu — zaproponowałem, podając jej szklaneczkę. — Potem pójdziemy do ciebie. Mamy chyba gdzie iść?

— Miejsce mamy, ale czy mamy dziesiątkę?

— Oczywiście — zapewniłem urażony. — Myślisz, że ten soczek dali mi za wygląd?

— Nie jestem knajpą z bramkarzem — odparła z cudownym brakiem zainteresowania. — Płaci się z góry, potem się dostaje.

Złapała moją dziesiątkę w powietrzu, obejrzała ją, zważyła w dłoni i schowała do torebki. Obserwowałem to z prawdziwą przyjemnością, która mogła być wzięta za podziw wobec jej osoby. Grała swoją rolę idealnie, aż do najdrobniejszych szczegółów. Dopiero gdy odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, przypomniałem sobie, że to jest interes, a nie przyjemność. Wychyliłem szklaneczkę i pospieszyłem za Angeliną ku drzwiom, potem zaś w głąb mrocznej alei.

Ledwo znaleźliśmy się na zewnątrz, zdwoiłem ostrożność. Było mało prawdopodobne, by szła z każdym klientem. Możliwe, że przystąpiła do spółki z jakimś tutejszym silnorękiem, który dawał narkozę towarzyszącym jej facetom za pomocą gazurki czy czegoś równie subtelnego. Może przyszło mi do głowy w związku z moją wrodzoną ostrożnością, ale dłoń trzymałem na kolbie automatica i bacznie się rozglądałem. Przeszliśmy przez park, skręciliśmy w kolej na ulicę i weszli do jednego z pobliskich domów. Nikt nie szedł za nami, nikt się do nas nie zbliżył, nie było nawet nikogo w zasięgu wzroku.

Kiedy otworzyła drzwi do pokoju, odpreżyłem się trochę. Był mały i obskurny, ale te cechy wykluczały przynajmniej obecność komitetu powitalnego.

Angeliną skierowała się prosto do łóżka, ja zaś zbadałem, czy zamek jest dokładnie zamknięty.

Gdy obróciłem się ku niej, znalazłem się na wprost dużego i obrzydliwego wylotu lufy

siedemdziesiątki piątki, którą to broń Angelina trzymała oburącz i celowała dokładnie we mnie.

— Do kurwy nędzy, co to za armata?! — wrzasnąłem czując, jak coś zimnego nieprzyjemnie wędruje po moim krzyżu, i stwierdzając, że najwyraźniej miałem jednak dobre przeczucie.

Dłoń nadal trzymałem na kolbie, ale próba wydobycia broni równałaby się w tej sytuacji natychmiastowemu samobójstwu.

— Zamierzam cię zabić i nawet nie muszę w tym chcę znać twojego imienia — powiedziała z uśmiechem, — Zasłużyłeś na to po tym, jak zrujnowałeś moje plany związane z pancernikiem.

Nadal jednak nie strzelała, a uśmiech na jej twarzy rozjaśnił się, aż do wyrażania czystej i całkowitej radości. Widać było, że niekontrolowana gra mięśni twarzy sprawia jej wyraźną przyjemność, do mnie zaś docierało z wolna, że wygłupiłem się na całej linii. Myśliwy stał się zwierzyną: upolowała mnie dokładnie tam, gdzie chciała, i to wraz ze świadomością, że nie jestem w stanie nic na to poradzić.

Angelina parsknęła w końcu, ze śmiechem witając moje odkrycia — mimo wszystko była artystką. Pozwoliła mi skojarzyć fakty, a dokładnie w momencie, gdy doszedłem do pełnej mądrości, nacisnęła spust. Nie raz, ale pięć razy. I jeszcze finalny pocisk między oczy.

Rozdział 11

To nie była dokładnie utrata pamięci, ale raczej rodzaj otępienia spowodowanego bólem, który bez specjalnych trudności wygrywał z mdłościami. Dodatkowy problem polegał na tym, że nie mogłem niestety otworzyć oczu. Gdy w końcu mi się to udało, ujrzałem jakąś gębę, która unosiła się nade mną, pływając w różowej substancji.

— Co się stało? — zapytała gęba.

— Chciałem właśnie spytać o to samo... — urwałem zaskoczony słabością mojego głosu.

Gdy tylko wróciła mi w miarę zdolność widzenia, gęba okazała się integralną częścią większej całości tworzącej osobę młodzieńca w białym uniformie. Podejrzywałem, że to lekarz, a po tym, jak wszystko się trzęsło doszedłem do wniosku, że jedziemy do szpitala.

— Ktoś strzelał do ciebie? — usłyszałem. — Chyba. Ktoś zameldował o strzałach i pewnie ucieszy cię wiadomość, że przybyliśmy w ostatniej chwili. Straciłeś sporo krwi. Część zdołałem już uzupełnić. Masz paskudną ranę lewego przedramienia, czysty postrzał prawego przedramienia, możliwe są do tego takie urazy, jak pęknięcie kości czaszki, złamanie kilku żeber i obrażenia wewnętrzne. Ktoś musiał cię naprawdę nie lubić. Kto?

Też mi pytanie! Kto? A któż by, jak nie moja kochana Angelina. Spryciara, czarownica i zimnokrwista morderczyni — oto, kto mnie nie lubi. Teraz przypomniałem sobie wszystko. Przepaścistą lufę, która spoglądała na mnie wylotem dość przestronnym, by zaparkować statek kosmiczny. Wylatujący z niej ogień i uderzające we mnie kule. I ból, gdy moja kosztowna, w pełni gwarantowana i kuloodporna kamizelka wyłapywała je po kolei, rozkładając ich impet na cały przód mego ciała. Pamiętałem kołącą we mnie nadzieję, że to wystarczy, i przerażenie, gdy dymiąca lufa spojrzała w moją twarz. Pamiętałem ostatnią, rozpaczliwą próbę uratowania się — głowę osłoniłem skrzyżowanymi ramionami i desperacko rzuciłem się w bok. Najzabawniejsze zaś, że próba najwyraźniej się powiodła. Kula, która rozorała mi przedramię, była już w wystarczającym stopniu wybita z toru lotu, by zjechać jedynie po kości czaszki, zamiast wywalić w niej dwie wcale nietwarzowe dziury.

Leżałem potem zupełnie nieruchomo w kałuży krwi, gdy w pokoju błąkało się jeszcze echo wystrzałów. Ten obrazek musiał tak omamić Angelinę, że się pomyliła. Pospieszyła się i nie sprawdziła, czy przypadkiem nie kołają jednak we mnie ostatki życia.

— Połóż się — powiedział lekarz. — Albo dam ci zastrzyk, który unieruchomi cię na tydzień.

Dopiero gdy to powiedział, zauważyłem, że prawie siedzę na noszach, drżąc mocno i oddychając chrapliwie. Spokojnie pozwoliłem się położyć, szczególnie że przy najmniejszym poruszeniu moja klatka piersiowa stawała się jednym morzem ognia. I dokładnie w tym momencie mój umysł rozpoczął poszukiwanie najlepszego wyjścia z sytuacji. Ignorując ból, o ile było to oczywiście możliwe, rozejrzałem się po ambulansie. Najlepszym sposobem zapewnienia sobie startu było bowiem upewnienie wszystkich zainteresowanych w przekonaniu, że jestem martwy. Jedyne co mogłem tu zrobić, to rąbnąć pisak i kilka blankietów, które wisiały nade mną. Wykonałem to jedyną w miarę sprawną ręką, ale i tak rozbudziło to ból w piersiach. Do szpitala zajechaliśmy w zgodzie i w komplecie. Robot wyciągnął nosze z ambulansu, opuścił kółka i pojechał ze mną w głąb szpitala. Mój opiekun, gdy mijaliśmy go, wsunął jakieś papiery do umieszczonej z boku noszy teczki i pokiwał mi na pożegnanie. W odpowiedzi posłałem mu bohaterski uśmiech prowadzonego do rzeźni wołu.

* * *

Ledwie zniknął mi z oczu, wyciągnąłem papiery i dokonałem przeglądu tej makulatury. Była to jedyna sposobność: miałem w ręku raport i diagnozę w czterech egzemplarzach. Dopóki nie znajdzie się to w komputerze, nic nie wiedzą o moim istnieniu. Potrzebowałem jednak nieco czasu. Zrzuciłem

poduszkę. Robot stanął i gniewnie ją podniósł. Nie zwrócił przy tym uwagi na moją pisaninę i nie wydał się zdumiony, gdy jeszcze dwukrotnie zmuszony był ratować dobro szpitala. Te przystanki umożliwiły mi ukończenie aktu fałszerstwa.

Doktor Mcvbkz — tak przynajmniej wynikało z jego podpisu — musiał się jeszcze nauczyć, jak wykorzystywać papier. Między ostatnią Unią tekstu a podpisem zostawił całe hektary dziewiczej przestrzeni. Uznałem to za karygodne marnotrawstwo i czym prędzej zapełniłem ją najlepszą — spośród dostępnych mi w tej chwili — imitacją jego pisma: „Rozległe obrażenia wewnętrzne połączone z bardzo obfitymi krwawieniami, szok... zmarł w drodze. Wszystkie próby reanimacji zawiodły”. To ostatnie dopisałem po chwili namysłu. Całość brzmiała wystarczająco oficjalnie. Nie miałem ochoty na jakiegokolwiek reanimacje, sztuczne oddychania i elektrowstrząsy. W chwili gdy chowałem papiery z powrotem do torby, skręciliśmy właśnie do izby przyjęć. Wyciągnąłem się nieruchomo, udając nieboszczyka najlepiej, jak umiałem.

— Tu jest następny, który kipnął w drodze, Svand — zauważył ktoś wertując nad moją głową papiery.

Usłyszałem odjeżdżającego robota, który nie przejął się tym skądinąd nienormalnym zdarzeniem, że jego piszący i rzucający poduszkami pacjent okazał się nagle nieboszczykiem. Ten brak ciekawości był cechą, która mi się najbardziej w robotach podobała. Starłem się myśleć o cmentarzu, trupach i tym podobnych przyjemnościach, mając przy tym błogą nadzieję, że odbija się to na mojej twarzy. Coś złapało moją lewą stopę i zdjęło but i skarpetkę. Jakaś dłoń chwyciła z kolei moją nogę.

— Przykre — usłyszałem sympatyczny głos wyrażający żal. — Jeszcze ciepły. Może ktoś powinien zawołać zespół reanimacyjny?

Co za cholerne wścibstwo!

— Po co? — spytał jakiś inny, szczęśliwie mniej współczujący głos. — Próbowali w karetce. Wsadzaj go do pudła. I tak mu już nie pomożemy.

Straszliwy ból przeniknął moją stopę i omal nie zepsułem przedstawienia nader żywym podskokiem. Tylko najwyższym wysiłkiem woli zdołałem utrzymać się w bezruchu, gdy ta mała okręcała mój duży palec drutem kolczastym. Z drutu zwisała tabliczka i miałem nadzieję, że w najbliższym czasie taka sama tabliczka będzie zwisała z ucha tego szympansa. I że drut też będzie taki sam. Nosze potoczyły się i gdzieś za mną, a może przede mną, otworzyły się jakieś drzwi i powiało mrozem. Pozwoliłem sobie na błyskawiczny rzut oka. Jeśli trupy zimowały w tym interesie w osobnych lodówkach, to istniała pewność, że moje zmartwychwstanie nastąpi niezwłocznie. Mogłem sobie wyobrazić ciekawsze sposoby umierania niż zamrażanie w blaszanej, wypełnionej lodem skrzynce z drzwiczkami i klamką z drugiej strony. Szczęście jednak nadal galopowało koło mojego boku. Mój oprawca wepchnął mnie do zimnej, ale przestronnej sali z kilkoma — przybyłymi najwyraźniej przede mną — pasażerami. Bez zbędnych ceregieli zostałem rzucony na lodowatą powierzchnię, a kroki i pisk kółek oddalały się z wolna. Huknęły zatrzaskiwane drzwi, zapadła ciemność i absolutna cisza.

* * *

Mój duch bojowy ulotnił się w tym momencie zupełnie. Dzień obfitował w różne niesprzyjające wydarzenia, lecz zamknięcie w czarnym jak wnętrze grobu i pełnym trupów pokoju wpędziło mnie prawie w depresję. Zanim jednak zdążyłem się załamać do reszty, zlaźłem na podłogę i pomaszerowałem ku drzwiom. To znaczy w stronę, gdzie spodziewałem się drzwi. Zatrzymało mnie bolesne uderzenie w kolano, gdy moja noga spotkała się z sąsiednim stołem. Pokuśtykałem w bok, gdzie powinna być ściana. Na moje szczęście była.

Przejście reszty drogi było już dziecinadą. Najpierw namacałem kontakt i wraz z zalewającym pomieszczenie blaskiem światła moja pewność siebie częściowo wróciła. Drzwi znajdowały się tam, gdzie powinny, i ja sam nie mógłbym wymyślić ich lepiej. Nie miały okna, była natomiast nie tylko klamka, ale i zasuwka. Dlaczego od tej strony i dlaczego w ogóle, nie miałem pojęcia, ale skorzystałem ze sposobności i zasunąłem ją. Dało mi to pewne poczucie dawno już zapomnianej prywatności.

Chociaż pokój był pełen ludzi, nikt oczywiście nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Zdjąłem z palca drut kolczasty i masażem przywróciłem krążenie. Na żółtej plakietce widniały duże czarne litery DOA (co w ludzkim języku oznaczało: zmarł w czasie transportu) i numer. Wszyscy na stołach mieli takowe na palcu lewej nogi, tyle że z różnymi numerami. Okazja była zbyt dobra, by ją przegapić. Zsunąłem tabliczkę z palca najbardziej zmasakrowanego trupa płci męskiej i na to miejsce nałożyłem swoją, po czym parę pracowitych minut spędziłem powtarzając ten sam manewr w kilku innych miejscach. W czasie tej radosnej twórczości zsunąłem największy prawy but jaki znalazłem, i nałożyłem go na moją lewą stopę, która zmarzła już solidnie. Nadliczbową tabliczkę schowałem do kieszeni, a jednego z moich milczących przyjaciół pozbawiłem ciepłej koszuli, której i tak już nie potrzebował. Od pasa w górę byłem bowiem nagi, co stanowiło uboczny skutek akcji ratunkowej. Zniknęła nawet moja pancerna bielizna.

Wykonanie tego wszystkiego nie było takie proste ani nie poszło tak szybko, jak się wydaje. Poruszałem się jak żwawy sześćdziesięciolatek z lewostronnym paralizem. Wszystko jednak ma kiedyś tam swój kres, toteż w końcu ubrałem się i zgasilem światło. Potem otworzyłem drzwi. Powiało tropikiem.

W zasięgu wzroku nie dostrzegłem żywej duszy, czym prędzej więc zamknąłem drzwi za sobą i powędrowałem do następnych. Wybrałem najbliższe. Wszedłem do jakiejś poczekalni, na całe szczęście była pusta. Zwałem się na krzesło i przez dość długi czas nie byłem zdolny do niczego więcej. Potem wznowiłem poszukiwania.

Następne drzwi były zamknięte, ale nie zraziłem się tym. Trzecie z kolei ustąpiły bez kłopotu. Wewnątrz panowały ciemności i ktoś chrapał na potęgę. Ktokolwiek to był, dobrze wiedział, co robi. Przeszukałem pokój, zabrałem jakiś płaszcz i kapelusz, a facet nawet nie zmienił pozycji ani tonacji. I bardzo dobrze zresztą, byłem bowiem nadal w nastroju, na który składała się nie wyładowana jeszcze agresja połączona z czarnym humorem. Cokolwiek by powiedzieć — mieszanina wybuchowa. Wylazłem na korytarz. W oddali poruszały się jakieś ludzkie sylwetki, lecz nikt nie spoglądał na mnie, gdy znikalem w wyjściu awaryjnym.

Już po paru sekundach znalazłem się na wilgotnych i mrocznych ulicach Freiburbadu.

Rozdział 12

Najbliższa noc i parę najbliższych dni nie były, z oczywistych przyczyn, łatwe do zapamiętania. Powrót do pokoju był ryzykiem, ale ryzykiem skalkulowanym. Najprawdopodobniej Angelina w ogóle nie odkryła pokoju, a jeśli nawet, to jaki mogła z tego zrobić użytek — byłem przecież martwy i tym samym nie stanowiłem dla niej żadnego zagrożenia.

Okazało się, że rozumowanie to było ze wszech miar słuszne. Pokój był w takim stanie, w jakim go zostawiłem, a podczas mojego w nim pobytu nie doszło do żadnej wizyty.

Co dzień zamawiałem jedzenie i przynajmniej dwie flaszki tutejszego bimbrowa, aby stworzyć wrażenie solidnego i samotnego pijaka. Nafaszerowałem się lekarstwami i środkami znieczulającymi i pogrążyłem w błogiej nieświadomości, z rzadka tylko przerywanej.

Na trzeci dzień byłem jeszcze trochę oglupiały, lecz niewątpliwie zacząłem przypominać człowieka. Mogłem ruszać ręką, chociaż nie obywało się to bez bólu, a czarnobłękitne ślady po kulach nabrały bardziej twarzowej fioletowożłotej barwy. Bóle głowy i piersi prawie ustąpiły.

Był już najwyższy czas, by zająć się planami na przyszłość.

Zacząłem od zapoznania się z zawartością gazet z ostatnich trzech dni. W efekcie z zadowoleniem stwierdziłem, że mój plan zaowocował lepszymi nawet wynikami, niż się spodziewałem. W dzień po mojej śmierci we wszystkich gazetach pojawiły się sążniste artykuły wysmażone najwyraźniej przez pismaków, którzy nie pofatygowali się nawet, by obejrzeć mojego trupa. Potem zaś nastąpiła cisza. Ani słowa o Wielkim Szpitalnym Skandalu Zaginionych Ciał czy Aferze Z Powodu Że To Nie Wujek Leży W Trumnie. Cała moja pełna radości improwizacja w lodówce musiała pozostać słodką tajemnicą szpitala i głowy spadły bez zbytecznego rozgłosu.

Angelina, mój kochany kowboj, jeżeli w ogóle jeszcze o mnie myślała, to jedynie jako o obłoku szarego dymu ulatującego z lokalnego krematorium. Upraszczało to dalsze postępowanie i dawało czas na dokładne zaplanowanie wszystkich kroków. Jedno było pewne. Żadnych więcej zabaw z cyklu „kto tu kogo goni”. Zamierzałem zaznać nieco przyjemności przy aresztowaniu jej. Tyle przynajmniej, ile ona miała z dziurawienia mnie tą kieszonkową artylerią. Było niemiłą, lecz niestety niezaprzeczalną prawdą, że jak dotąd to ona mnie wymanewrowała i to na całej linii.

Ukradła pancernik tuż sprzed mojego nosa, na moich oczach grasowała nim po galaktyce, uciekła spod lufy mej broni i — co było najgorsze — zastawiła na mnie pułapkę, w którą wlałem rękami i nogami. Podczas ucieczki musiała dokładnie zakarbować sobie mój wygląd i głos, a rozsadzająca ją nienawiść była tylko w tym pomocna. Potem zaś zastanowiła się nieco i przewidziała moje postępowanie, no i wiedząc, że przybędę, zorganizowała tę oto niemiłą pułapkę. I czekała. Z moją pomocą wszystko udało się idealnie.

Teraz nadeszła moja kolej na rozdanie kart. Pierwszą i podstawową rzeczą była nowa charakterystyka, dokładna zmiana wyglądu. Tym razem nie wystarczyło już normalne przebranie, potrzebna była radykalna zmiana. I to zarówno przeciwko Angelinie, jak i przeciw Korpusowi.

Co prawda, podczas szkolenia ta kwestia nie padła ani razu, lecz pewien już byłem, że z Korpusu odchodzi się tylko w jeden sposób: nogami do przodu.

Potrzebowałem faktów, a ponieważ udaje się czasem znaleźć je w gazetach, zapisałem się do tutejszej biblioteki i pożyczyłem nieco mikrofilmów z prasą. Wybrałem ostatnich pięć roczników. Była tam między innymi płomiście żółta gazeta „Gorące Wieści”. Przeznaczona dla szerokiego grona czytelników, posługiwała się językiem złożonym z jakichś trzystu słów i specjalizowała w napadach, wypadkach i innych krwawych przyjemnościach, opatrując teksty zawsze dużą liczbą wyśmienitych, kolorowych fotografii. Tak naprawdę był to klasyczny brukowiec skupiający uwagę wyłącznie na skandalach, plotkach i przestępstwach. Czyli dokładnie na tym, co było mi potrzebne.

Ludzkość zawsze miała słabość do porządných jatek i do mordów. Wśród wszystkich tych przestępstw jedno wszakże spotykało się z powszechną dezaprobatą: afery medyczne. Słyszałem, że plemiona pierwotne uśmiercały czarowników, jeśli zmarł leczony przez nich pacjent. Nie było to pozbawione swoistej racji. W cywilizowanych krajach nie dochodziło wprawdzie do tego, ale lekarz, który sprzeniewierzył się swoim obowiązkom, nie mógł liczyć na łaskę czy pobłażanie. Gdy jesteśmy chorzy, oddajemy się całkowicie w ręce lekarza, dając mu automatycznie możliwość zajmowania się tym, co dla nas najcenniejsze. Nic dziwnego, że jeśli facet nadużyje naszego zaufania, ogarnia nas szal przechodzący w furję.

Coś ze dwa lata temu zdarzyło się, że Wysoko Poważany Doktor Sifternitz z dużym hukiem został przekwalifikowany na Wysoko Pogardzanego Obywatela Vulffa Sifternitza. „Gorące Wieści” z detalami opisywały, jak łączył życie playboya i chirurga, dopóki skalpel w jego dłoni nie przeciął tego zamiast tamtego i życie znanego polityka nie uległo skróceniu o kilka ładnych lat. Trzeba zresztą przyznać Vulffowi, że tego dnia był przypadkiem trzeźwy i przyczyną pomyłki wcale nie okazał się alkohol. Nie miało to jednak wielkiego znaczenia. Skończyło się na odebraniu dyplomu i obrzuceniu błotem oraz powszechnej pogardzie. Życie potraktowało Vulffa ciężko i po chamsku, stąd też właśnie był osobą, której szukałem.

Moja pierwsza wyprawa, na gumowych jeszcze nogach, miała na celu uregulowanie rachunków w bibliotece i zasięgnięcie języka na temat Vulffa. Dla osoby o moich możliwościach nie przedstawiało sobą żadnego problemu wyśledzenie pseudoobywatela, i to zupełnie nieznanego, w obcym mieście i na nowej planecie. Drobiazg. Była to tylko kwestia techniki, a tej miałem pod dostatkiem.

Gdy zastukałem do drewnianych drzwi obskurnej budowli na skraju miasta, gotów już byłem do urzeczywistnienia mojego planu.

— Mam do ciebie interes, Vulff — poinformowałem zarośniętego osobnika o przekrwionych oczach, który raczył otworzyć drzwi.

— Spierdalaj! — padła odpowiedź.

Dla dodania powagi swoim słowom spróbowałem zatrzaskać drzwi. Moja noga profilaktycznie tkwiła za progiem, więc udaremniłem te wysiłki. Szybko znalazłem się wewnątrz.

— Nie zajmuję się leczeniem — wymamrotał spoglądając na moje zabandażowane ramię. — Nie będę zadzierał z glinami. Wynoś się!

— Twoje wypowiedzi są w równym stopniu monotonne, co nieciekawe — poinformowałem go. — Jestem tu, by zaproponować ci jak najnielegalniejszy interes i godną sumę w gotówce. Drobiazg związany z nielegalnością imprezy nie powinien zaprzętać ani twojej, ani również, co zresztą mniej ważne, mojej uwagi.

Ignorując pomruki protestu, przelałem do pokoju.

— Zgodnie z moimi informacjami żyjesz tu sobie z dziewczynką imieniem Zina. To, co mam do powiedzenia, nie jest przeznaczone dla jej uszu jak muszelki. Gdzie ona jest?

— Wyszła! — ryknął. — I ty też won!

Złapał za szyjkę pękatej flaszki i był na najlepszej drodze, by zrobić z niej różyczkę, ale zrezygnował, gdy wyłożyłem na stół zawartość jednej z moich kieszeni.

— Jak ci się to podoba? — spytałem, kładąc na stole pierwszy plik gotówki. — A to? A to?

Każdemu pytaniu towarzyszył, identyczny z poprzednim plik. Flaszka wysunęła się z bezwładnej ręki, a oczy wyszły mu z orbit jak na szypułkach. Bardzo ładny obrazek. Dla dopełnienia całości dodałem jeszcze dwa pliki i zdobyłem w ten sposób jego całkowitą uwagę. Dalszej dyskusji w zasadzie nie było. Od momentu, w którym udowodniłem swój stan posiadania, do omówienia zostały

wyłącznie detale. Pieniądze miały nań dziwnie magnetyczny wpływ, który poza drżeniem kończyn nie wywoływał żadnych innych, fizycznych czy psychicznych objawów. Wszystko poszło ładnie i sprawnie.

— Jest jeszcze jedno, ostatnie pytanie — powiedziałem wstając. — Co z zaciętą Ziną? Masz zamiar jej o tym powiedzieć?

— Zidiociałeś? — w głosie Vulffa brzmiało autentyczne zdumienie.

— Zakładam, że wypowiedź ta oznacza przeczenie. A więc, skoro tylko my dwaj o tym wiemy, jak zamierzasz wytłumaczyć jej swoją nieobecność i nagły przyływ gotówki?

To pytanie wprowadziło go w jeszcze większy szok.

— Wyjaśnić? Jej? Ona nie zobaczy ani mnie, ani forsy. Opuszczę tę norę najszybciej, jak się da. Czyli za jakieś dziesięć minut.

— Rozumiem — stwierdziłem. I faktycznie rozumiałem. Pomyślałem też, że jest to raczej niewdzięczność z jego strony, zważywszy, że owa Zina wspomagała go zyskami z profesji, którą większość kobiet uważa za hańbiącą. Zdecydowałem w duchu, że trzeba będzie zrobić coś z tym fantem w przyszłości. Na razie bowiem liczyła się tylko przemiana Jamesa di Griz.

* * *

Nie zważając na takie detale jak koszty, zamówiłem kompletne wyposażenie sali operacyjnej wraz z zestawem leków. Dla większej pewności wziąłem wszystko, co tylko było zautomatyzowane. Vulff miał pracować sam, a nie chciałem, by coś mu się pomyliło w drobiazgach.

Wszystko zostało załadowane na poduszkowiec transportowy i powędrowaliśmy w nieznane. Żaden z nas nie ufał drugiemu na odległość większą niż zasięg wzroku, co było wprawdzie zrozumiałe, lecz powodowało pewne komplikacje. Jak chociażby kwestia ostatniej zapłaty. Ja uparłem się uściścić ją dopiero po operacji, a drogi doktor Vulff był temu więcej niż przeciwny. Wychodził z założenia, że po fakcie rozwalę mu łeb i zabiorę całą forszę z powrotem. Z przyczyn oczywistych nie wziął pod uwagę, że jak długo istnieją na świecie banki, tak długo nie grozi mi niewypłacalność. W końcu ustaliliśmy warunki bezpieczeństwa i w pozornej zgodzie przystąpiliśmy do dzieła.

Celem wycieczki był domek wynajęty w całkowitej głuszy nad brzegiem jeziora. Żywność i uzupełnienie medykamentów dostarczane były raz na tydzień.

Współczesne techniki chirurgiczne mają to do siebie, że pozbawione są praktycznie czegoś takiego jak ból czy szok. Vulff położył mnie do łóżka, po czym nafaszerował taką ilością narkotyków, że dni zlewały mi się w szarą mgłę.

Pomiędzy dwoma stadiami operacji, gdy byłem w miarę przytomny, zatroszczyłem się o dostarczenie środka nasennego, który zacy lekarz wypił z bezalkoholowym drinkiem. Odstawienie alkoholu było jednym z warunków naszej umowy. Z całą pewnością wpływało to negatywnie na system nerwowy Vulffa i powodowało trudności z zasypianiem, spełniłem zatem czyn samarytański. A poza tym chciałem w spokoju przeprowadzić poszukiwania.

Gdy chrapanie wznosiło się już ponad chmury, otworzyłem drzwi do pokoju doktora i dokonałem małej rewizji. Sądzę, że posiadanie przez niego broni było elementem szeroko rozumianej profilaktyki, ale z typami o tak zszarpanych nerwach niczego nie można być pewnym. Czasy, gdy służyłem za tarczę strzelecką skończyły się bezpowrotnie — szczęśliwie miałem na to niejaki wpływ. Znalazłem kieszonkowy model automatycznej pięćdziesiątki — kiepski, ale wystarczająco skuteczny. Mechanizm działał bez zarzutu, magazynek pełen był rakietowe napędzanych pocisków, które eksplodowały po osiągnięciu celu. Strzelanie z tego egzemplarza byłoby jednak teraz dość groźne dla strzelca, zatkałem bowiem na amen lufę. Znalazienie kamery nie zaszokowało mnie, gdyż przy moim

braku złudzeń i wiary w humanitaryzm nie było nic dziwnego w tym, że Vulff zamierzał oskubać swego dobroczyńcę z jeszcze paru groszy i chciał posłużyć się w tym celu szantażem. Odszukałem też parę ładnych filmów z dokładnymi, jak sądzę, ekspozycjami mojej osoby. Przed i po operacji. Nie bawiąc się w oglądanie, wsadziłem to wszystko pod rentgen i poczekałem, aż się przeświecili.

W przerwach między narzekaniem na brak alkoholu i damskiej obecności Vulff wykonał całkiem przyzwoitą robotę. Oczy, twarz, uszy i ręce — wszystko to zostało całkowicie przekształcone. Uczynił ze mnie zupełnie nową osobę. Używając odpowiednich hormonów zmienił nawet karnację mojej skóry i kolor oraz rodzaj włosów. Stały się teraz kruczoczarnymi kędziorami. Ostatnim zabiegiem, który wykonał wyraźnie będąc u szczytu formy, było delikatne muśnięcie moich strun głosowych, co spowodowało, że mój głos stał się głębszy i twardszy.

Po tym wszystkim Chytry Jim di Griz alias James Bolivar di Griz był martwy, a narodził się Hans Schmidt. Przyznaję, że nazwisko nie było zbyt oryginalne, lecz wystarczyło do rozliczenia się z Vulffem i przygotowania następnej fazy operacji.

* * *

— Bardzo ładnie, doprawdy ślicznie — oeniłem przeglądając się w lusterku, w którym moje palce obmacywały jakąś obcą gębę.

— No tak, wreszcie się napiję! — westchnął zza moich pleców Vulff, który siedział już na walizkach.

Przez kilka dni wspomagał się spirytusem chirurgicznym, ale odkryłem to w porę i ostatnie trzy dni spędził w przymusowej abstynencji. Nie dziwiłem się więc specjalnie, że tęskni do jakiejś porządnej popijawy.

— Dawaj resztę forsy i spływaj stąd! — zażądał.

— Cierpliwość jest cnotą, którą trzeba pielęgnować, doktorku — powiedziałem, rzucając mu gotówkę.

Zerwał banderolę i gorączkowo przeliczał banknoty.

— Strata czasu — poinformowałem go łagodnie, a ponieważ nie przestał, wyjaśniłem. — Zadałem sobie trud, by na każdym napisać sympatycznym atramentem „ukradzione”. Ten atrament zaświeci pięknie, ledwie wpuszczą banknoty do maszyny z ultrafioletem, co — jak wiesz — jest normalną procedurą stosowaną w każdym banku. Siedział jak sparaliżowany.

— Co znaczy „ukradzione”? — wykrztusił po chwili.

— No cóż, tyle to chyba wiesz. Cała suma, jaką ci dałem, została uprzednio ukradziona. — Jego twarz stała się blada, tak blada, że uzyskałem pewność, iż nie dożyje pięćdziesiątki. Nie z tym krążeniem. — Nie powinno cię to martwić. Pierwsza połowa była w starych banknotach. Sam puściłem ich sporo bez większego kłopotu.

— Ale... dlaczego?

— Sensowne pytanie, doktorku. Taką samą sumę przesałem, oczywiście w czystych banknotach, twojej starej znajomej, Zinie. Sądzę, że jesteś jej to winien, choćby nawet było to takie drobne zadośćuczynienie za to wszystko, co dla ciebie zrobiła.

Zrzucając całe wyposażenie i pozostałe zapasy do jeziora uważałem, by nie być odwróconym do niego plecami. Gdy skończyłem, ujrzałem szeroki uśmiech na jego obliczu. Nadszedł zatem najwyższy czas, by pozbawić go reszty złudzeń.

— Taksówka będzie tu za parę minut. Odjeżdżamy razem. Zapewniam cię, że będziemy w porcie wystarczająco późno, abyś nie zdążył odnaleźć Ziny i odebrać jej pieniędzy, jak to planowałaś. — Jego wściekły grymas upewnił mnie, że faktycznie był amatorem w tych sprawach. Ciągnąłem mając nadzieję, że doceni uroki bycia zawodowcem: — My natomiast będziemy mieli

wystarczająco dużo czasu, aby zdążyć na dwa statki odlatujące w zupełnie różne strony wszechświata. W jednym z nich zarezerwowałem dla ciebie bilet.

Wziął go z zainteresowaniem, z jakim bierze się do ręki zdechłą mysz.

— Pośpiech jest w tym przypadku raczej wskazany, gdyż w parę minut po odlocie statku ta oto koperta zostanie doręczona policji. Jest w niej dokładny opis twego udziału w operacji.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, zrozumiał natychmiast.

Całą drogę, aż do jego statku, przebyliśmy w kompletnym milczeniu. Nie pożegnał mnie nawet przekleństwem. Wcale mi to zresztą nie przeszkadzało.

Spokojnie poczekałem, aż wystartuje, po czym równie spokojnie podążyłem do najbliższego hotelu. Na opuszczenie tej planety miałem akurat tyle samo ochoty, co na powiadomienie gliniarzy. Niczego tak mi do szczęścia nie brakowało, jak ich zainteresowania moją osobą.

Wszystkie przygotowania były niezbędne, aby wysłać tego zapijaczonego doktora jak najdalej i utrzymać go na dystans, gdy będzie miał napady delirium. Miał wystarczające fundusze, a moja robota powinna przez ten czas dobiec do końca. Ale w tym celu musiałem pozostać na miejscu. Tutaj ukrywała się Angelina i tylko tutaj mogłem ją znaleźć. Może się wydać dziwne, że byłem tego pewien, ale poznałem ją już na tyle, by odtworzyć niektóre jej zachowania i reakcje.

Po pierwsze, była szczęśliwa z powodu mojej domniemanej śmierci. Do nowych nieboszczyków żywiła te same uczucia, co inne dziewczęta do nowych kiecek. Po drugie, miała pewność, że zginął jedyny człowiek, który mógł ją rozpoznać. Poprzestała więc przypuszczalnie na zwykłych środkach ostrożności stosowanych przeciwko glinom i agentom Korpusu. Gdyby wiedziała, że żyję, byłyby one na pewno pewniejsze. Poza tym pomiędzy moją śmiercią a jej osobą nikt nie widział najmniejszego związku, toteż nie musiała uciekać. Wystarczyły niewielkie zmiany wyglądu, a Freiburg jest stworzona do podobnych machlojek. Równie zdrowego miejsca nigdy dotąd nie spotkałem.

Owszem, ogólnie była dość spokojna. Można zaufać specjalistom z Ligi. Zanim dadzą komuś komputery, zawsze upewniają się uprzednio, że zostały w miejscowej społeczności ustanowione jakieś trwałe prawa. Niemniej jeśli dobrze się rozejrzeć, istnieją jeszcze duże możliwości. Wiedziała o tym Angelina, wiedziałem i ja.

Jednak po tygodniu rozwiniętej działalności musiałem stwierdzić, że najwyraźniej szukaliśmy każde czego innego. Prawda była okrutna, lecz niezaprzeczalna. Miło spędziłem ten czas, szczególnie że odkryłem niezliczone ilości naprawdę znakomitych okazji do wzbogacenia się. Gdyby nie moje pragnienie znalezienia Angeliny, to z pewnością zbudowałbym sobie raj. Takiej przyjemności pozbawiło mnie zadanie, które sam sobie postawiłem, a które mobilizowało do działania jak bolący ząb.

W końcu spróbowałem środków mechanicznych i wynająłem najlepszy dostępny w okolicy komputer, który naszpikowałem problemami do rozwiązania. Dzięki tej pożerającej kilowaty maszynie stałem się szybko specjalistą od ekonomii planety Freiburg, lecz pod koniec nie byłem ani o cal bliżej znalezienia Angeliny niż na początku. Owszem, przyciągała ją władza, lecz nie miałem pojęcia, w które miejsce jej struktury mogła przeniknąć. Prześledziłem wiele afer i mechanizmów rządzących tym społeczeństwem, lecz nigdzie nie trafiłem na ślad Angeliny. Król Willem IX był ucieleśnieniem jednoosobowej kontroli nad planetą. Przeprowadziłem dogłębne śledztwo w sprawie Wilusia i domu królewskiego i udało mi się ujawnić parę soczystych skandali, lecz nie odkryłem w nich ani śladu pięknej rączki Angeliny. Utknąłem w martwym punkcie.

Olśnienie przyszło pewnego wieczoru, gdy wykańczałem w samotności flaszkę akvavitu. Każdy, kto twierdzi, że po pijaku myśli się lepiej, jest kłamcą, i to kłamcą nie zasługującym nawet na uwagę

— nie rokuje ktoś taki nadziei na poprawę. Ale ja wcale nie myślałem. Po prostu pozwoliłem, by wyobraźnia mnie niosła. A tę mam wybujałą.

I wtedy przyszło rozwiązanie. Tak oczywiste, że powiedziałem na głos:

— Wariactwo! To jej kłopot. Ona jest nienormalna. Musisz myśleć po wariacku, tak jak ona, a wtedy wszystko będzie proste i pięknie oczywiste.

Gdy wytrzeźwiałem rano, zrozumiałem, że aby ją odnaleźć, muszę najpierw podążyć za nią w otchłań szaleństwa i psychopatii. Nie podobało mi się to specjalnie, lecz cóż było robić. Tylko to mogło umożliwić mi odnalezienie Angeliny.

Rozdział 13

W zimnym świetle poranka pomysł nie wydawał mi się już tak atrakcyjny. Raczej odwrotnie. Mogłem go zrealizować lub nie — wybór zależał ode mnie. Co do tego, że pomysł był słuszny, nie miałem wątpliwości. Całe postępowanie Angeliny cechowała aberracja psychiczna. Każde nasze spotkanie naznaczone było śmiercią. Zabijała z obojętnością lub z przyjemnością (jak mnie na przykład), ale zawsze towarzyszył temu całkowity brak innych emocji. Wątpiłem, by znała dokładnie liczbę nieboszczyków, których miała na koncie. Według jej kryteriów byłem amatorem, i to początkującym. Nie zabijałem przecież, jeśli nie było to bezwzględnie konieczne, a taką postawę nader rzadko spotykało się w naszym fachu. No, no, no... w końcu wylazł ze mnie dobrotliwy wujek di Griz: zabójca, który nigdy nie zabił. Tak na marginesie, to nie miałem się czego wstydzić. Zawsze uważałem, że ludzkie życie jest największą wartością, jaka istnieje w galaktyce. Tak oto okazało się, że w tej podstawowej kwestii mamy z Angeliną diametralnie różne stanowiska. Aby ją znaleźć, musiałem doprowadzić do ich ujednoczenia. Nie było to znowu takie trudne — przynajmniej w teorii. Miałem sporo doświadczenia z narkotykami psychosomatycznymi, a stulecia badań doprowadziły do wyprodukowania środków mogących stymulować dowolne stany psychiczne. Chcesz być paranoikiem? Weź pigułkę. Jediną pozytywną stroną tego zalewu wszelkim śmieciem stanowił fakt, że skutki były tylko czasowe, same zaś środki nie powodowały uzależnienia. Nigdy mnie to nie pociągało, ale ten cel wydawał się dość istotny, by zaryzykować nawet całość moich szarych komórek.

Co prawda nigdzie, w żadnych publikacjach nie było mowy o recepturze podobnej do tej, którą ja zastosowałem, ale jeśli pojedyncze składniki działały już wystarczająco silnie, to miałem nadzieję, że zebrane razem powinny dać ową potrzebną mi piorunującą miksturę.

Swoją drogą, było to pasjonujące zajęcie: studiowanie tego, co u Angeliny znałem z praktyki. Zdobyłem się nawet na konsultacje ze specjalistami, nie podając oczywiście żadnych prawdziwych danych.

W końcu uzyskałem butlę mętneho, brązowego płynu i taśmę z hipnotycznymi sugestiami. Zanim jednak przystąpiłem do praktycznej próby, poczyniłem pewne zabezpieczenia. Nie mając pojęcia o faktycznej sile specyfiku, wolałem zostawić sobie notkę na piśmie, która uświadamiała mi, po co właściwie robię to wszystko. Po południowych przygotowaniach dotarło do mnie, że po prostu wyszukuję sobie zajęcie.

— No cóż, nie jest rzeczą prostą dobrowolnie zagłębiać się w odmęty szaleństwa — poinformowałem swoje blade lustrzane odbicie.

Odbicie zgodziło się ze mną, ale nie powstrzymało żadnego z nas od podwinięcia rękawa i wbicia igły gdzie trzeba.

Rezultaty były jakieś nikłe. Jeśli nie liczyć dzwonięcia w uszach i ogólnego skołowania, które ustąpiło zresztą dość szybko — nic nie czułem.

Sprawa zaczynała wyglądać głupio. Poszedłem więc spać ze słuchawkami na uszach. Szeptały mi czule tak budujące slogany, jak:

— Jesteś lepszy, niż ktokolwiek inny, a ludzie, którzy tego nie widzą, niech lepiej uważają. Wszyscy oni są durniami i gdyby od ciebie to zależało, sprawy wyglądałyby inaczej, a oczywiście jest, dlaczego nie wyglądają.

* * *

Przebudzenie nie było przyjemne.

Uszy bolały mnie tak od słuchawek, jak od mego własnego natrętnego szeptu. Całe to doświadczenie było stratą czasu. Uświadomienie zaś tego doprowadziło mnie do wściekłości.

Słuchawki pękły z trzaskiem w moich dłoniach i od razu poczułem się trochę lepiej. Znacznie lepiej poczułem się, gdy zmieniłem magnetofon w kupę złomu.

Goląc się przed lustrem, po raz pierwszy odkryłem, że nowa twarz podoba mi się znacznie bardziej niż dawna. Niestety urodzin albo też brzydota moich starych, których nienawidziłem głęboko (ich jedyną zasługą było wyprodukowanie mnie) — dały mi twarz, która nie pasowała do osobowości. Nowa była znacznie lepsza.

Powiniennem odwdzińczyć się jakoś Vulffowi za jego robotę. Na przykład za pomocą kuli. Gwarantowałyby to, że nikt nie byłby już w stanie nigdy mnie rozpoznać. Musiałem mieć porządną gorączkę tamtego dnia, że pozwoliłem mu odlecieć.

Na stole leżała kartka z jednym słowem napisanym moją ręką. Angelina. Nie wiedziałem tylko, po jaką cholere to tam leży. Nie da się ukryć, była ważna. Zamierzałem ją odszukać i nic na świecie nie było w stanie mnie zatrzymać! Nie dość, że zrobiła ze mnie durnia, to jeszcze próbowała mnie zabić. Jeśli ktokolwiek tu zasłużył, aby umrzeć, to bez żadnych wątpliwości właśnie ona. Niewątpliwie będzie to strata, jako że byłaby świetną partnerką, ale takie jest życie. Podarłem kartkę na drobne strzępy.

Pokój wydał mi się nagle obskurny i duszny. Narkotyki zadziałały. Pomogła w tym taśma.

Jedynym problemem był brak klucza, który gdzieś wsiąkł. Potrzebowałem czegoś do picia. Wprowadzie cymbał w recepcji był tępy jak noga od stołu i powolny jak nagła krew, ale po solidnym opieprzeniu klucze zadzwoniły w poczcie pneumatycznej i mogłem wyjść.

Teraz potrzebne było jakieś spokojne miejsce, by móc pomyśleć. Najbliższa knajpa spełniała wymogi, trzeba ją było tylko opróżnić z miejscowych rzezimieszków. Kolejne drinki rozgrzewały mnie mile, a wspomnienie Angeliny równie skutecznie działało na moją psychikę.

Siedząc tak i popijając miałem dziwne uczucie, że coś jest nie w porządku. Nie pamiętałem tylko co. Nagle mnie olśniło: zastrzyk wkrótce przestanie działać! Muszę wracać do domu. Ta mikstura nie była groźniejsza od aspiryny, ale otwierała przed człowiekiem zupełnie nieznaną świat.

Zapłaciłem barmanowi i z narastającym zniecierpliwieniem czekałem na resztę, z której wydaniem ślamazarzył się aż miło.

— Cwaniak, co? — spytałem wystarczająco głośno, aby usłyszano mnie w całym lokalu. — Klient się śpieszy, więc korzystasz z okazji, żeby go nabrać. Wydałeś mi o dwa gildeny za mało!

Resztę miałem w garści, toteż gdy schylił się, by przeczytać, posłałem mu wszystkie drobne w twarz, a wraz z nimi i palce i całą pięść. Równocześnie stłumionym głosem powiedziałem, co o nim myślę.

Freiburski slang jest dość bogaty w wyzwiska, a ja użyłem najwyszukańszych. Mógłbym zdziałać więcej w dziedzinie jego edukacji, ale spieszyłem się do hotelu, a udzielenie mu tej lekcji zabrałoby trochę czasu. Odwróciwszy się spojrzałem równocześnie na wiszące na bocznej ścianie lustro. Chwalebna ostrożność. Młodzian ów wyjął bowiem spod barku kawał rury i był na najlepszej drodze, by opuścić ją na moją głowę. Oczywiście znieruchomiałem i pozwoliłem mu dobrze się przymierzyć. Dopiero w chwili, gdy jego ramię rozpoczęło ruch ku dołowi, odskoczyłem i złapałem je, nadając mu jeszcze większą szybkość. Ruch ten zakończył się suchym trzaskiem łamanej kości i krępującym rykiem bólu.

Żałowałem tylko, że naprawdę nie mam już więcej czasu, by dostarczyć mu prawdziwych powodów do wrzasków.

— Widzieliście, że zaatakował mnie znieca — poinformowałem lekko zaskoczoną klientelę, zdążając równocześnie ku drzwiom. — Idę po policję, dopilnujcie, żeby nie zwiął!

Co prawda, gość leżał za barem jęcząc przeraźliwie, więc szansę, że zacznie uciekać, były

minimalne. Równie nikła była jednak moja chęć zawiadomienia glin. Zanim te oczywiste wnioski dotarły do zgromadzonych, ja byłem już za drzwiami. Naturalnie nie biegłem, nie robiłem niczego, co przyciągałoby uwagę.

Pospiesznym krokiem podążyłem do siebie i dopiero w pokoju odetchnąłem z ulgą. Pierwszymi rzeczami, jakie ujrzałem były butelka i strzykawka. Gdy je brałem, ręce jeszcze mi nie drżały, lecz były już tego bliskie, a zaczęły trząść się naprawdę, gdy spostrzegłem, że pozostał mi nie więcej niż milimetr płynu. Niezbędną rzeczą stało się uzupełnienie zapasów. Fakt, że o tej porze wszystkie apteki były już nieczynne, nie stanowił żadnej przeszkody.

Już starożytni twierdzili, że broń jest wartościowsza od gotówki. Moja siedemdziesiątka piątka spoczywała w znajdującej się pod biurkiem walizce i mogła przysporzyć mi więcej dóbr niż całe zapasy wszystkich pieniędzy w galaktyce. I to był mój błąd. Coś wewnątrz aż krzyczało, lecz zignorowałem to. Myśli miałem zaprzątnięte potrzebą pośpiechu i tym, w jakiej kolejności muszę wszystko załatwić.

Gdy złapałem za kolbę, pamięć powróciła... tyle że za późno.

Rzuciłem się ku drzwiom, ale byłem zbyt wolny. Za sobą usłyszałem cichutki trzask pękającego granatu gazowego, który na wszelki wypadek umieściłem pod pistoletem. Nawet pogrążając się w nieświadomości zastanawiałem się, jakim cudem mogłem zrobić coś równie głupiego...

Rozdział 14

Powrotowi do przytomności towarzyszyły różne odczucia, dominował jednak żal.

Pamiętałem wszystko dokładnie, jako że zdjęty już został posthipnotyczny blok. Aż za dokładnie potrafiłem odtworzyć całe moje szaleństwo. Doznania okazały się ciekawe — prócz paru spraw, których było mi autentycznie wstyd. Ogarnęła mnie fascynacja nowym, nieznanym światem. Poza tym bliższej analizy wymagał teraz mój stosunek do Angeliny. Nie ulegało bowiem kwestii, że darzyłem ją serdecznym, głębokim uczuciem. Miłością? Można to i tak nazwać. Sądzę, że każdy inny termin byłby nieodpowiedni. Zdawałem sobie sprawę z tego, że takie idee to mrzonka, coś zupełnie niemożliwego do spełnienia, podobnie jak pamiętałem o najrozmaitszych wadach dziewczęcia. Mimo to uczucie kwitło.

Skoncentrowałem się jednak na istotniejszych problemach, jako że tamtego i tak nie byłem w stanie rozwiązać.

Znalezienie Angeliny powinno być proste — nie miałem co prawda żadnych dodatkowych informacji, ale rozumiałem już co i w jaki sposób chciała osiągnąć.

Chodziło jej rzecz jasna o władzę na planecie Freibur. I wydawało się równie oczywiste, że chciała ją zdobyć nie poprzez wpływ na osobę króla. Przemoc — to był jedyny i właściwy sposób. Przewrót pałacowy, rewolucja czy zamach na samego króla — oto co przygotowywała.

Dawniej tron był stawką, o którą toczono wojny. To minęło, odkąd Liga zadomowiła się na planecie, ale wszystko mogło przecież powrócić jeszcze do dawnego stanu. Z całą pewnością Angelina czaiła się gdzieś tu, przygotowując ludzi do tego ambitnego zadania. Któryś z silnych miejscowych hrabiów był z pewnością sterowany obecnie nowymi bodźcami kierującymi go w stronę tronu. Angelina działała już kiedyś w taki sposób i nie było powodu, dla którego nie mogłaby tego powtórzyć. Nie miałem co do tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Pozostawała tylko jedna sprawa do wyjaśnienia: kto jest tym człowiekiem?

Zacząłem znów od miejscowej prasy, gdzie w rubryce z plotkami rzucił mi się w oczy anons mówiący o wydawanym przez króla wielkim balu. Oczywiście takiej okazji do towarzyskich pogaduch i spotkań nie przepuści nikt z arystokracji.

Miałem dwa dni, żeby tam się dostać i spędziłem ten czas nawet pracowicie. Skonstruowałem sobie idealne dossier, które było nie do sprawdzenia i nie do podważenia. Ojczyzną mą uczyniłem odległą prowincję, ubogą we wszystko poza dialektem, który był przedmiotem większości freiburskich dowcipów. Mieszkańcy Misteldross — bo tak się owa kraina nazywała — słynęli z ignorancji i dziedzicznej tępoty. Była tam cała masa arystokracji, której nikt nie znał osobiście, ale o której wszyscy słyszeli.

Stałem się autentycznym grafem Bentem Diebstallem.

Rodowe nazwisko, gdyby tłumaczyć je na ogólnie dostępne języki, oznaczało tak bandytę, jak i poborcę podatkowego, co dawało dość dobre pojęcie o zwyczajach, jak i o pochodzeniu. Jeden z krawców uszył mi twarzowy uniform, a ja począłem zgłębiać historię rodu.

W wolnych chwilach zaopatrzyłem się w kilkanaście pomocnych drobiazgów i posłałem barmanowi okrągłą sumkę. To, że miałem rację łamiąc mu rękę, nie zmniejszało niesmaku, który we mnie pozostał. Ot, taką już mam słabą naturę. Nocna wizyta w królewskiej drukarni zakończyła ten pracowity okres.

* * *

Mój uniform błyszczał wszystkimi kolorami tęczy, buty lśniły jak w karnej kompanii, no i byłem jednym z pierwszych gości. Wspaniale zadzwoniłem oporzędzeniem kłaniając się królowi. Wszyscy na Freibur hołdowali tradycji, toteż straciłem trochę czasu, aby oduczyć się potykania o własną

szpadę.

Oczy jego wysokości były z lekka zamglone i niezbyt przytomne, więc doszedłem do wniosku, że plotki o prywatnej flaszce, którą zwykł podpierać się przed każdą publiczną uroczystością, były zgodne z prawdą. Bez wątpienia przedkładał chrząszcze nad dworaków, był bowiem entomologiem amatorem i to wcale niezłym.

Zwróciłem się do królowej — z wyglądu o wiele bardziej atrakcyjnej. Nic dziwnego zresztą, bo była o dwadzieścia lat młodsza. Plotka głosiła, że nienawidziła owadów, dużą sympatią darzyła natomiast gatunek ssaków określany jako homo sapiens. Sprawdziłem to podczas powitania, stosując specjalny uścisk dłoni. Sposób, w jaki odpowiedziała, oraz jej ogólna reakcja mówiły same za siebie. Potem razem z innymi ruszyłem w stronę bufetu. Zdażyłem najeść się, zanim został obleżony. Miałem też czas przyjrzeć się uważnie gościom.

Wszystkie obecne damy stały się obiektami mojej inwigilacji, a choć parę wydawało się podobnych do Angeliny, wystarczyło zamienić dwa słowa, by nie dać zmylić się pozorom. Niewiasty owe były jak najbardziej błękitnokrwistymi arystokratkami miejscowego chowu. Zniechęcony wróciłem do baru.

— Otrzymałeś królewskie zaproszenie — zabrzmiało koło mego ucha, a jakieś paluchy złapały mnie za rękaw.

Obróciłem się i ryknąłem na typa trzymającego rękę na mojej odzieży:

— Zostaw to albo utopię cię w ponczu! — użyłem najlepszego misteldrossańskiego akcentu, na jaki było mnie stać.

Odskoczył jak oparzony.

— Tak lepiej — stwierdziłem uprzedzając jego pretensje. — A teraz, kto chce mnie widzieć? Król?

— Jej Wysokość królowa — wysyczał przez zaciśnięte zęby.

— Ślicznie. Też chętnie bym ją zobaczył. Pokazuj drogę!

Po czym ruszyłem przez tłum, zmuszając go do posuwania się za mną. Wyprzedzić pozwoliłem się dopiero tuż przed tłumkiem otaczającym królową.

— Wasza Wysokość, oto baron... — zaczął, ale nie pozwoliłem się obrazić.

— Graf, nie baron — ryknąłem. — Graf Bent Diebstali z ubogiej, prowincjonalnej rodziny, stulecia temu wyzutej z majątku i tytułu przez krwiożerczych hrabiów!

Wykrzywiłem się w stronę przewodnika, jakby to ostatnie dotyczyło właśnie jego.

— Nie znam wszystkich pańskich tytułów, grafie Bent — odezwała się królowa głosem przypominającym mi, sam, nie wiem czemu, pastwisko wczesnym świtem. Wskazała na dwa rzędy lśniących niczym słońko medali kołyszących się na mojej piersi. Też mi się podobały — mój ostatni zakup u handlarza starzyzną.

— Ordery galaktyczne, Wasza Wysokość — wyjaśniłem. — Najmłodszy syn prowincjonalnej rodziny nie mógł znaleźć dla siebie żadnej szansy na Freiburg. Dlatego też wstąpiłem do służby pozaplanetarnej. Najlepsze lata młodości spędziłem w Stellar Guard. To odznaczenia za różne bitwy, inwazje i kosmiczne abordaże. Ale ten jest wart najwięcej... — przerwałem wskazując na błyszczącą blachę całą w kometach, supernowych i innych takich. — To Stellar Star, najwyższe odznaczenie w gwardii. — Przy okazji przyjrzałem mu się uważniej. Wyglądało na rzeczywiste odznaczenie gwardyjskie, chyba za pięcioletnią służbę.

— Jest piękne — oceniła królowa.

Niestety, sądząc po stroju, gust tej damy był raczej mierny. Ale czego mogłem się spodziewać na takim zadupiu.

— Rzeczywiście — zgodziłem się. — Nie lubię się chwalić, ale jeśli to królewski rozkaz... — to był królewski rozkaz i to wyrażony nader pospiesznie.

Tak zatem nałgałem o moich kosmicznych przygodach, i to tyle, że zdziwiłbym się, gdybym po tygodniu nie stał się tematem plotek całego towarzystwa. A zatem będzie musiało dojść to i do uszu Angeliny.

Pokrzepiony takim rozumowaniem wróciłem do baru. Resztę tego atrakcyjnego wieczoru spędziłem krążąc między gośćmi i opowiadając, gdzie tylko się dało, moje niestworzone łągarstwa. Im więcej jednak czasu mijało, tym mniej podobał mi się pierwotny plan. Owszem, stawałem się postacią znaną, ale mogą minąć miesiące, zanim będzie tej sławy dość, by usłyszała o mnie Angelina. No i pozostawało jeszcze pytanie, co usłyszy.

Ten proces musiał zostać przyspieszony i ukierunkowany. Istniało coś, co mogłem zrobić, tyle że to był krok godny zaawansowanego szaleńca. Z drugiej strony, gdyby się udało, niewątpliwie osiągnąłbym cel. Rzuciłem monetę zdając się los szczęścia, ale ponieważ miałem w tym ogromną wprawę, wynik był z góry wiadomy.

Jeszcze przed balem umieściłem w kieszeniach parę użytecznych drobiazgów. Jednym z nich był upominek, który gdyby wszystko zawiodło, mógł otworzyć mi drogę do króla. Wsunąłem go do zewnętrznej kieszeni i złapawszy największą szklanekę wina, jaką miałem w zasięgu wzroku, ruszyłem na poszukiwanie ofiary.

Gdy przybyłem na przyjęcie, Wiluś był już pijany, teraz przeszedł do stadium paraliżu. W swoim uniformie musiał mieć stalowy pręt podtrzymujący go w pionie. Nie było możliwości, by to jego własny kręgosłup powodował taki efekt. Nadal jednak pochłaniał podsuwane mu napoje, a jego chwiejąca się głowa przyjęła pozycję wskazującą, że król ma chętkę na sen. Otaczał go tłumek oldboyów, którzy musieli dobrze bawić się we własnym gronie, gdyż moje zbliżenie się i pierwszą próbę zwrócenia na siebie uwagi przywitani niechętnymi spojrzeniami. Ponowiłem wysiłki nie zrażony ich reakcją, a ponieważ byłem wyższy i bardziej kolorowy, szybko wzbudziłem zainteresowanie Wilusia. Z jednym z oldboyów zapoznałem się wcześniej tego wieczoru, zmuszony był zatem mnie przedstawić.

— Ogromna to przyjemność poznać Waszą Wysokość — zapewniłem pijackim głosem, gdy przeszły już oficjalne prezentacje. — Przypadkowo również jesteście entomologiem amatorem, który ośmielił się iść w ślad Waszej Wysokości. Jestem z tego dumny i uważam, że wszechświat powinien zwrócić większą uwagę na Freibul i na osiągnięcia Waszej Królewskiej Mości w dziedzinie entomologii...

Bredziłem jeszcze przez chwilę w tym guście, aż król — który wylapywał z pewnością nie więcej niż jedno słowo na dziesięć — zaczął tracić zainteresowanie. Sięgnąłem więc do kieszeni i wyciągnąłem mego asa.

— Z uwagi na zainteresowania Waszej Wysokości — oznajmiłem grzebiąc w kieszeni — starannie przechowywałem ten okaz, wioząc go przez pustkę długich lat świetlnych, aby spoczął w miejscu, które jest mu należne, czyli w kolekcji Waszej Wysokości. — Wydobyłem z kieszeni przezroczyste pudełko i podetknąłem mu pod nos.

Z wyraźnym wysiłkiem skoncentrował wzrok na zawartości. Całe otoczenie wyciągało szyje, by zobaczyć, co to takiego.

Nie mogę zaprzeczyć — obiekt godzien był takiego podziwu. Był to przepiękny żuk długości mojej dłoni, z trzema parami skrzydeł różnego koloru i tuzinem nóg najrozmaitszego kształtu, potężną szczęką i trojgiem oczu. Tyle tylko, że nie podróżował ani minuty w przestrzeni. Sam go zrobiłem dzisiejszego ranka. Większość składników pochodziła z innych owadów, a tu i ówdzie, w miejscach,

gdzie matce naturze zabrakło inwencji, dodałem kawałki tworzywa. Pudło było nieco przydymione, by ukryć co wątpliwsze detale.

— Wasza Wysokość musi obejrzeć go z bliska — stwierdziłem otwierając pudełko i usiłując pokazać mu zawartość. Było to o tyle trudne, że obaj kiwaliśmy się z różnymi częstotliwościami, a kasetkę trzymałem razem ze szklanką. Ścisnąłem trochę moje trofeum i owad wskoczył do królewskiej szklanki.

— Ratować! Wyciągnąć! — ryknął król wsadzając paluchy do środka. Przy okazji część alkoholu wylała się na Wilusia. Z tyłu dobiegł mnie pełen wściekłości pomruk. W końcu złapał owada, lecz znów wymknął mu się z rąk, lądując na piersi, skąd powoli, gubiąc po drodze nogi i skrzydła i pozostawiając na materiale szeroką wstęgę wina, spłynął na podłogę. Gdy usiłowałem go złapać, płyn z mojej szklanki chlusnął na monarszą pierś. Tłum zawył z wściekłości, ale król przyjął to nieźle. Stał jak drzewo wyginane huraganem i nawet nie zaprotestował. Mamrotał tylko:

— Powiedziałem, powiedziałem...

Nawet gdy próbowałem wytrzeć wino chusteczką, nadeptując mu przypadkowo na nogę, zachowywał się spokojnie. W przeciwieństwie do otoczenia. Jeden gość trzasnął mnie w ramię. Zatoczyłem się pod wpływem ciosu i uderzyłem Wilusia w pierś. Królewska korona poturlała się po podłodze. Oldboye zawrzeli i ruszyli na mnie. Było to dość zabawne, lecz tylko do czasu. Na pomoc przyszło im młodsze pokolenie arystokracji. Co prawda, pokazałem im parę sztuczek z różnych metod walki, ale braki techniczne rekompensowała im siła i liczebność.

To był naprawdę dobry sparring. Kobiety krzyczały. Król został wyniesiony, szkło się tłukło, a potem wszystko — włącznie ze mną — zakotłowało się.

Nie mogłem dać rady tylu ludziom, lecz miałem tę satysfakcję, że nie pozostałem im dłużny. Moim ostatnim wspomnieniem było, że kilku facetów mnie trzymało, a jeden próbował rąbnąć. Udało mi się jeszcze kopnąć go w szczękę, zanim zostałem całkowicie obezwładniony.

Rozdział 15

Moje niecywilizowane nawyki zarówno nie ułatwiały mi bytowania w więzieniu, jak i nie umilały życia strażnikom.

Fakt faktem, że miałem dużo szczęścia. Ta zabawa z biednym Wilusiem mogła skończyć się tragicznie. Obraza majestatu była zbrodnią, za którą z reguły karano śmiercią. Na szczęście cywilizacyjne wpływy Ligi przeniknęły już trochę na Freibur i nie groził mi los aż tak surowy. Ba, wszyscy starali mi się za wszelką cenę udowodnić, w jakim to poszanowaniu jest u nich prawo, co doprowadziło mnie dość szybko do szału. Od tego czasu musieli przynosić nowe naczynia do każdego posiłku.

Udało mi się jednak osiągnąć oba cele: pozostałem żywy i bez wątpienia zyskałem sporą sławę. Głównie zresztą jako postać przynosząca wstyd i okrywająca hańbą całą arystokrację. Byłem kimś, kim praworządny, uczciwy Freiburianin pogardzał z całego serca, a zatem powinienem jako taki wzbudzić zainteresowanie Angeliny.

W związku z krwawą przeszłością planeta cierpiała na niedobór takich ludzi. Nie chodziło oczywiście o różne szumowiny, jako że portowe knajpy pełne były muskularnych chłopców do bicia, których Angelina mogła mieć na pęczki. Lecz samym batalionem osiłków nie wygrywa się rewolucji. Potrzebni są sojusznicy potrafiący myśleć i kierować akcją. Szczególnie zaś niezbędni są sprzymierzeńcy wśród arystokracji, a jak zdażyłem zauważyć, tego typu zdolności i cechy, które czyniły z arystokraty sprzymierzeńca złej sprawy, są raczej mało rozpowszechnione, o ile w ogóle występują na Freibur.

Swoim zachowaniem na balu ujawniłem posiadanie wszystkich pożądaných przez Angelinę cech. I to w sposób, który nie sugerował wcale, że był to pokaz przeznaczony specjalnie dla niej.

Pułapka była więc gotowa i Angelinie pozostało tylko w nią wpaść. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

* * *

Zasuwa zgrzytnęła i w drzwiach pojawił się klawisz.

— Ma pan gości, grafie Diebstall — obwieścił.

— Każ im iść do diabła! — ryknąłem. — Nie ma na tym cuchnącym śmietniku nikogo, kogo chciałbym widzieć!

Nie zwrócił na to uwagi. Skłonił się jedynie naczelnikowi więzienia i towarzyszącej mu parze iście wykopaliskowych typów w czarnych szatach. Zrobiłem, co mogłem, by ich zignorować. Zaczekali, aż straż zniknęła, po czym jeden otworzył skórzaną tekę i wyjął z niej kartkę papieru.

— Nie podpiszę listu samobójczego! Możecie mnie zarznąć we śnie, ale sam tego nie zrobię! — warknąłem.

Trochę go to zaskoczyło, lecz starał się zachować spokój.

— To niedorzeczna sugestia — zapewnił. — Jestem królewskim adwokatem i nigdy nie zgodziłbym się na coś takiego.

Wszyscy trzej skłonili się równocześnie, zupełnie jakby zawieszeni byli na jednym drucie. Omal się nie odkłoniłem, takie to było zaraźliwe.

— Nie zabiję się! — stwierdziłem, żeby przerwać ten podniosły ceremoniał. — To moje ostatnie słowo.

Królewski adwokat miał wystarczająco długą praktykę sądową za sobą, by nie zwracać uwagi na takie oświadczenia. Odchrząknął, rozpostarł papier i wrócił do tematu.

— Jest pan oskarżony o sporą liczbę przestępstw, młody człowieku — wyrzekł z malującą się na twarzy emfazą. Ziewnąłem. — Wolałbym oczywiście, żeby to wszystko nie miało miejsca, ale

cóż. Dalsze rozdmuchiwanie tej sprawy może przynieść wszystkim zainteresowanym wyłącznie szkodę. Sam król tego nie chce. W swej łaskawości i umiłowaniu pokoju pragnie zakończyć całą tę przykrą historię polubownie. Jestem tu z jego woli. Jeśli podpisze pan przeprosiny, zostanie pan umieszczony w odlatującym jeszcze tej nocy statku kosmicznym i cała sprawa zostanie zapomniana.

— Staracie się to zatuszować, aby nie wyszły na jaw wasze pijackie orgie urządzone w pałacu, co? — warknąłem.

Twarz mu spurpurowiała. Nadzwyczajnym wysiłkiem woli zapanował jednak nad odczuciami.

— Jest pan niesprawiedliwy, sir! — wychrypiał. — Nie jest pan bez winy w tej sprawie, proszę o tym pamiętać. Radziłbym skorzystać z łaskawości króla i podpisać.

Z tymi słowami wręczył mi papier, który natychmiast podarłem.

— Przeprosiny? Nigdy! — wrzasnąłem. — Bronilem swego honoru przed hordą pijanych, podłych i od złodziei wywodzących swe nazwiska szlachciurów, którzy ukradli tytuły prawnie należące do mojej rodziny!

Nie pozostało im nic innego, jak opuścić celę, co zrobili z nadzwyczajną szybkością. Zważyć wprawdzie trzeba, że naczelnikowi pomogłem celnie wymierzonym kopniakiem. Był w tym towarzystwie jedynym młodym osobnikiem, zatem nie miałem żadnych wyrzutów sumienia.

Wszystko wróciło do normy. Odrzuciłem propozycję, która zrujnowałaby cały mój plan. Z drugiej strony oznaczało to spędzenie reszty życia za kratkami, gdyż nie nastąpiła już żadna więcej próba nawiązania porozumienia. Nie było również żadnego procesu — ot, po prostu byłem, gdzie byłem, i tak miało już zostać.

Oczekiwanie zawsze uważałem za męczące. Podobnie jak beczynność. W obecnym układzie najgorsze okazało się to, że nie mogłem nawet pozwolić sobie na opuszczenie więzienia, do czego sposobności miałem przecież dość, z tym że położyłbym wówczas całą sprawę. Była to przykra świadomość. Jeśli bowiem byłem tym, za kogo się podawałem, to ucieczka przekraczała moje możliwości. Kwadratura koła. Po tygodniu prawie się załamałem i już miałem się wyrwać, gdy na szczęście Angelina przystąpiła do akcji. Oczywiście w nocy i oczywiście w typowy dla niej sposób.

* * *

Obudził mnie jakiś nienaturalny dźwięk. Nasłuchiwanie do niczego mnie nie doprowadziło, toteż zbliżyłem się do drzwi i wyjrzałem przez zakratowane okienko.

Na końcu korytarza rysował się całkiem ładny obrazek.

Strażnik z nocnej zmiany leżał rozciągnięty na podłodze, a czarno odziana i zamaskowana postać prostowała się właśnie wycierając nóż.

Od strony wyjścia zbliżył się drugi obcy i razem chwycili martwe ciało. Ruszyli ku moim drzwiom i złożyli trupa tuż przy nich. Jeden z osobników wyciągnął z kieszeni strzep czerwonej materii i wcisnął w dłoń nieboszczyka. Potem zwrócili się ku mojej celi, więc czym prędzej zniknąłem z ich pola widzenia i wróciłem do łóżka. Zgrzytnął kluczyk w zamku, zabłysło światło. Siadłem mrugając oczami i dając całkiem niezłe przedstawienie.

— Kto tu? Czego chcesz, do cholery?

— Wstawaj i ubieraj się, Diebstall. Szybko! Wychodzisz stąd! — To był ten pierwszy, tym razem z pałką w garści.

Rozdarłem szczęki udając ziewanie, wytrzeszczyłem oczy i odskoczyłem, opierając się plecami o ścianę.

— Zabójcy! — syknąłem. — To najnowszy pomysł Willego, co? Zarzucić mi stryczek na szyję i przysięgać potem, że sam się powiesiłem? No chodźcie, ale nie myślcie, że będzie to łatwe!

— Nie bądź idiotą — szepnął. — I zamknij dziób. Jesteśmy tu, aby pomóc ci uciec. Jesteśmy

przyjaciółmi!

Para identycznie ubranych mężczyzn wśliznęła się do celi, dołączając do mojego samotnego rozmówcy. Na korytarzu zamajaczyła sylwetka czwartego.

— Przyjaciele! — wrzasnąłem. — Mordercy! Zapłacicie za to!

Ten w korytarzu szepnął coś i pozostała trójka skoczyła na mnie.

Szef był niewielkim mężczyzną — o ile był mężczyzną. Ubiór miał zbyt luźny, a maskę zbyt szczelną, aby mieć pewność, ale Angelina była akurat tego wzrostu. No i osobisty udział w takiej akcji pasował do niej. Mając na karku jej opryszków, nie byłem jednak w stanie przyjrzeć się dokładniej.

Pierwszego kopnąłem w brzuch, drugiego trzasnąłem w szczękę, ale niezbyt mocno. To nie ja ich miałem stąd wynosić. W tym rodzaju walki moi przeciwnicy byli zaprawieni, toteż łatwo im poszło. Tym bardziej że stawiałem raczej symboliczny opór. Starłem się nie uśmiechać, gdy wynosili mnie tam, gdzie za wszelką cenę chciałem się dostać.

Rozdział 16

Ponieważ pałowanie mogło mieć zgubne skutki, pozbawili mnie przytomności rozdzuszając po prostu pod moim nosem kapsułkę z gazem usypiającym. W ten sposób zarówno droga, którą odbyliśmy, jak i punkt docelowy były dla mnie zagadką. Musieli dać mi potem jakieś antidotum, gdyż następną rzeczą, jaką pamiętam, był facet ze strzykawką. Podniósł mi powiekę, za co trzepnąłem go po łapie.

— Trochę tortur przed śmiercią — parsknąłem przypominając sobie o roli.

— Tym razem nie ma się co przejmować — rozległ się za mną głęboki głos. — Jest pan między przyjaciółmi. Między ludźmi, którzy rozumieją i dzielają pańskie niezadowolenie z istnienia obecnego reżimu.

Z całą pewnością nie był to głos Angeliny. Oblicze zresztą też nie: kwadratowa szczęka i ciemne oczy, a poza tym wyglądał bez wątpienia jak facet i to z tutejszej arystokracji. Medyk nas opuścił, a ja wysiliłem pamięć. Na pewno go widziałem — podczas ćwiczeń mnemotechnicznych, które pomogły mi przygotowywać się do roli. Oczywiście, że go znam!

— Rdenrundt! Hrabia Rdenrundt — powiedziałem wolno, starając się przypomnieć sobie wszystko, co o nim wiedziałem. — Mógłbym uwierzyć w to, co usłyszałem, gdyby nie fakt, że jest pan pierwszym kuzynem Jego Wysokości. Ciężko jest mi przyjąć, że wykradł mnie pan z królewskiego więzienia dla swej przyjemności i...

— Nie jest istotne, w co pan wierzy — parsknął ze złością i umilkł, by opanować nerwy. — Willem może być moim kuzynem, lecz to nie oznacza, że muszę o nim myśleć jako o idealnym władcy. Mówił pan o wielu rzeczach na balu. Czy podtrzymuje pan to? Czy też była to tylko bufonada? Proszę się dobrze zastanowić, może się pan pograć. Być może są jeszcze inni, którzy w odróżnieniu od pana nie będą czekać z założonymi rękami, aż zmiana nastąpi sama.

Gwałtowność i entuzjazm — oto ja. Lojalny przyjaciel i śmiertelny wróg. Skoczyłem ku niemu, złapałem jego dłoń i potrząsałem nią z rozmachem.

— Jeśli mówi pan prawdę, to jestem po pana stronie. Jeśli pan kłamie i jest to tylko królewska zasadzka, to przygotuj się, hrabio, do walki!

— Nie ma sensu walczyć — odparł uwalniając swą dłoń z uścisku, co sprawiło mu niejaką trudność. — A przynajmniej nie dotyczy to nas. Mamy przed sobą inne zadania i musimy nauczyć się ufać sobie nawzajem. Freiburg jest teraz inna niż za czasów naszych przodków. Jak dotąd nie znalazłem tu nikogo pewnego.

— Ci chłopcy, którzy zabrali mnie z celi, nie byli najgorsi. Wyglądali na znających swoją robotę.

— Mięśnie! — parsknął pogardliwie i wdusił guzik w oparciu fotela. — Osiłki o zakutych łbach. Tych można mieć, ilu tylko się chce. Potrzebni są ludzie, którzy mogą nimi kierować i pomóc mi doprowadzić Freiburg do lepszego jutra.

Nie wspominałem nic o osobie, która kierowała grupą moich oswobodzicieli. Jeżeli hrabia nie zamierzał mówić o Angelinie, to ja tym bardziej. Ponieważ zaś narzekał na brak umysłów, postanowiłem go pocieszyć.

— To był pański pomysł, by wetknąć strażnikowi w dłoń kawałek munduru?

Nie potrafił ukryć zdziwienia.

— Jest pan dobrym obserwatorem, panie Bent!

— Kwestia treningu — starałem się wyglądać skromnie i dumnie. — To był czerwony materiał i sprawiał wrażenie, jakby ktoś wyrwał go w trakcie szarpaniny z czyjegoś munduru. Wszyscy, których widziałem, ubrani byli na czarno. Może odrobina niedyskrecji...

— Z każdą chwilą jestem bardziej zadowolony, że przyłączył się pan do nas — zaprezentował w uśmiechu cały garnitur zepsutych zębów. — Stary książe ubiera swych ludzi w czerwone liberie, jak pan zapewne wie...

— I jest najsilniejszym poplecznikiem Willema IX — zakończyłem za niego. — Nikt się nie zmartwi, jak się pogryzą.

— W najmniejszym stopniu — zgodził się, ponownie przypominając mi o dentyście.

Bez wątpienia stanowił najlepszy parawan, jaki moja Angelina mogła znaleźć. Był tak pyszałkowaty, że z ledwością starczało mu wyobraźni na zrozumienie pomysłów, które właczała mu do głowy. Dość jednak było w nim ambicji, dość było jego tytułu i majątku, by mieć pod ręką wszystko, co potrzebne. Zastanawiałem się właśnie, gdzie ona jest, gdy coś wlazło przez drzwi. Wydało mi się, że zaczęliśmy wojnę. Był to tylko robot, ale narobił tyle hałasu, że nie od razu mogłem się zorientować, co jest w nim uszkodzone.

Hrabia rozkazał tej kupie złomu zająć się barem, a gdy to coś się odwróciło, zobaczyłem najgorsze. Komin. To, co wisiało w powietrzu, to był dym ze spalonego węgla.

— Czy to coś jest na węgiel...? — wykrztusiłem.

— Tak — przytaknął hrabia odbierając szklaneczki. — Jest to doskonały przykład na szkodliwość obecnych rządów. Nie zobaczy pan takich robotów w stolicy!

— Mam nadzieję — jęknąłem gapiąc się na strumyki pary, uciekające ze złącz w stawach, i na pojemnik z węglem, który to coś dźwigało na plecach. — Oczywiście, byłem przez długi czas daleko... rzeczy się zmieniają...

— Nie zmieniają się z wystarczającą szybkością! A poza tym niech pan nie udaje galaktycznego obieżyświata, Diebstall. Byłem w Misteldross i widziałem, jak się tam żyje. Nie macie nawet takich rupieci. — Kopnął zabytek, który zareagował wypuszczeniem pary z nowego złącza, tym razem w nodze, po czym kontynuował: — Na Grundlovs Day będzie dwieście lat, jak jesteśmy w Lidze. I co z tego mamy? Luksusy dla króla zamiast porządnych dostaw, które postawiłyby gospodarke na nogi. Wszystko, j co dostaliśmy, to jeden transport mózgów i układów kontrolnych. Resztę musimy wykonywać na miejscu. Są przecież regiony, gdzie uważają robota za służącego odzianego w zbroję!

Nawet nie próbowałem tłumaczyć mu zasad galaktycznej ekonomii i polityki. To zadupie przez prawie tysiąc lat było odcięte od świata. Byli przywracani cywilizacji krok po kroku, powoli, ale bez przemocy. Pewnie, można by tu jutro przysłać bilion robotów, ale co by to polepszyło? Będzie korzystniej, jeśli tubylcy sami nauczą się je konstruować. A jeśli nie podoba im się produkt finalny, to lepiej by go poprawili, a nie utyskiwali. Gospodarz widział to jednak zupełnie inaczej, Angelina zawsze miała duży dar przekonywania. Nadal wpatrywał się w robota i nagle stuknął palcem w jedną z plakietek na jego korpusie.

— Spójrz pan na to — warknął — ciśnienie skoczyło do osiemdziesięciu atmosfer. To bydlę za chwilę eksploduje nam prosto w twarz i podpali tę chałupę. Spuść parę, idioto!

Coś z tego musiało dotrzeć do mózgu automatu, gdyż z przeraźliwym klekotem opuścił tacę na stół i pociągnął jakąś wajchę. Rozległ się budzący zgrozę pisk i całe pomieszczenie zasnuły kłęby pary.

— Wynos się natychmiast! Won! — wrzasnął hrabia zanosząc się kaszlem.

Pociągnąłem solidny łyk i w tejże chwili polubiłem hrabiego. Polubiłbym go znacznie bardziej, gdyby zaprowadził mnie do Angeliny. Cała ta sprawa nosiła ślady jej paluszków i nie wątpiałem, że dziewczyna jest w zamku.

* * *

Godzinę później poznałem sztab Rdenrundta. Składał się z sześciu młodzieńców z dobrych

domów, pełnych zapału i bezdennej głupoty. Jeden z nich, Kurt, tegoż popołudnia służył mi za przewodnika, pokazując zamek i oddzieloną od niego solidnym murem osadę. Plany gospodarza niewiele zdradzało, jeśli nie liczyć grupy zbrojnych, trenujących na strzelnicy. Wszystko wyglądało diabelnie pokojowo, a mimo to przywieziono mnie właśnie w to miejsce nie przez przypadek. Pociągnąłem Kurta za język: podobnie jak wielu szlachciców ze wsi miał żal do władzy, nie robił nic, żeby to zmienić, i zarazem gotów był przystąpić do akcji, będącej w jego pojęciu czymś wielce mglistym. Nie sądziłem, żeby widział bodaj jednego nieboszczyka w swoim życiu. Wszystko to mówił z takim brakiem wprawy, że musiało być prawdziwe. Toteż ucieszyłem się niezmiernie, gdy w końcu przyłapałem go na kłamstwie. Minęliśmy właśnie gromadę niewiast i Kurt pośpieszył z wyjaśnieniem, że są to żony oficerów.

— Ty też jesteś żonaty? — spytałem.

— Nie, nigdy nie miałem na to czasu, a teraz sędzę, że jest już za późno. Przynajmniej chwilowo. Kiedy to się skończy, to może znajdę czas, żeby się ustatkować.

— Też racja. A hrabia? Byłem tyle czasu daleko stąd, że straciłem rozeznanie w kwestiach rodzinnych.

Obserwowałem go spod oka i zanotowałem na koncie pierwszy sukces.

— No cóż... tak, można tak powiedzieć. To znaczy, chciałem powiedzieć, że hrabia był żonaty, ale nastąpił wypadek i już nie jest... — najwyraźniej mu się poplątało i biedak umilkł.

Jest coś, co pozwala rozpoznać ślad Angeliny: jeden lub dwa świeże trupy. Połączenie obu faktów nie wymagało przesadnie lotnego umysłu. Poza tym gdyby hrabina zmarła normalnie, to biedny Kurt nie pociłby się i nie plątał, gdy poruszyłem ten temat. Zamierzałem nakłonić go do poszukania osobników, którzy przywieźli mnie tutaj. Planowałem rozwiązać im języki, zapewniając o braku żalu za napaść, i uzyskać nieco informacji o osobie, która dowodziła nimi. Postanowiłem jednak nie śpieszyć się z tym.

* * *

Angelina wykonała ruch, gdy zamierzałem wziąć się do spojenia moich wybawców. Po odpowiedniej dawce alkoholu wycisnąłbym z nich wszystko. Okazało się to zbędne. Nazajutrz siedzieliśmy z hrabią w jadalni i z zadowoleniem zauważyłem, że jest on solidnym i wytrwałym pijakiem, wobec czego nie grozi mi śmierć z pragnienia. Hrabia był najwyraźniej czymś przejęty. W zamyśleniu żuł dolną wargę i lustrował mnie od góry do dołu. Musiał się w końcu na coś zdecydować, gdyż przemówił!

— Co pan wie o rodzinie Radebrechenów?

Było to najbardziej egzotyczne pytanie z tych, jakie od niego słyszałem.

— Absolutnie nic — odparłem zgodnie z prawdą. — A powinienem?

— Nie... nie — mruknął, powracając do żucia własnej wargi. — Chodź pan ze mną!

Jednak się na coś zdecydował. Przeszliśmy przez kilka korytarzy, wchodząc do coraz wyższych partii budynku, i zatrzymaliśmy się przed drzwiami. Zupełnie zwyczajnymi, takimi jak wszystkie pozostałe, tylko że przed tymi stał strażnik. Miał skrzyżowane ramiona, akurat tak że palce obejmowały kolbę pistoletu. Na nasz widok nawet nie drgnął.

— Wszystko w porządku — powiedział hrabia. — On jest ze mną.

— I tak mam go przeszukać — strażnik wzruszył ramionami. — Rozkazy.

Coraz ciekawiej! Ktoś tu wydaje rozkazy, których właściciel zamku nie może zmienić. Byłoby to zajmującą zagadką, gdybym nie znał odpowiedzi. A jeszcze głos strażnika wydał mi się jakiś znajomy. Przeszukał mnie szybko i sprawnie, z żadnym zresztą skutkiem, po czym weszliśmy do środka. Praktyka jest zawsze odmienna od teorii. Miałem wszelkie dane, żeby spodziewać się tu

Angeliny, a mimo to jej widok podziałał na mnie jak wstrząs elektryczny. Zmobilizowałem się do zachowania kamiennej twarzy, o ile jest to możliwe w obecności pięknej kobiety. Naturalnie nie była to taka Angelina, jaką spotkałem ostatnio. Twarz uległa subtelnym zmianom, podobnie barwa oczu i włosów. Sylwetka pozostała ta sama, jak i ogólne wrażenie, że ma się do czynienia z tą samą osobą.

— To jest graf Bent Diebstall — hrabia wskazał na mnie, wlepiając w nią oczy. — Człowiek, którego chciałaś widzieć, Engelo.

A więc nadal anioł, tylko w nieco innej wersji. To był zły nawyk dobierać sobie podobne pseudonimy. Nie miałem jednak zamiaru informować jej o tym.

— Dziękuję, Cassitore — powiedziała swoim normalnym głosem.

Cassitore! Wyglądałbym tak samo nieszczęśliwie jak on, gdybym podążał przez życie z etykietką Cassitore Rdenrundta.

— To miło, że przyprowadziłeś tu grafa Benta — ciągnęła po małej pauzie.

Cassi musiał oczekiwać cieplejszego przyjęcia, gdyż mina wyraźnie mu zrzędła. Ponieważ Angelina nie robiła nic, żeby go zatrzymać, a jej wdzięczność nie wzrosła ani o stopień, wymruczał coś pod nosem i odszedł. Miałem wrażenie, że było to jedno z najkrótszych i najbardziej treściwych wyrażen w miejscowym narzeczu. Zostaliśmy sami.

* * *

— Dlaczego naopowiadałeś tych wszystkich krętactw o służbie w Stellar Guard? — zapytała obojętnie.

— Cóż, nie mogłem zaszokować tych miłych obywateli opowieściami o tym, co rzeczywiście robiłem przez te lata — powiedziałem z prostotą.

— A co robiłeś?

— To moja sprawa, nie sądzisz? A jeśli już bawimy się w zgadywanę, to może i ty poinformujesz mnie łaskawie, kim jesteś i jakim cudem masz tu do powiedzenia więcej od hrabiego Cassitore? — W szermierce słownej byłem równie dobry jak ona.

— Ponieważ mam silniejszą pozycję, sądzę, że nie zdziwisz się, jeśli to ja będę zadawać pytania. — Sprowadziła mnie na ziemię. — I nie obawiaj się mnie zaszokować. Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, ile z życia widziałam.

Oczywiście nie byłbym zaskoczony. Ale równie oczywiste było, że nie mogłem opowiedzieć jej swej legendy bez oporu.

— Ty stoisz za tą tak zwaną rewolucją? — poinformowałem się na wszelki wypadek.

— Tak.

— Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to zajmowałem się przemytem. Bardzo ciekawa praca, gdy ma się właściwe informacje i pewne zdolności. Przez ładnych parę lat zrobiłem sobie z tego wcale dochodowy interes, choć naraziłem się kilkunastu rządcom, które nie wiedzieć czemu wmówiły sobie, że jest to wyłącznie ich przywilej. Kiedy zrobiło się nieco przyciasno, wróciłem do domu na zasłużony odpoczynek.

Nim kupiła tę historię, wzięła mnie w krzyżowy ogień pytań dotyczących mojej kariery. Przesłuchanie wykazało, że swego czasu również Angelina musiała mieć z tym interesem dużo wspólnego. Jedynym problemem było więc, aby nie powiedzieć za wiele i nie wyjść na wybitnego specja w tym fachu. Miałem być lokalnym cwaniakiem, a nie oszustem kosmicznym, lecz utrzymanie się w tej roli sprawiało mi nielichy kłopot. Atmosfera stawała się coraz trudniejsza w miarę spalania kolejnych papierosów i wypijania drinków, toteż wreszcie zdecydowałem się zaspokoić swoją ciekawość.

— Mogłabyś mi powiedzieć, co tutejsza rodzina Radebrechenów ma wspólnego z tobą? —

zapytałem.

— Dlaczego cię to interesuje?

— Twój przyjaciel, hrabia Cassitore, spytał mnie o nich, zanim tu przyszliśmy. Powiedziałem mu, że ich nie znam. I ciekaw jestem, o co tu chodzi.

— Chcą mnie zabić.

— Co za wstyd i marnotrawstwo! — stwierdziłem z wyjściowym uśmiechem, który zignorowała. — A co ja mam do tego?

— Chcę, żebyś był moją obstawą. — Zanim zdążyłem się odezwać, ciągnęła dalej: — I oszczędź mi, proszę, uwag na temat, jaką to jestem osobą do pilnowania. Dość ich mam od Cassitore.

— Chciałem tylko powiedzieć, że czuję się zachwycony. — Było to kolejne łgarstwo, bo właśnie taką uwagę miałem na końcu języka. — Możesz mi coś powiedzieć o rodzinie Radebrechenów?

— Wychodzi na to, że hrabia był żonaty — poinformowała mnie. — Jego żona popełniła samobójstwo w dość głupi i kompromitujący sposób. Jej rodzina, Radebrechenowie właśnie, pewna jest, że to ja ją zabiłam i w ramach zemsty chce zabić mnie. W tym zakątku Freibur wendeta jest najwyraźniej dość rozpowszechniona.

Fakty znalazły się na właściwym miejscu. Hrabia Rdenrundt, urodzony oportunistą, wszedł do nobliwej rodziny żeniąc się z córką tejże. Wszystko szło dobrze, dopóki nie pojawiła się Angelina. Trzeba było przeprowadzić rozwód, ale że jest to wbrew miejscowym tradycjom, Angelina zmuszona była usunąć przeszkodę po swojemu. Nie wzięła jednak pod uwagę faktu, że innym zwyczajem tubylców jest wendeta. Okazało się, że Freibur jest jednak nieco trudniejsza do opanowania, niż sądziła na początku.

— Samobójstwo? — spytałem uprzejmie. — Czy może jej trochę pomogłaś?

— Zabiłam ją.

Sparring był skończony. Wszystko stało się jasne. Decyzja należała teraz do mnie.

Rozdział 17

I co miałem ze sobą zrobić?

Nie po to się wysilałem, aby dać się zastrzelić, zakłuć czy stratować w jej obronie. A przecież nie byłem w stanie aresztować Angeliny w samym środku warowni hrabiego Cassitore. Poza tym musiałem dowiedzieć się jeszcze czegoś więcej o planowanej rebelii. Ot, na wypadek, gdybym ponownie zamierzał wstąpić w szeregi Korpusu. Zawsze lepiej jest w takiej sytuacji mieć ze sobą parę drobiazgów, aby wesprzeć nimi dobre intencje. Było to uzasadnione, jeśli wziąć pod uwagę, jak mnie pożegnali. No i nie da się ukryć, że przebywanie w towarzystwie Angeliny sprawiało mi czystą przyjemność. Sporo radości dostarczyło mi też obserwowanie, w jaki sposób organizuje samodzielnie rewolucję na tej pokojowej planecie, i to rewolucję mającą wszelkie widoki na sukces.

Po paru tygodniach, w trakcie których robiłem wyłącznie jako ochroniarz (strzeżenie mordercy przed zabójcami samo w sobie było ciekawym przeżyciem), awansowałem na doradcę Angeliny. Nie nastąpiło to, rzecz jasna, natychmiast, lecz w miarę upływu czasu konsultowała się ze mną coraz częściej. Nigdy dotąd nie przygotowywałem przewrotu, ale przecież każde przestępstwo opiera się na tych samych podstawach i rządzi się tymi samymi zasadami.

W naszym miłym, powstańczym Edenie był jednakowoż jeden wąż. Na imię miał Rdenrundt. Co prawda, nie miałem tu swej własnej siatki wywiadowczej, lecz z tego, co dochodziło do moich uszu wynikało, że hrabia niespecjalnie pali się do rewolucji. Im bliższy był dzień powstania, tym bardziej chłódł jego rewolucyjny zapach.

Poza tym był jeszcze jeden problem, sprawy zaś dojrzewały w zastraszającym tempie. Pewnego pięknego dnia mój aniołek odbywał z hrabią naradę na szczelbu. Ja siedziałem w sąsiednim pokoju, słuchając przez uchylone drzwi tego, co działo się obok. Argumentacja musiała być ostra, gdyż mimo odległości to i owo docierało do moich uszu. Twardo wypowiedziane NIE poderwało mnie na nogi.

— Dlaczego nie? Zawsze jest „nie”. Mam już tego dość! — rozległ się wściekły głos hrabiego.

Potem nastąpił trzask dartej materiału i coś upadło z brzękiem na podłogę. Jednym skokiem znalazłem się przy drzwiach. Angelina leżała na stole w rozdartej sukni, a hrabia obejmował ją namiętnie. Złapałem broń i z kopyta ruszyłem w ich stronę. Angelina była szybsza. Chwyciła stojącą na blacie biurka butelkę i rąbnęła hrabiego w ciemność. Ten runął na podłogę, nie zdradzając najmniejszych oznak przytomności.

— Schowaj broń, Bent. Już skończone — odezwała się spokojnie, próbując doprowadzić swój ubiór do ładu.

Zrobiłem to dopiero po sprawdzeniu, czy leżący nie potrzebuje drugiego klapsa. W tym czasie Angelina zdążyła wyjść z pokoju. Pobiegłem za nią. Nie trzeba było zbytniej przenikliwości czy zdolności jasnowidza, by wiedzieć, że kłopoty — o ile jeszcze się nie zaczęły — zbliżają się milowymi krokami. Kiedy hrabia oprzytomnieje, bez wątpienia przemyśli swoje stanowisko wobec Angeliny, jak i rewolucji. Rozmyślałem o tym stojąc pod drzwiami jej pokoju, podczas gdy ona doprowadzała się do ładu.

* * *

Długa i luźna szata zakrywała jej ramiona, tak że niewidoczne były pamiątki po zalotach gospodarza. W jej oczach paliły się ogniki wściekłości i sądzę, że wypowiedziałem na głos jej najskrytsze pragnienia:

— Chcesz, bym połączył hrabiego z przodkami spoczywającymi w rodzinnym grobowcu?

— Nadal jest mi potrzebny. Muszę lepiej kontrolować uczucia. I ty też.

— Moje są w jak najlepszej formie. Ale skąd przyszło ci do głowy, że możesz nadal liczyć na jego współpracę? Sądzę, że jak się obudzi, to będzie miał potężnego kaca.

Takie drobiazgi nie bardzo zaprzętały jej umysł.

— Nadal mogę nim manewrować tak, by robił to, co chcę. W pewnych granicach, oczywiście. Granicami zaś są jego własne ambicje, których — przyznaję — nie brałam z początku pod uwagę. Obawiam się, że jego ograniczenie umysłowe kładzie kres wszystkim moim nadziejom. Ale jako figurant jest niezastąpiony i musimy go wykorzystać. Jednakże kierownictwo i inicjatywa muszą należeć do nas.

Nie byłem specjalnie zaskoczony, gdyż spodziewałem się takiego mniej więcej rozwoju wypadków. Lecz należało to jeszcze sprawdzić.

— Mógłbym może dowiedzieć się, co rozumiesz przez „my” i „nasze”? — spytałem uprzejmie.

Angelina pochyliła się do przodu, odrzucając na plecy pasmo włosów. Jej uśmiech miał jakieś dwa tysiące voltów i skierowany był wyłącznie do mnie.

— Chcę, żebyśmy razem to dokończyli, wspólniku — głos miała jak miód. — Będziemy trzymać hrabiego Rdenrundta jako parawan do czasu, aż nie skończymy. Potem pozbywamy się go i reszta należy do nas. Zgadzasz się?

— No cóż — odparłem i powtórzyłem to równie błyskotliwie — no cóż...

Pierwszy raz w życiu nie byłem w stanie powiedzieć nic mądrzejszego.

— Nie lubię gołębi na dachu. Ale tak na marginesie — dlaczego ja? Prosty, ciężko pracujący strażnik, starający się o przywrócenie należnego mu tytułu i ziemi. Skąd ten skok z fizycznego na posła?

— Dobrze wiesz — odparła z uśmiechem i temperatura w pokoju skoczyła o dziesięć stopni. — Myślę, że jesteś w stanie pokierować tą sprawą równie dobrze jak ja, i tak samo ją polubisz. Razem jesteśmy w stanie uczynić najlepszą z wszystkich rewolucję. Co ty na to?

Stała obok i trzymała mnie za ramię. Czułem przez materiał emanujące z jej palców gorąco. Jej uśmiechnięta twarz była tuż koło mojej.

— To mogłoby być coś. Ty i ja... razem — kontynuowała.

Nie mogłoby być! Ale są takie chwile, gdy ciało mówi za człowieka. To właśnie była jedna z nich. Zanim się zastanowiłem, moje ramiona zamknęły się wokół jej ciała, a usta zetknęły z jej wargami. Przez króciutką chwilę jej ramiona były na moich plecach, a usta wpijały się w moje. Ale prawie natychmiast całe ciepło odpłynęło i odniosłem wrażenie, że całuję posąg — wargi pozbawione życia, oczy wpatrzone we mnie z doskonałą prawie pustką na dnie i bezruch, dopóki jej nie puściłem.

— Co...? — zacząłem.

— Ładna buźka. To wszystko, o czym myślisz? — wyglądała na autentycznie wkurzoną. — Wszyscy mężczyźni są tacy sami...

— Nonsens! — krzyknąłem tracąc nad sobą panowanie. — Chciałaś, abym cię pocałował. Nie zaprzeczysz temu! Co się stało, że tak nagle...?

— Chciałbyś pocałować ją? — krzyknęła, chwytając wiszący na jej szyi medalion.

Łańcuszek pękł i niemal rzuciła tym wszystkim we mnie. Miałem możliwość jedynie zerknąć na zawartość, nagle bowiem zmieniła zamiar i popchnęła mnie ku drzwiom. Ledwie wyszedłem, zatrasnęły się z hukiem i w sekundę później skoble znalazły się na swoich miejscach.

* * *

Zignorowałem podniesione brwi strażnika. Nie mogłem dojść ze sobą do ładu, a największą zagadkę stanowił medalion. W jego wnętrzu znajdowało się zdjęcie młodej dziewczyny. Tragiczna i straszna twarz. Coś wstrętnego. Nie był to krzywy zgryz czy paskudny nos, ale odrażająca kombinacja tworząca jedną obrzydliwą postać.

Siadłem nagle doznając czegoś na kształt szoku, gdy dotarła do mnie głupota moich szarych komórek. Przecież Angelina pokazała mi właśnie motyw, który pchnął ją na drogę, na której znajduje się obecnie. Dziewczyną na zdjęciu była Angelina! To upraszczało wiele skomplikowanych dotąd spraw. Wielokrotnie zastanawiałem się, jakim cudem tak potworny umysł mógł być usadowiony w tak atrakcyjnym opakowaniu. A to, na co patrzyłem, nie było po prostu oryginalnym opakowaniem. Być wstrętnym mężczyzną to już wystarczająco źle, ale być odrażającą kobietą to niewyobrażalnie gorzej. Jak można się czuć, gdy każde lustro jest wrogiem, a ludzie odwracają się na twój widok? A jeśli do tego wszystkiego masz jeszcze umysł lotniejszy niż większość otoczenia?

Wiele dziewczyn popełniłoby w tej sytuacji samobójstwo. Angelina natomiast popełniła przestępstwo, aby zdobyć pieniądze na operację plastyczną. Pierwszą z całego cyklu, który doprowadził ją do obecnego wyglądu. W tym samym czasie ktoś najprawdopodobniej usiłował jej w tym przeszkodzić. Zabiła go i po raz pierwszy odczuła prawdziwą przyjemność. Biedna Angelina. Nie rozgrzeszałem jej bynajmniej, lecz nie dało się ukryć, że była postacią tragiczną — wygrała połowę stawki, uzyskała piękne ciało, ale jej umysł stał się równie odrażający jak poprzedni wygląd.

Nagle zaświtało mi, że przecież umysł też można zmienić.

Ten natłok myśli wygonił mnie na świeże powietrze. Dochodziła północ, wszystkie wyjścia były zamknięte, a na dole czuwali strażnicy. Podążyłem na górę, gdzie na tarasie rozpościerał się ogród. Potrzebowałem samotności, a tam było jej w nadmiarze. Stojący przy wejściu strażnik zasalutował, chowając papierosa w rękawie. Zignorowałem to jawne naruszenie dyscypliny i doszedłszy do narożnika, wpatrzyłem się w panoramę górską, która otwierała się przede mną.

Nagle coś mnie zastanowiło i po chwili już wiedziałem. Skoro był tu strażnik, to ktoś postawił go w określonym celu. Palenie na służbie nie jest znów tak wielkim przestępstwem, ale lepiej wiedzieć, po co on tu stoi. Ot, taka sobie zwykła asekuracja.

Nie sterczał przy wejściu, co było pozytywnym objawem, oznaczało bowiem, że wziął sobie do serca zadanie i wykonywał obchód terenu. Zawróciłem, gdy moją uwagę przykuły połamane kwiaty na trawniku. Wydało mi się to dziwne, gdyż ogród był oczkiem w głowie hrabiego i codziennie przechodził gruntowną kosmetykę.

Potem zobaczyłem ciemną ścieżkę biegnącą przez trawnik i poczułem, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Strażnik był albo martwy, albo nieprzytomny, lecz nie traciłem czasu, by to sprawdzić. Jeden mógł być tylko powód, dla którego ktoś chciałby się tu pojawić — Angelina. Jej pokój znajdował się dokładnie pode mną.

Podbiegłem do rzeźbionej balustrady i spojrzałem w dół. Pięć jardów niżej był balkon łączący się z pokojem Angeliny. Opuszczała się właśnie ku niemu czarna postać. Moja broń została w pokoju. Był to jeden z niewielu przypadków w moim życiu, kiedy nie miałem jej ze sobą. Mój brak troski o Angelinę miał ją kosztować życie.

Wszystko dotarło do mnie w ciągu paru sekund, gdy moje palce przesuwały się po balustradzie. W końcu natrafiły na gładki kawałek plastiku, z którego opuszczała się w dół cienka, prawie niewidoczna nić — pojedynczy łańcuch molekuł zdolny utrzymać ciężar dwóch ludzi. Zabójca używał pajęczaka — pomysłowego urządzenia, które wytwarzało tę nić w miarę opuszczania się. Gdybym sam spróbował się po niej opuścić, przecięłaby moje dłonie lepiej od najostrzejszego żelaza.

Był tylko jeden sposób, aby dostać się na balkon, z tym że jeśli coś mi nie wyjdzie, znajdę się szybko na dnie przepaści, jakieś półtorej mili w dole. Przełożyłem nogi przez balustradę i namacawszy jedną z wypukłości, opuściłem się najniżej, jak mogłem. Pode mną bezgłośnie otwarto okno i w tym momencie skoczyłem. Moje złączone nogi celowały w sylwetkę na balkonie. W locie skręciłem jednak niechcący w bok i zamiast spaść typowi na łeb, trzasnąłem go w ramię. Obaj

runęliśmy na balkon. Zatrząsał się od naszego impetu, lecz stare kamienie wytrzymały. Leżałem ogłuszony upadkiem, mając nadzieję, że ramię przeciwnika ma się gorzej od mojej nogi. Uderzenie wytrąciło mu sztylet o trójkątnym ostrzu. Podniósł go akurat wtedy, gdy ponownie zaatakowałem. Złapałem za nadgarstek ściskającej sztylet dłoni i rozpoczęła się cicha, nocna walka. Obaj byliśmy na wpół ogłuszeni, lecz dobrze wiedzieliśmy, że walczymy o życie. Ja nie mogłem stać zbyt pewnie na nadwerężonej nodze, lecz on z kolei mógł operować tylko jedną ręką. I całe szczęście, gdyż moje obie ledwo utrzymywały jego jedną.

Coś takiego jak zasady fair play nie istnieje, gdy walczy się o życie i gdy w dodatku się przegrywa. Ostrze coraz bardziej zbliżało się do mojej piersi, toteż wyciągnąłem zdrową nogę i z całej siły przyładowałem kolanem w jego rękę. Zatrząsał się cały, wobec tego powtórzyłem cios. Ale mocniej. Jego ręką wykręciła się i musiała najwyraźniej być złamana, lecz mimo to nie wydał okrzyku. Próbowałem wyśliznąć się spod niego, wtedy ostrze rozdarło koszulę na moich piersiach. Zaraz potem przeciwnik stracił na moment równowagę. Spróbowałem z kolei wykorzystać to, lecz nadal był silniejszy. W końcu udało mi się odepchnąć jego rękę tak, że sztylet drasnął mu skórę na piersi. Nadal usiłowałem go z siebie zrzucić, gdy nagle jego ciało wyprężyło się w konwulsjach i znieruchomiało.

* * *

To nie był wybieg. Czułem, jak każdy mięsień w jego ciele sprężył się w ostatnim wysiłku i znieruchomiał. Nie zwoleńtem uścisku, dopóki w pokoju za mną nie zabłysło światło. Wtedy dostrzegłem coś, co zjeżyło mi włosy na głowie: żółty nalot, którym pokryte było pół ostrza. Błyskawicznie działająca trucizna powodująca paraliż systemu nerwowego.

Na mojej koszuli sporo było tego żółtego świństwa, szczególnie wokół rozcięcia. Trucizna nie musi dojść do samej rany, przez skórę działa równie skutecznie, tyle tylko że wolniej. Najostrożniej i najszybciej jak mogłem zdjąłem koszulę, a dopiero później pozwoliłem sobie na napad dreszczy. Moja noga zaczęła wracać do życia — bolała jak diabli, lecz mogłem już na niej stanąć. Nie była więc złamana. Wszedłem do pokoju.

Angelina siedziała na łóżku i jedynie jej oczy zdradzały, co przed chwilą przeżyła.

— Martwy — oznajmiłem. — Zabiła go jego trucizna.

— Spałam i nic nie słyszałam — Angelina mówiła powoli, jakby do siebie. — Dziękuję ci.

Aktorka, kłamczucha, oszustka i morderczyni, grała setki ról nie sypiąc się ani razu. Lecz gdy to mówiła, w jej głosie był jakiś ton, którego nie słyszałem nigdy dotąd. Ten zamach nastąpił zbyt szybko po wcześniejszej dramatycznej scenie i jej instynkt obronny był nadal mocno osłabiony. Oba te wydarzenia wyczerpały zresztą także i moje zasoby odporności.

Klęknąłem przy łóżku i patrząc jej głęboko w oczy, wziąłem ją w ramiona. Medalion leżał na nocnym stoliku. Złapałem go i równie szczerze i naturalnie jak ona powiedziałem:

— Nie rozumiesz, że ta dziewczyna istnieje tylko w twojej pamięci? Przeminięła razem z przeszłością. Byłaś dzieckiem, teraz jesteś kobietą. Mogłaś być kiedyś tą dziewczyną, ale już nie jesteś.

Wziąłem rozmach i posłałem medalion za okno.

— Nie jesteś przeszłością, Angelino! — To był już prawie krzyk. — Jesteś sobą i tylko sobą.

Pocałowałem ją i nie zdarzyło się nic podobnego jak poprzednim razem. Potrzebowałem jej tak samo jak ona mnie.

Rozdział 18

Świtało już, gdy przeniosłem trupa do skrzydła zajmowanego przez hrabiego. Niestety przyjemność postawienia gospodarza na nogi nie była mi dana. Po odkryciu martwego wartownika zrobił to sierżant dowodzący strażą. Siedzieli właśnie w jadalni, debatując o leżących opodal zwłokach. O mojej obecności poinformował ich dopiero łoskot spadającego ciała, gdy zrzuciłem na podłogę swój balast. Obaj podskoczyli i obrócili się ku mnie.

— To jest zabójca — oświadczyłem nie bez dumy w głosie.

Cassitore musiał rozpoznać trupa, gdyż lekko zadrżał, a oczy rozszerzyły mu się dość znacznie. Bez wątpienia był to jakiś pociotek, szwagier albo ktoś w tym guście. Chyba tak naprawdę nie wierzył do tej pory w szczerłość zamiarów Radebrechenów. Widocznie osłupienie sierżanta było pierwszym sygnałem alarmowym. Wpatrywałem się na przemian w trupa i w hrabiego. Zastanawiałem się, co też mu się tłucze po tej wojskowej mózgowicy. Postanowiłem, że w przyszłości porozmawiam sobie z nim od serca. Hrabia przygryzł wargi, a w końcu rozkazał sierżantowi zabrać oba trupy.

— Zostań, Bent! — oznajmił biorąc kurs na bar.

Dopiero gdy wypił drugą szklanekę miejscowego rozpuszczalnika, przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza. Okazałem brak honoru i nie odmówiłem. Popijając spirytus małymi łydkami, zastanawiałem się, o co mu chodzi. Najpierw sprawdził drzwi i okna, zatrzasnął wszystkie możliwe zamki, potem otworzył najniższą szufladę biurka i wyciągnął małe pudełko z długą anteną.

— No, no, i cóż my tu widzimy! — skwitowałem uprzejmie. Nie zareagował, tylko pokręcił czymś przy kontrolkach. Dopiero gdy zapłonęło zielone światełko, odprężył się.

— Wiesz, co to takiego? — zapytał.

— Oczywiście, ale nie widziałem tego na Freiburg. Nie są tu zbyt rozpowszechnione.

— Nie są w ogóle rozpowszechnione — mruknął wpatrzony w światełko. — O ile wiem, jest to jedyny egzemplarz na planecie. I chciałbym, żebyś nie mówił o tym nikomu. Nikomu!

— Nie moja sprawa — poinformowałem go z rozbijającym brakiem zainteresowania. — Każdemu należy się odrobina intymności.

Sam ją lubiłem i dlatego dość często używałem wygłuszacza. Są dobre i dość trudno je ogłupić; wykrywają i eliminują niemal każdy rodzaj podsłuchu. Jak długo nikt nie wiedział, że hrabia go ma, tak długo mógł być pewny jego skuteczności. Tylko po co mu to? Był w środku własnego zamku i nawet tak ograniczony umysł jak jego musiał wiedzieć, że „pluskwy” nie działają z dużej odległości. Sprawa była śmierzcząca i uprzytomniłem sobie, o co chodzi, zanim się odezwał.

— Nie jesteś głupi, Bent — oświadczył, co znaczyło, że uważa mnie za głupszego od siebie. — Byłeś długo poza planetą i widziałeś inne światy. Wiesz, jak my jesteśmy zacofani i że żadna ofiara nie jest zbyt duża, aby przyspieszyć dzień przemian.

Z jakiegoś powodu spocił się dość solidnie. Tylko na plastskórze, tam gdzie dostał butelką, nie było kropelki potu. Mam nadzieję, że go bolało.

— Ta kobieta, której pilnujesz — zaczął, obserwując mnie spod oka — była dość pomocna w organizowaniu rebelii, ale teraz stawia nas w kłopotliwym położeniu. Był już jeden zamach i najprawdopodobniej będą następne. Ród Radebrechenów jest starym i lojalnym rodem, a jej obecność jest dla nich obrazą. Myślę, że ty byłbyś w stanie robić to samo, co ona. Równie dobrze, a może i lepiej. Co ty na to?

Albo stawałem się coraz zdolniejszy, albo mieli nadzwyczajny niedobór rewolucjonistów. Drugi raz w ciągu dwunastu godzin zaoferowano mi współnictwo w nowym porządku. Nie wątpiłem,

że propozycja Angeliny była pewniejsza. Oferta Cassiego rozsiewała, jak dla mnie, dość ostry smrodek wokół siebie.

— Jestem zaszczycony, czcigodny hrabio — odrzekłem. — Ale co się stanie z tą kobietą? Nie sądzę, żeby była zachwycona tym pomysłem.

— To, co ona myśli, nie ma żadnego znaczenia — parsknął czcigodny hrabia, po czym zapanował nad sobą i ciągnął dalej: — Nie będziemy dla niej okrutni. Po prostu potrzymany ją w zamknięciu. Ma lojalnych strażników, ale moi ludzie zajmą się nimi. Ty będziesz razem z nią i w odpowiednim momencie aresztujesz ją. Potem wsadzimy ją do celi, gdzie będzie bezpieczna i przestanie sprawiać kłopot.

— To dobry plan — oceniłem. — Wprawdzie nie pochwalam uwięzienia tej biedaczki, ale skoro jest to konieczne, to należy to zrobić. Cel uświęca środki.

— Masz rację. Szkoda tylko, że nie umiem tego tak prosto ująć. Masz rzadką zdolność do lapidarnych określeń. Zapiszę to ku pamięci. Cel uświęca...

Bazgrał coś na kartce, a ja wysiliłem umysł, żeby podrzucić mu jeszcze parę frazesów. I pomyśleć, że ktoś taki miał stanąć na czele planety! Diabli mnie wzięli i skoczyłem na równe nogi.

— Skoro mamy to zrobić, to zrobmy szybko — zdecydowałem. — Proponuję początek akcji na godzinę osiemnastą. Da nam to dość czasu na unieszkodliwienie jej strażników. Aresztuję ją, jak tylko dostanę sygnał, że pierwszy etap się powiódł.

— Masz rację. Zgadzam się na twoją propozycję, Bent. Uścisnęliśmy sobie dłonie i z ledwością powstrzymałem się od zgruchotania jego spoconej i zimnej ręki.

* * *

— Możemy być podsłuchiwanie? — zapytałem Angelinę.

— Nie. Pokój jest całkowicie ekranowany.

— Twój były absztyfikant, hrabia Cassi, ma wygaszacz. Może mieć również inne drobiazgi do podsłuchiwanie.

Nie robiła wrażenia przesadnie przejętej. Nadal szcztokowała przed lustrem swoje krucze włosy, co było ślicznym, ale dość rozpraszającym obrazkiem.

— Sama mu go dostarczyłam. Oczywiście tak, aby o tym nie wiedział. Mam pewność, że nie pracuje na najlepszej częstotliwości. Lubię wiedzieć, co się dookoła dzieje.

— Słuchałaś parę minut temu, gdy dobijał ze mną targu w sprawie zabicia twoich ludzi i wysłania cię do miejscowego lochu?

— Nie, nie słuchałam — odparła ze spokojem cechującym większość jej poczynań. — Byłam zajęta wspomnianiem ostatniej nocy.

Ręce opadają! Oto typowa kobieta: tak gruntowna mieszanka emocji i logiki, że człowiekowi włosy stają dęba. Postanowiłem dać jej małą lekcję.

— Jeśli cię zajmie najnowsza ciekawostka — odezwałem się najspokojniej, jak umiałem — to szanowny ród Radebrechenów nie nasłał wczorajszego gościa. Zrobił to sam gospodarz.

W końcu mi się udało! Przestała się czesać, a jej oczy odrobinę się powiększyły. Ale w przeciwieństwie do innych przedstawicielek swej płci nie zadawała głupich pytań, tylko poczekała, aż skończy.

— Sądzę, że doprowadziłaś tego szcúra do ostateczności. Ta butelka wczoraj była ostatnią rzeczą, jaką zdzierzył. Musiał już wcześniej wszystko sobie przygotować, a twoje działanie tylko przyspieszyło jego decyzję. Sierżant rozpoznał tego faceta i skojarzył go z hrabią. To również wyjaśnia, jakim cudem ten typ znalazł się na dachu i tak dokładnie wiedział, gdzie cię szukać.

Umilkłem, a Angelina powróciła do czesania włosów. Ten całkowity brak zainteresowania

zaczął mi działać na nerwy.

— I co zamierzasz zrobić? — zapytałem z lekką urazą w głosie.

— Nie sądzisz, że ważniejsze jest, co ty zamierzasz z tym zrobić?

Widziałem, że bacznie mnie obserwuje w lustrze. Obróciłem się więc do okna i kontemplowałem górską panoramę. Miała całkowitą rację — to było najistotniejsze pytanie. Tak bardzo istotne, że nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Co ja tu właściwie robię? Rewolucję, która mnie gównem obchodzi? Bo to, że moim celem jest aresztowanie Angeliny jakoś zostało zapomniane. A przecież nie mogłem tu zbyt długo siedzieć. Moje ciało nie było w stanie wytrzymać dokładniejszej penetracji. Tylko to, że Angelina była pewna mej śmierci, na razie uchroniło mnie od rozpoznania. Ja przecież rozpoznałem ją od pierwszego spojrzenia. I w tej chwili coś mi się przypomniało. Coś, co miało miejsce wczorajszej nocy. Wróciła pamięć tego, co sam owej nocy wykrzychałem: „Nie jesteś przeszłością... Angelino”. Powiedziałem to, a ona nie zaprotestowała. Tyle tylko, że tutaj nie używała tego imienia. Na Freiburg była Englą. Gdy się odwróciłem, musiałem mieć myśli wypisane na gębie, gdyż bez słowa uśmiechnęła się zagadkowo. Jedno dobre, że chociaż przestała się czesać.

— Wiesz, że nie jestem grafem Bentem Diebstallem — powiedziałem z wysiłkiem. — Od kiedy wiesz?

— Prawie od chwili twojego przybycia tutaj.

— Wiesz, kim..

— Nie mam pojęcia, jakie jest twoje prawdziwe nazwisko, jeśli o to ci chodzi. Ale doskonale pamiętam swoją wściekłość, gdy przeszkodziłeś mi w operacji z pancernikiem, i czystą satysfakcją, gdy cię zastrzeliłam we Freiburgadzie. Powiesz mi, jak się naprawdę nazywasz?

— Jim — słowa przechodziły mi z trudem przez gardło. — James di Griz, znany jako Chytry Jim alias Stalowy Szczur.

— Miło mi. Moje prawdziwe imię to Angela. Myślę, że był to kolejny makabryczny dowcip mojego ojca. Co zresztą było jednym z powodów, dla których z przyjemnością obserwowałam, jak umierał.

— Dlaczego mnie nie zabiłaś?

— A dlaczego miałabym to robić, kochanie? — jej bezosobowy ton zniknął. — Oboje popełniliśmy w przeszłości błędy i zajęło nam straszliwie dużo czasu, żeby się przekonać, jak bardzo jesteśmy podobni. Równie dobrze mogłabym zapytać ciebie, dlaczego mnie nie aresztowałaś. Przecież przyjechałeś tu z tym zamiarem.

— Tak, ale...

— Ale co? Stoczyłaś ze sobą straszliwą walkę, dlatego właśnie ukryłam, że cię rozpoznałam. Dorosłaś, a właściwie wyrosłaś z tych nonsensów, które wiązały cię z glinami. Nie wiedziałam, czy to się tak skończy, ale miałam taką nadzieję. Widzisz, ja nie chciałam cię zabić. Wiedziałam, że mnie kochasz i było to od samego początku cudowne. I nie chodziło tu o zwierzęcą żądzę, jaką żywili wszyscy dotychczasowi, którzy mówili, że mnie kochają. Oni kochali ciało, a ty kochasz mnie całą, bo jesteśmy tacy sami.

— Nie jesteśmy — zaprzeczyłem bez przekonania w głosie. — Ty zabijasz i lubisz to. To jest podstawowa różnica. Nie widzisz jej?

— Nonsens! Ostatniej nocy zabiłeś. To była dobra robota — tak na marginesie — i nie zauważyłam, żebyś rozpacział. Powiedziałabym raczej, że byłeś z tego powodu zadowolony.

Poczułem, że się duszę. Wszystko, co mówiła, było błędne, ale jej rozumowanie wydawało się tak spójne, że nie widziałem miejsca, od którego mógłbym zacząć ją przekonywać.

— Opuśćmy Freibur — powiedziałem w końcu. — Po co doprowadzać do tej kretyńskiej i nikomu niepotrzebnej rebelii, której jedynym skutkiem będzie kupa nieboszczyków?

— Możemy, ale nie to jest najważniejsze. Jest coś, co musisz przyjąć do wiadomości, aby być w zgodzie ze sobą. Nie dotarło jeszcze do ciebie, że to głupie podejście do śmierci jest błędne? Za jakieś dwieście lat ty, ja i każdy, kto w tej chwili żyje w galaktyce, będzie martwy. To naturalna kolej rzeczy, której nie da się uniknąć. Co za różnica, jeśli paru osobom pomożemy dojść trochę wcześniej do tego nieuchronnego końca? Oni zrobiliby z tobą to samo, gdyby mieli możliwość.

— Mylisz się — zaprzeczyłem wiedząc, że jest to walka z wiatrakami. Zamiast dalej argumentować, wziąłem ją w ramiona i pocałowałem. Był to, jak dotąd, najlepszy sposób na kończenie głupich dyskusji.

Przerwał nam cichy, acz natrętny brzęk. Rozdzielenie było dla obojga trudne, ale w końcu się udało. Ja siadłem na łóżku, a ona odebrała wideofon. Nie słyszałem, o co chodziło, gdyż trzymała słuchawkę zbyt blisko ucha, ale z powtórzonych kilkakrotnie „tak” i rzucanych w moją stronę spojrzeń zrozumiałem, że sprawa jest poważna. Skończywszy rozmowę Angelina stała chwilę bez ruchu, po czym podeszła do nocnego stolika. Otworzyła szufladę i spod jej różnorakiej zawartości wyciągnęła przedmiot, który najmniej w tej sytuacji spodziewałem się ujrzeć. Była to moja siedemdziesiątka piątka. Aby było jeszcze śmieszniej, Angelina mierzyła we mnie.

— Jim, dlaczego to zrobiłeś? — zapytała ze łzami w kącikach oczu. — Dlaczego chciałeś mi to zrobić?

Nie słuchając moich bełkotliwych wyjaśnień, sama udzieliła sobie odpowiedzi i nagle w jej oczach pojawiła się złość.

— Ty nie zrobiłeś nic — powiedziała twardo. — Sama jestem sobie winna, bo wierzyłam, że ktoś może być inny niż reszta. Dałeś mi lekcję, jakiej nie zapomnę i dlatego zabiję cię szybko i bezboleśnie, a nie tak, jak chciałabym za to, co uczyniłeś.

— O czym ty, do cholery, mówisz? — ryknąłem kompletnie zbity z tropu.

— Nie graj do końca niewiniątka — stwierdziła wyciągając torbę spod łóżka. — To był posterunek radarowy. Sama go zainstalowałam, a operatorzy są najwierniejszymi z wiernych, jakich tu mam. Pierścień statków, jak zresztą wiesz, wyszedł z nadprzestrzeni i okrążył ten rejon planety. Twoim zadaniem było odwrócić moją uwagę. Ten plan prawie się udał.

Zakończyła pakowanie torby i wpatrzyła się we mnie uważnie.

— Jeśli powiedziałbym ci, że jestem niewinny i dałbym ci moje najświętsze słowo honoru, uwierzyłabyś mi? Nie mam z tym nic wspólnego. Nic o tym nie wiem!

— Wiwat dla kosmicznych skautów! — stwierdziła sardonicznie. — Dlaczego nie powiesz choć raz prawdy, skoro za dwadzieścia sekund będziesz już martwy?

— Powiedziałem ci prawdę! — odparłem stanowczo, zastanawiając się równocześnie, jaką mam szansę osiągnięcia jej, nim zdąży wystrzelić. Wychodziło na to, że żadnej.

— Żegnaj, Jimie di Griz, miło było cię poznać choć na tak krótką chwilę. Pozwól sobie powiedzieć jeszcze jedno: to wszystko było niepotrzebne. Mam tu ukryte drzwi i przejście prowadzące poza obręb zamku. Nikt o tym nie wie. Zanim dotrą tu twoi kumple, będę już daleko. I nadal będę zabijać i jeszcze raz zabijać, i nic nie możesz na to poradzić. Bo będziesz już martwy. — Podniosła broń, dotykając przycisku, który uruchamiał sekretne drzwi. Wtem odezwała się z niesmakiem: — Oszczędź sobie wysiłku, Jim. Naprawdę nie sądziłam, że uciekniesz się do takich amatorskich metod. Spoglądanie w osłupieniu przez moje ramię nic ci nie da. Nie zamierzam tracić kilku sekund na sprawdzanie, czy ktoś tam jest, i ryzykować, że skoczysz. Tym razem nie wyjdiesz z tego żywy.

— To się nazywa Pamiętne Ostatnie Słowo — powiedziałem z rezygnacją i uskoczyłem w bok.

Pistolet wypalił z wielkim hukiem, lecz tylko raz i w sufit. Stojący za nią w wyjściu do tunelu Inskipp wyłuskał po tym strzale broń z jej zdrętwiałych palców. Angelina stała jak sparaliżowana. Niezdolna była do żadnego oporu. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, na jej przegubach zatrzasnęły się kajdanki. Była całkowicie zaskoczona. Dwóch ponurych jak noc typów w uniformach Korpusu, stojących dotąd za Inskippem, powoli wysunęło się do przodu i po prostu wyniosło ją z pomieszczenia. Jeszcze nie doszła do siebie i w żaden sposób nie zaprotestowała. Muszę przyznać, że i ja doznałem szoku, a okres adaptacji do nowych okoliczności jeszcze się nie skończył. Zanim byłem zdolny dotrzeć do drzwi, Inskipp zdążył wejść do środka i zamknąć je za sobą. Zostaliśmy sami.

Rozdział 19

— Napij się — zaproponował Inskipp, opadając na krzesło Angeliny i wyciągając z zanadru piersiówkę. — Prawdziwa ziemska brandy, a nie jakiś lokalny rozpuszczalnik do plastiku.

— Odpierdol się... — po czym nastąpiła wiązanka z mojego słownika międzyplanetarnego na temat Inskippa.

— Nie sądzisz, że jest to dość dziwny sposób odnoszenia się do zwierzchnika w Korpusie? Jesteśmy poniekąd organizacją o dosyć luźnych zasadach, ale mimo wszystko są pewne granice. — Ponownie podał mi flaszkę, którą tym razem złapałem.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Dlatego, że ty tego nie zrobiłeś. Operacja zakończyła się sukcesem. Dotąd byłeś praktykantem, teraz masz nominację na pełnowartościowego agenta. — Wyjął z kieszeni złotą papierową gwiazdkę, polizał ją i przylepił do mojej koszuli. — Mianuję cię agentem Korpusu Specjalnego na mocy udzielonych mi pełnomocnictw.

Sięgnąłem, aby ją zdjąć, ale nagle roześmiałem się.

— Sądziłem, że nie jestem już członkiem ekipy.

— Nigdy nie dostałem twojej rezygnacji — odparł Inskipp — ale to i tak nic nie znaczy. Nie można zrezygnować z Korpusu.

— Tak, tak. Ale ja dostałem twoją wiadomość o zwolnieniu. A może zapomniałeś, że ukradłem statek, a ty włączyłeś na nim zapalnik? Na szczęście zdążyłem go wymontować.

— Nic z tych rzeczy, chłopcze — powiedział pociągając drugi łyk. — Byłeś tak oszalały na punkcie znalezienia Angeliny, że należało liczyć się z tym, że zechcesz pożyczyć sobie statek, zanim ci go przygotujemy. Ten, który wzięłeś, miał taki sam zapalnik jak wszystkie inne. Zapalnik, ale nie ładunek. Ekspłduje zawsze w pięć sekund po wymontowaniu. Odkryliśmy, że to daje pewien komfort psychiczny niektórym bardziej niezależnym agentom.

— Chcesz mi powiedzieć... że to wszystko to był ukartowany bajer?

— Można to i tak nazwać. Ja wolę określenie „próba polowa”. W ten sposób sprawdzamy, czy nasi agenci wybierają Korpus czy indywidualizm. Nie chcemy, żeby w późniejszych latach dochodziło do przykrych niespodzianek. To była dobra operacja. Muszę przyznać, że wykazałeś dużą pomysłowość, Jim. Ale ten skok na bank... nie powiem, że bym to pochwalał. Korpus ma dostateczne zapasy gotówki, nawet jak na twoje potrzeby.

— Po co się kłócić o parę groszy — westchnąłem. — Skąd Korpus je bierze? Od rządów poszczególnych planet. A one skąd? Oczywiście z podatków, czyli tak czy inaczej z banku. Towarzystwo ubezpieczeniowe płaci bankowi za straty, po czym ogłasza zmniejszenie ubezpieczenia na dany rok, płacąc mniej podatków rządowi. Kółko się zamyka. Ja po prostu wzięłem pieniądze bezpośrednio ze źródła. — Inskipp doskonale znał ten typ rozumowania, toteż nawet nie starał się dyskutować. — A tak w ogóle, to jak mnie znaleźliście? Wyjąłem „pluskwę” z gniazda antenowego.

— Jesteś prostodusznym dzieckiem natury — oświecił mnie. — Czy ty myślisz, że któryś z naszych statków nie jest „zapluskwiony”? Instalujemy to tak sprytnie, że jeśli się nie wie, gdzie szukać, to nic się nie znajdzie. Chyba żeby rozebrać statek na śrubki. Dla twojej informacji: nadajnik był w drzwiach śluzy. Nadajnik na tyle mocny, żeby go odebrać nawet z dużych odległości.

— To dlaczego nie słyszałem go w nadprzestrzeni?

— A z tego prostego powodu, że tam też jest odbiornik. Zaczyna on pracę po odebraniu określonego sygnału radiowego. Daliśmy ci czas, a potem szliśmy za tobą. Zgubiliśmy cię we Freiburbadzie, ale znaleźliśmy z powrotem w szpitalu, zaraz po zabawie w kostnicy. Uspokoiliśmy personel szpitala. A potem wystarczyło obserwować chirurgów i aparaturę medyczną, gdyż następny

twój krok był oczywisty. Ucieszy cię, mam nadzieję, wiadomość, że w jednym z żeber nosisz całkiem skuteczny nadajnik.

Spojrzałem na siebie i oczywiście niczego nie zauważyłem.

— To była zbyt dobra okazja, żeby ją pominąć — ciągnął Inskipp. — Jednej nocy, gdy byłeś na prochach, twój lekarz znalazł alkohol, który profilaktycznie dołączyliśmy do zrobionych przez ciebie zapasów spożywczych. Zaopiekował się tym błędem aprowizacyjnym, a w tym czasie nasz chirurg dokonał poprawek w twoim ciele.

— I od tego czasu łazisz za mną krok w krok?

— Naturalnie, ale to była twoja sprawa i to, że wiedziałbyś o naszej obecności, niczego na lepsze by nie zmieniło.

— To z jakiej racji się tu znalazłeś? — warknąłem. — Nie dzwoniłem po komandosów!

Nie spieszył się z odpowiedzią.

— Można to ująć w ten sposób — odparł. — Mam zwyczaj popuszczać nowemu agentowi spory kawał liny, ale nie tyle, żeby mógł się na niej powiesić. Byłeś tu, można powiedzieć, przez dość długi czas. Nie dostałem od ciebie żadnego meldunku. Nie było też wiadomości ani o rewolucji, ani o aresztowaniu. A tak na marginesie — aresztowałbyś ją, gdybyśmy nie wkroczyli?

Oto było pytanie sezonu!

— Nie wiem.

— No i na moje wychodzi, jednak dobrze wiedziałem, co robię. Zdążyłem w ostatniej chwili, nim nasza zabójczyni ponownie znalazła się w przestrzeni. Widzisz — mówił dziwnie łagodnie — było to dla ciebie trudne zadanie. W takich jak ten wypadkach linia między dobrem a złem jest bardzo cienka. A jest niemożliwa do zauważenia, gdy się w sprawę zaangażujesz uczuciowo.

— Co będzie z nią? — zapytałem cicho.

Zawahał się.

— Tylko nie łżyj, ostrzegam. Chcę znać prawdę. Najgorszą, ale prawdę.

— Dobra. Prawda bez obietnic: psychiatrzy sądzą, że mogą coś dla niej zrobić bez zmiany osobowości, o ile uda im się znaleźć przyczynę głównego odchylenia. Ale niekiedy jest to niemożliwe.

— Nie tym razem. Powiem im, o co chodzi.

Chociaż raz udało mi się go zaskoczyć. Dało mi to odrobinę satysfakcji.

— W takim razie jest duża szansa. Masz moje słowo, że spróbuję wszystkiego, nim dojdzie do skasowania osobowości. Byłoby lepiej, gdyby nie stała się kolejnym ciałem pętającym się po okolicy.

Chwyciłem butelkę, zanim dotarła do jego kieszeni, i odkręciłem ją.

— Znam cię dobrze, Inskipp — stwierdziłem napelniając dwa kieliszki. — Jesteś urodzonym werbownikiem. Jeśli nie możesz ich zniszczyć, to pozwól im przyłączyć się do ciebie.

— A co innego można zrobić — odparł. — Jestem pewien, że ona będzie wielką agentką.

— Stworzymy wielki zespół! — poprawiłem go.

A potem wznieśliśmy toast:

— Za zbrodnię!

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)